

J. I. KRASZEWSKI.
POWIEŚCI HISTORYCZNE.
XVI.



S E M K O.

(Czasy bezkrólewia po Ludwiku).

(Jagiełło i Jadwiga).

TOM III.



KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

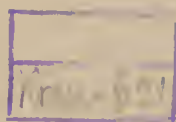
Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1882.

SEM KO.



1985-1-16



1985-1-16

I.

Rok niespełna upłynął od opisanych wypadków, a Polska jeszcze króla ani królowej nie miała...

Pusto było na Płockim zamku i smutno. Ogłoszony królem w Sieradziu Semko, niepewien był czy się nawet na własnem księstwie utrzyma...

Stara Błachowa siedziała przy kądzieli łązy ocierając, a wychudła i blada Ulina, chodziła po izbie z rękami załamanemi. Na tym zamku odbijały się teraz wszystkie gromy, które jeden po drugim uderzały w tego, co na nim panował.

Rozległ się tu naprzód odgłos z Sieradzia, iż Semka królem obrano; lecz króla tego nikt znać nie chciał, oprócz tych co przy nim stali, gdy był księciem.

Od tego czasu jak po błyskawicy, były już tylko pioruny.

Domarat i Grzymały porwali się znowu do broni. Wszyscy się Semka lękali, nikt go nie chciał...

Semko się dał ściągnąć do Krakowa, i wymódz na sobie zawieszenie broni zdradliwe, w chwili gdy Mazowsze zalać mieli Węgrowie, gdy całe pułki obcego ludu padły na spokojny kraik, niszcząc go ogniem i mieczem.

Jagiello z Litwinami najechał Drohiczyn, w Wielkopolsce dawne zdobycze, przechodziły napowrót w ręce Domarata, który głowę podnosił. Nie pomogło bohaterskie rzucanie się Bartosza z Odolanowa, odbiegali przyjaciele, uchodziła szlachta strwożona...

W tej chwili na zamku Płockim nie wiedzano nawet, gdzie się Semko ukrywał. Ukazywał się on tu niespodzianie i znikał, nie chcąc walki zaprzestać.

Przybywał milczący, z obłąkanym wzrokiem, padał na łożę, zrywał się jęcząc przez sen niepokojny, nagle konia podawać kazał i znikał.

Straszno było zbliżyć się do niego, niebezpiecznie przemówić. Za najmniejszą winę karał okrutnie, i jak ojciec rzucał obuchem o ściany.

Po nocach chodził przez izby puste sam mówiąc do siebie. Stara Błachowa nie śmiała podnieść zasłony od jego komnaty. Ułina stawiała w progu, patrzyła z politowaniem, i zakrywając oczy, uchodziła.

Szalonym był niemal boleścią.

Nawet zuchwały Henryk, nie śmiał mu się pokazywać na oczy. Gdy po raz pierwszy pozwolił sobie go królem powitać, Semko chwycił go za barki, cisnął o drzwi tak, że rozbite poleciały razem z młokosem na podłogę.

Pocieszać go, nikt nie śmiał, radzić mu nikt się nie ważył, a pomódz nie było komu.

Brat Janusz pozostał wiernym słowu swojemu; ocalił siebie, nie czyniąc kroku dla ratowania brata. Mazowsze jego poszanowali umyślnie najezdnicy Węgrowie Zygmuntowi, nietknięto jego dzielnicy, siedział spokojnie w Czersku, lub Warszawie.

W Krakowie zawsze jeszcze spodziewano się przybycia królowej Jadwigi, a Elżbieta coraz nowemi zwłoki uwodziła panów krakowskich, którym się cierpliwości przebrało.

Wśród smutnej ciszy zamkowej, w której oprócz załogi, garstki pozostałych dworzan, kilku księży i księcia Henryka, nie było nikogo; czasem przywłókł się ranny lub zbłąkany rycerz z jaką wiadomością, której ciekawie zbiegano się słuchać i rozchodzono wysłuchawszy ze zwieszonemi głowami.

Niekiedy z miasteczka przyszedł rzemieślnik który coś od przejezdnych słyszał i dowiadywał się na zamku, czy i oni już wiedzieli o tem.

Wieści chodziły niepewne, dziwaczne, jedne

od drugich mniej prawdopodobne, nazajutrz odwoływane.

O księciu mówiono, że z oddziałem swym i z Bartoszem to tu, to ówdzie się pokazywał i znikał. W Wielkopolsce Domaratowi Węgrowie brali górę.

Jednego majowego wieczora, gdy się go najmniej spodziewano, cicho, ukradkiem, z małą garścią ludzi zajechał Semko na zamek. Nie wjechał do dworca na koniu, zsiadł w bramce, i przyszedł pieszo. Służba przestraszona, pozrywała się na nogi, bo pan był straszny i surowy.

Ale tym razem szedł do swych komnat znużonym krokiem, obojętny, nie przywożąc z sobą nawet guiewu.

Rozsiał go po lasach i polach, wyczerpała się namiętność, przyszło po niej znużenie. Wyglądał jakiegobądź końca.

Zamek stary ze swym spokojem i ciszą wydał mu się gniazdem szczęśliwym, i w progu zadumał się, dlaczego to łatwe szczęście swoje postawił na kość jedną, aby kupić sobie lata całe wzburzonych nadziei, zawodów i klęsk.

Rady ojca i nauki brata na myśl mu przyszły za późno. Królem był niecały jeden dzień w życiu, a pokuta za tę koronę zdała mu się trwać wieki. Nie widać było jej końca.

Postradał wszystkie nadzieje, nagle odrastały one znowu! W Polsce nie było króla ni królo-

wej, któż mógł przewidzieć, czy znużeni nie odwołają się do niego?

Z temi myślami, wszedł do dworca, w którym dopiero przybycie jego życie zamarte rozbudziło.

Czeladź, dwór, służba, urzędnicy, poruszali się jedni drugim oznajmując, książę! książę!

Przez puste jeszcze komnaty, Semko szedł do swej sypialni.

Tu na niego czekała już Blachowa, z rękami rozpostartymi i cień tej dziewczyny, która się zwała Ulina, a dziś była tylko jakby widmem młodej siostrzycy. Na niej się odbiły wszystkie te boleści i przewroty, odboleła je i płaciła życiem...

Na twarzy wychudłej tylko oczy jeszcze pałały.

Obie niewiasty z trwogą wychodziły na spotkanie Semka, niewiedząc co przyniesie z sobą, gniew straszny, niemy, narzekanie czy przekleństwa. Znały go tak dobrze od dziecka, że teraz spojrzawszy, odgadły iż wracał wysiłony, zdrętwiały znużeniem.

Blachowa zbliżyła się troskliwie, rękami drżącymi poczynając rozpinąć zbroję. Ulina podeszła z uśmiechem smutnym, rękę mu kładąc na ramieniu. Semko dawał z sobą czynić co chciały. Żadna skarga się nie wyrwała z ust jego.

Srogie ciosy, które w niego były teraz ciągle,

kamiennym go jakimś uczyniły, niemal obojętnym na to, co go jeszcze czekać mogło.

Błachowa tymczasem, obyczajem starych bab, słowami pieszczonemi dziecko swe witała, na które on nie odpowiadał. Ułina milczała.

Pytać nie śmiała żadna, ani co z sobą przynosił, ni czy przybywał na długo. On wodził oczyma jakiemiś zgasłemi po ścianach.

Tu w tej sypialni ojcowskiej nie zmieniło się nic, a na świecie, tak wiele. Pytał sam siebie, dlaczego nie pozostał na tem gnieździe, w którym mu tak dobrze być mogło?...

Wspomnienia tego burzliwego roku przesunęły się przed nim krwawe, czarne, groźne...

Zapukano do drzwi i Ułina spiesznie się cofnęła. Błachowa powoli, składając na stole pozdejmowane żelaztwo, spojrzała ku drzwiom. Wchodził ks. kanclerz na powitanie pana.

I na tym Bogu oddanym, cierpliwym człowieku, rok ostatni pozostawił ślady drapieżne. Postarzał nagle, suwał nogami, spojrzenie było nieśmiałe.

Książe łagodniej niż zwykle powitał go skinieniem głowy. Kobiety obie odeszły, zostali sami. Ksiądz stał nie śmiejąc przemówić, aby słowem nieostrożnem nie wzbudzić jakiego wspomnienia, i nie wywołać burzy.

— Przybyłem, jak widzicie — odezwał się Semko smutnie — nie wiem na jak długo. Po-

trzebuję spoczynku, a potem i robić podczas niema co, czekać trzeba.

Kanclerz spojrział jakby chciał zapytać. — Na co? I książę w myśl jego odpowiedział.

— Tak, więcej może teraz poczekać waży, niż się gwałtem dobijać. Królowa Elżbieta zwodzi Polaków, córki im dać nie chce, nieda jej może, króla potrzebują, zkąd go wezmą? Wojowali ze mną, a w końcu, któż wie? zwrócić się ku mnie będą musieli...

Właśnie w tych czasach, znowu obiecane jest przybycie Jadwigi, ale czy ona przybędzie? czy ją królowa da im?

— Królowa Elżbieta — odezwał się kanclerz cicho — wiarogłomną jest i przewrotną niewiastą... kto może przewidzieć co ona uczyni, gdy u niej słowo, przyrzeczenie i przysięga nie ważą nic?

— Widzicie więc -- rzekł Semko — nie wszystko stracone jeszcze, czekać potrzeba... Posłałem do Krakowa, dadzą mi tu wiedzieć, czy królowna przyjedzie, i co postanowią ci, co czekają na nią.

— Tak, czekać — powoli mówił kanclerz — ale nie mniej i myśleć o sobie.

Semko zdumiony popatrzył na kanclerza, nie zrozumiałwszy dobrze, jakie to w ustach jego miało znaczenie.

Ten, zatrzymał się nieco z tłumaczeniem.

— Byłem ja zawsze przeciwnym — rzekł po namyśle — temu niebezpiecznemu dobijaniu się o koronę. Stało się, teraz już do ostatka trzeba próbować, ażali się z tej toni nie da wybrnąć.

Znowu przestał mówić na chwilę.

— Zaszła jakaś niepojęta dla mnie — dodał — zmiana w usposobieniach zakonu krzyżackiego.

Ci ludzie zaprawdę, o obrotach wszelkich spraw lepiej są od innych zawiadomieni. Coś takiego zajść musiało, lub grozić im, co ich ku W. miłości skłania. Wiem to, że są gotowi przyjść w pomoc... przynajmniej dali to do zrozumienia.

Semko, który był z sił opadłym i znużonym, posłyszawszy to zerwał się z siedzenia szybko.

— Sprzyjają przecie Zygmuntowi Brandeburskiemu! — zawołał.

— Ale wiedzą o tem, że panowie polscy stanowczo się przeciwko niemu oświadczyli — rzekł ksiądz. — Nie wchodzi on w rachunek, tak samo jak Wilhelm rakuzki. Krakowianie i tego nie chcą.

Zadumał się Semko.

— Któż wie! — mówił kanclerz — zwrót jakiś szczęśliwy może nastąpić.

Zakon, to wiem z pewnością, domysła się, że skarb księcia jest wyczerpany i gotówby go zasilić. Wprawdzie może nowej ziemi w zastaw zechcą, ale to ich obyczaj. Gotowość pożyczania i pomocy, zawsze coś znaczy.

— Zkądże o tem wiecie? — zapytał książę ożywiając się nieco.

— Jest u mnie znowu przejazdem, gościną ten biedny kłecha — mówił kanclerz, który do uzyskania pierwszej pożyczki się przyczynił. Mały to człeczek, lecz się o wielkich ociera; ten mi napomykał...

Kanclerz zawahał się nieco... Semko już znowu ostygłszy, z niedowierzaniem pewnem ostatnią wiadomość przyjął.

— Poniekąd daję się tłumaczyć to skłanianie się Krzyżyków ku miłości waszej — ciągnął kanclerz... Jest jakaś wieść głucha, prawdziwa czy fałszywa, nie wiem, jakoby tam część jakaś polskich panów o Jagiellę myślała na tron polski...

— Plotkę tę słyszałem już, noszą ją niektórzy po świecie — rzekł Semko — ale mi się niedorzeczną wydaje.

— Dzieją się czasem cuda — przerwał kanclerz — za nic ręczyć nie można.

Dla zakonu sama ta myśl, że Jagiello mógłby zasiąść na polskim tronie, jest najstraszniejszą groźbą. W takim razie...

— W takim razie mnieby woleli — dokończył Semko... Macie słusność, że bodaj z fałszywego strachu korzystać należy...

Książę zdał się odżywać i wychodzić z odrętwienia.

— Ja — dokończył kanclerz—patrzę z dawna na rycerzy krzyżowych, a jedno to powiedzieć mogę, iż rzadkom ich widział mylących się w rachubach...

Rozpoczęta w ten sposób rozmowa, ten skutek miała, że zwolna wywodzić poczęła księcia z tego stanu zniechęcenia i odrętwiałości, z którą powrócił do domu.

Ożywił się nieco, lecz jakby bronił nadziejom tylekroć zawiedzionym i poddawać im nie chciał—nie uniósł się radością wielką.

Oczekiwał na wieści z Krakowa... Czasu miał nieco swobodnego, dokuczał mu niedostatek i pozaciągane długi, bo w ciągu roku żydzi krakowscy namówić się dali i dostarczyli mu pieniędzy... Dla czegoż nie miał spróbować porozumienia z zakonem?

Błyskała mu znowu daleka nadzieja...

Kanclerz nie namawiał do niczego, lecz rad był choć chwilową ulgę jakąś sprawić utrapionemu panu swojemu... Dnia tego nic nie postanowiono jeszcze...

Nazajutrz Semko oznajmił, że będzie czekał na wiadomość o przybyciu królownej, lub jeźliby nie przyjechała teraz, o tem co postanowią Małopoleanie.

Odgrażali się oni wyborem króla, a w razie wyboru, Semko zawsze wyobrażał sobie, iż największe mieć będzie prawo... Władysław Opol-

ski był może więcej znienawidzonym od niego, nad ich dwu, nie było nikogo...

Zamiast spodziewanego posła z Krakowa, przybył nazajutrz Bartosz, wioząc o nowych morderstwach i rabunkach w Wielkopolsce smutne nowiny.

Czeladź Dobiesława z Golańczy, napadła na dwór w Gołaczowie, złupiła go i zniszczyła; Przybko z Przysieki, chwycił dwu swych wrogów; inni poranili śmiertelnie Marcina z Zwanowa, w Obornikach wójta zabito... morderstwom nie było końca.

Bartosz opowiadał o tem niemal z radością, gdyż im większe panowało zamieszanie, tem się spodziewał rychlejszego końca, a dla niego jeden był tylko możliwy — to jest wybór Semka.

Tylekroć zawiedziony w ciągu roku książę, mniej już się nauczył rachować na wszystkie te proroctwa...

Odolanowski pan, choć doznał również strat ogromnych, choć ofiary poniósł ciężkie, starszy, wytrawniejszy, znosił je obojętniej.

Nie ukrywano przed nim tego, że Krzyżacy okazywali pewną skłonność zbliżenia się do księcia, a Bartosz nie tylko z niemi, ale z niewiem jak nienawistnym wrogiem byłby się związał, byle mógł na swem postawić. Głosował więc śmiało, aby pieniędzy wziąć od zakonu i silnie się z nim sprzymierzyć.

Kancierz musiał zapewne podszeptać coś o tem Bohrkowi, gdyż Klecha nie oddalał się z Płocka, siedział u Peleza, — starał się zbliżyć do pięknej Anchen, a raz na dzień na zwiady do zamku przychodził, gdzie się już z nim wszyscy oswoili.

Wreszcie jednej nocy nadbiegł posłaniec z Nowego Sącza; wedle rozkazania, zbudzono Bartosza, dano znać księciu, i taka była niecierpliwość dowiedzenia się co z sobą przywiózł, iż natychmiast zerwali się wszyscy, słuchać opowiadania jego.

Posłem tym Nałęcz był, jak znaczniejsza część tych, co się przy Bartoszu trzymali, a zwano go Zamechem; człowiek zręczny, gładki i do chwytania języka szczęśliwy.

Książę z komnaty wyszedłszy, ledwie opończą okryty, gdy zobaczył Zamecha, naprzód go spytał głosem niespokojnym.

— Przybyła Jadwiga!

— Nie! — rzekł Zamech.

Bartosz z księciem uśmiechając się spojrzeli na siebie.

— Cóż się stało, mów — odczwiał się Semko zbliżając...

— Radzono długo i burzliwie — rzekł Zamech — a że narady tajemne nie były i muie się na nich być dostało. Chciano jeszcze jedno poselstwo, bodaj ostatnie do królowej wyprawić.

— Jak? po co?—przerwał Semko,—gdy już jednych posłów uwięzić kazała!!

— Tak, a przecież Spytek z Mielsztyna, młokos, który u królowej jest w łaskach, i Piotr z Szczekocin kasztelan lubelski ofiarowali się jechać do niej.

— Spytek!—zgrzytając zębami z nienawiścią krzyknął Semko...

— Byłoby może przyszło poselstwo do skutku — dodał Zamech — gdyby nie Przesław Wawelski. Ten był w ostatniem poselstwie do królowej i objawił jej, czcąc swą zaręczając za to, że Polacy więcej żadnych posłów do niej nie wyprawiają, a jeśli Jadwigi im nie da, wprost sobie króla wybiorą. „Moja cześć, rzekł, waszą czcąc jest, mówiłem to cóście mi powiedzieć kazali. Jeżeli nowych posłów wyprawicie, słowo własne złamiecie, czei waszej ujmę uczynicie...”

Dla obrony więc czei swej zgromadzenie się zgodziło — słowo strzymać i posłów nie wyprawiać.

Semko w ręce uderzył radośnie.

— Na tem stało? — zapytał Zamecha.

— Tak jest — zakończył poseł — ale się inaczej obróciło przecie niż postanowiono. Sędziwoj z Szubina, któremu szło o bratanków uwięzionych przez królową, na swoją rękę pobiegł ja ostrzedz, że nie przysze-li Jadwigi a rychło, korona jej przepadnie...

Zmarszczył się Semko trochę.

— Myślicie, że co wskóra?—zamruczał. Zamech stał nie śmiejąc odpowiadać... Bartosz też milczał.

— Królowa córki swej, dziecka trzynastoletniego dać nie myśli pewnie — przerwał sam Semko. — Gdyby chciała ją do Polski odprawić, dawno czas miała sama ją odwieść, lub wysłać... Po tylu zwłokach... nie wierzę!! — zawołał Semko...

Zamech milczący długo, potrząsał głową.

— Jeżeli prawdę mam rzec — odezwał się — w N. Sączu inaczej o tem sądzono. Spytek z Mielsztyna nagłące wyprawił do królowej ostrzeżenie, iż dłużej Polacy czekać nie chcą i nie będą. Sędziwój też...

Tam w Krakowie, wszyscy się Jadwigi spodziewają, a wyglądają jej jak zbawienia i liczą na to, że przybyć musi...

Bartosz począł posłać wypytywać więcej, a książę natychmiast się oddalił... Wziął go więc do izby swej dla lepszego zbadania, a gdy nazajutrz z księciem się zszedł, nie taił, że i on jest tego przekonania, iż Jadwiga przybyć musi.

— Jak gdybyś mi rzekł — odparł gorzko Semko — że my już żadnej nadziei mieć nie możemy!

— Jakto! — gorąco podchwycił Bartosz —

męża przecie dla królowej muszą wybrać, a nie mają dla niej nikogo krom was...

Tyle razy to już słyszał Semko, iż przyjął z niedowierzaniem i zimno.

— Słyszeliście o Jagielle — odparł krótko. — Z nienawiści dla mnie gotowi poganina wziąć.

A po namyśle dodał.

— Aby temu zapobiedz jeden środek jest... z Krzyżakami się związać.

— Bodaj z djabłem! — wykrzyknął Bartosz.

Bobrek, który tegoż dnia około południa przyszedł, wedle zwyczaju, pozdrowić kanclerza, w dziedzińcu już potrafił się dowiedzieć o powrocie Zamecha i o tem co on przywiózł. Ks. kanclerz powitał go uprzejmie... Po krótkim wstępie zwrócił się wprost doń.

— Nie od rzeczy by było dla rozmówienia się w sprawie Wizny, około której są różne trudności, aby książę z mistrzem się zjechał?

Bobrek się tego trochę spodziewał.

— Każecie mi się dowiedzieć? — spytał.

— Nie od rzeczyby było — powtórzył kanclerz. — Książę może być ztąd powołany wkrótce gdzieindziej.

— Zatem mam jechać?

Skinął kanclerz potakująco...

Bobrek w rękę go pocałował i zniknął.

W kilka dni potem Semko z Bartoszem

wyruszyli niewiedzieć dokąd, i niestało ich w zamku tak cicho, że nikt się nie dopatrzył kiedy i jak wyjechali...

Mistrz Czolner czekał na nich w Toruniu.

Tym razem spotkanie i widzenie się było tak przed oczyma ciekawemi zakryte, iż nikt na zamku się gości nie domyślał. Przybyli w małym poczie, wysiedli w mniejszym podwórk, a Krzyżacy zaprowadzili ich ciemnymi korytarzami do izb, w których oprócz mistrza i marszałka Walenroda nie było nikogo.

Czolner i marszałek oba mieli twarze zasępione i czoła pofałdowane. Nie skrywali się nawet z gniewem, który w nich wrzał.

Czolner, zaledwie powitawszy księcia, począł rozmowę wybuchem.

— Książę nie powinienes zrażać się niepowodzeniem. Wiecie co wam i nam zagraża! Osnutą jest najpiekielniejsza zdrada... poganina tego Jagiellę chcą na tronie osadzić.

Myśmy go już mieli w ręku! Litwa była naszą...

— Jest że to prawdą? mogłoby się to spełnić? — przerwał Bartosz.

— Nie wątpię, że niemało trudności mieć będą — krzyknął Czolner — w Rzymie i wszędzie gdzie możemy, zapobiegać będziemy...

Tu zwrócił się do księcia.

— Wy powinniście teraz właśnie starać się o to, aby go nie dopuścić...

Polacy Zygmunta nie chcą; zapowiedzieli jemu i królowej, że siłą mu się będą opierać, Opolskiego nie chcą także; was muszą wziąć... Wy...

Bartosz podjął się tu być rzecznikiem swojego pana.

— Wasza miłość wiesz — rzekł do mistrza, iż książę czynił co mógł, wycieńczył się, kraj mu spustoszone, wyczerpały się środki...

— My pomożemy mu — niech idzie z nami — podajmy sobie ręce... począł mistrz — Jagiełły na tron dopnieć nie można... On i Mazowsze pochłonać zechce i zakonowi pokoju nie da.

Nigdy jeszcze tak otwartemi Bartosz nie widział Krzyżaków; obawę teraz mieli tak wielką, iż ukrywać jej nie umieli...

Czolner natychmiast się oświadczył, że pieniądze gotów jest pożyczyć, żądał wprawdzie zastawu, lecz obiecywał nie tylko niemi zasilić księcia, ale go silnie popierać...

On i Wallenrod utrzymywali, że mężem Jadwigi nikt nie mógł być tylko Semko, już królem wybrany. Gotowi byli nareszcie przeciwko przyjazdowi królowej zabiegać, jeżeli on im grozić miał poślubieniem jej Jagielle.

— Rzecz ta jednak w Polsce dotąd wcale

prawie nieznana — odezwał się Bartosz. — Tam jeszcze o Jagielle głucho!

— Tem gorszy znak — krzyknął Czolner. Może się nie udać co głośnie zawczasu, a co tajone, najniebezpieczniejsze. O Jagielle nie mówi nikt, ale ci co najprzebieglejsi są, o nim myślą.

My wiemy o wszystkim... Jeździł Hawnul do Krakowa... ten Niemiec zdrajca, ten chrześcianin co się poganom zaprzedał... Posłali potajemnie Polacy do Wilna... Układają się, zdrady przeciwko nam, przeciw Chrystusowi, przeciw Bogu knują! Odstępcy! Synowie szatana...

To mówiąc nie posiadał się już z gniewu mistrz i pohamować nie mógł.

Przez cały czas pobytu na Toruńskim zamku, mowy o czem innem nie było. Czolner najłagodniejsze ofiarował warunki pożyczki, wymagając od Bartosza i od księcia, aby energicznie popierali sprawę swoją.

Napróżno malowano im trudności, poniesione straty, naostatek najdotkliwsze — odebranie im arcybiskupa Bodzanty, którego stronnictwo przeciwnie, najazdem i zniszczeniem dóbr, opanowaniem Znina, zmusiło do odstępstwa... Na arcybiskupa wcale już rachować nie mogli.

Krzyżacy namawiali do wojny, potajemnie ofiarując posiłki, wskazywali drogi i ludzi, któ-

remi w Małej Polsce stronników sobie zjednać było można.

We wszystkim tem jednak, rozważny Bartosz, nie widział żadnej podstawy do działania. Niepowodzenie czyniło go mniej śmiałym, gdy Krzyżacy roznamiętnieli, a cudzemi rękami usiłujący się posłużyć, gotowi byli popchnąć Semka znowu do najzuchwalszych kroków.

Narady więc, oprócz umowy o pieniądze, nie doprowadziły do niczego. Krzyżacy dawali je w przekonaniu, że w jakikolwiek sposób książę je zużytkuje, popierając sprawę własną, Jagielle będzie szkodził i utrudniał zdobycie korony.

Wyczerpawszy wszystkie zasoby, Semko rad był, bądź co bądź, pozyskać zasilek od zakonu, i upewnić się, iż będzie popartym przez tą potęgę... Stał więc układ i Semko z Bartoszem powrócili do Płocka zyskawszy grosz na potrzebne dla samego ubezpieczenia się na Mazowszu zaciągi.

Bartosz natychmiast wyruszył znowu gromadzić kopijników...

Semko pozostał jeszcze w Płocku.

Ani jeden, ani drugi nie wazyli się wszakże na żaden krok stanowczy... Jagielło wydawał się im czasem, jak nieprawdopodobny strach jakiś, rzucony tylko dla wzniesienia popłochu.

W Polsce wcale o nim nie mówiono...

Jeszcze nie pewien był co pocznie, i gdzie się obróci Semko, gdy z bardzo małym pocztem, tajemnie nadciągnął ks. Janusz.

Bracia nie widzieli się z sobą od dawna, stali na przeciwnych sobie krańcach. Janusz nie mięszał się do niczego, wiadomem było, że z królową Elżbietą zawarł rodzaj przymierza, i zobowiązał się nigdy przeciwko jej interesom nie czynić nic.

Napróżno Semko kilkakroć odwoływał się do niego.

Przy najeździe Mazowsza, Węgrowie posiadłości jego nie tknęli, tak jak w Knjawach części trzymanej przez Opoleczyka.

Semko miał ciężki żal do brata, chociaż ten zawczasu mu zapowiedział, że o sobie tylko myśleć będzie...

Przybycie Janusza przykrem było dla Semka, musiało też dla obu być niem równo. Lecz spokoju ducha ks. Czerskiego nie zachwiać nie mogło. Przybywał tak chłodny, jakby sobie nie do wyrzucenia nie miał, i wyrzutów się żadnych nie spodziewał... W Płocku czuł się jeszcze zawsze jak w domu i głową rodu...

Znięszany wyszedł ku progowi na przyjęcie go Semko... Janusz naprzód bacznie się twarzy jego schudłej, ogorzałej i zmęczonej przypatrywać począł. Uścisiuła się zimno.

Starszy brat zrzucił płaszcz i siadł za stół odpocząć.

Starsi ze dworu, którzy się stawili na powitanie, odeszli natychmiast, braci zostawiając sam na sam z sobą.

Nierychło Janusz począł rozmowę drażliwą. Spytał o Henryka — potem od jak dawna Semko do Płocka powrócił.

— Obawiałem się nie znaleźć was — rzekł w końcu — lecz czas, byście się już w pole nie kwapili; nie macie co robić na niem... Wszystko skończone, co wam dobrzy druhowie nawarzyli, wypiliście i długo jeszcze pić będziecie...

— Nie straciłem nadziei — odparł Semko.

— Upor wielki, tem drożej go przypłacić — rzekł Janusz... Jeszcze byście może ratować się mogli teraz, gdy jutro, kto wie czy nie będzie za późno...

Semko rozdrażniony, zerwał się żywo.

— W Nowym Sączu przecież i Małopolskanie i wszyscy oświadczyli się, że króla wybrać muszą...

Janusz ramionami ścisnął.

— Wierzej mi — rzekł — że wybiorą go chyba, gdy królowę mjeć będą, a ta niezawodnie przyjedzie...

— Elżbieta posłów uwięziła!

— Wypuści ich i Jadwigę pośle... Chybaby szaloną była...

Chwilę pomilczał Janusz.

— Przybyłem z tem do ciebie—rzekł zimno—
abym ci dobrą przyniósł radę. Ratuń się czyniąc
w czas pokój i zgodę.

— Nie mogę — zamruczał Semko...

Wnijscie starego Sochy przerwało tę pierwszą między braćmi rozmowę.

Janusz zwrócił się do niego.

— Że młodzi szaleją, to nie dziw, — odezwał się — ale i ty stary...

Wojewoda się nie uniewinnił.

— Pana opuścić w jakiej bądź doli nie mogłem — rzekł po namyśle...

Henryk, który teraz rzadziej Semka nawiedzał i zamiast dawnego zuchwalstwa, okazywał mu rodzaj milczącej wzgardy, stawiał się dla powitania starszego. Dopelniał tego z przesadzoną uniżonością, jakby okazać chcąc tem lekceważenie dla Semka

Janusz podroślemu i zmężnialemu przypatrzył się milczący.

— Spodziewam się — odezwał do niego—że suknia już nie cięży?

— Zawsze równie — rzekł Henryk...

— Zbroja też niełżejsza, wierzaj mi — sucho odparł Janusz—a przeto jej nam zrzucić jak tobie sutanny twej nie wolno.

Uśmiechnął się ks. Henryk.

Uśmiech ten zastępował słowo, i znaczył wiele, ale Janusz go nie podniósł. Obrócił się do Sochy z obojętnem pytaniem, potem Semka zagadnął o obronę Płockiego zamku, czy o niej myślał na wypadek wszelki.

Na pytanie to wojewoda odpowiedział, iż mieli na teraz zawieszenie broni, a w przyszłości nadzieję zawarcia pokoju.

— Bógby go dał — rzekł ks. Janusz. — Wojna jest piękną rzeczą, ale dużo kosztuje, a rzadko co przynosi, oprócz ran i żalu.

— Sławy nie liczysz — dumnie odezwał się Semko.

Janusz potrząsnął zlekka głową.

— Jak nie wszystkie potrawy każdemu smakuja, tak i sława — dodał — nie karmi ona... Jam jej przynajmniej nie pożądał nigdy. Pokój mi milszy. Wiem, że to się zowie nie rycerskiem, lecz nie wszystkim rycerzami być. Wielej bohaterowie złemi bywają gospodarzami, a u nas jeszcze gospodarzyć trzeba wiele...

Wszyscy słuchali Janusza spokojnie spowiadającego się ze swych przekonań; Henryk tylko twarzą dawał poznać, że ich nie dzielił.

— Ty jako przyszły sługa Boga pokoju i miłosierdzia — rzekł Janusz zwracając się do niego — powinienes zawczasu uczyć się cenić więcej trud cichy, niż rycerskie rozrywki.

Nie śmiejąc spierać się ze starszym, Henryk

zmilezał, lecz odszedł dalej, aby okazać, że nauki nie przyjmuje.

Ks. Janusz po krótkim przestanku, wszczął już rozmowę inną, dopytując o zniszczeniu, jakie w tej części Mazowsza poczynili Węgrowie. Były one tak dotkliwe, tak wielkie, że Socha począwszy o nich, przejął się boleścią i gniewem.

Całe osady stały pustkami, tysiące ludu rozpierchło się, poginęło, poszło w niewolę. Ogromne stada bydła, koni, niezliczone wozy łupów uprowadzono... Socha wzdychał i ręce załamywał.

— Macie owoce bohaterstwa waszego — rzekł Janusz zimno—bo dotąd nie zyskaliście nic więcej. Kraju mi tego żal, bo długich lat potrzeba będzie, aby się rany zabiły... Obok was, ks. Władysławowi Opolskiemu włos nie spadł z głowy... A! a! biedne Mazury moje!

Wszystko to co mówił Janusz, jak gorący żar padało na Semka, który stał milezący, bladł i w rękach mieczyk swój cisnął, jakby go chciał potrzaskać w kawałki.

Nie odzywał się, aby nie wywoływać nowych wymówek i w nadziei, że brat niepodsycany sam przerwie raz mowę. Ale Socha zbolący nie ustawał w opowiadaniu.

Pobył ks. Janusza w Płocku nie był długi, drugiego dnia jeszcze wziął Semka na stronę,

usiłując przekonać, że powinien był błąd naprawić i zaniechać wszelkich starań o koronę.

— Mazowska mi naszego żal — rzekł — bo nad tobą żalić się nie mogę, masz czegoś pragnął i co ci przepowiadałem...

Tak jest—dodał poważnie.—Piastowie korony nosili, ród ich panował Polsce, lecz rody upadają jak grody... i wolą Bożą w tem szanować trzeba. Darmo przeciwko niej się miotać.

Semku mój, póki czas... ocal się i nie daj wichrzycielom przewodzić nad sobą.

— Stanie się co przeznaczono—rzekł Semko.—Przed czasem cofnąć się nie mogę...

— A po czasie zapóźno będzie!

Wstał ks. Janusz i po ojcowsku objął brata za szyję. Drgnęło w obu serce przy tem pożegnaniu. Semko przeprowadził go z poszanowaniem... Podali sobie ręce w milczeniu.

Henryk nadszedł też pokłonić się starszemu, który z właściwym sobie uporem, na odjeźdźnym jeszcze mu powołanie i sukienkę przypomniał...

Po odjeździe Janusza dni płynęły jednostajnie na Płockim zamku, do którego rozpiechła, przerzedzona szlachta nie napływała teraz, chyba ze skargami i prośbami... Nawet Bartosz z Odolanowa mniej był czynnym, czując się nie dosyć silnym, aby do walki stawać z Grzymałami, popieranemi jawnie i tajemnie przez Małopolan i stronnictwo królowej.

Bezczynność nużyła człowieka krwi gorącej, młodego, czującego, że go wywiedziono w pole. Krzyżacka pomoc obiecana, za którą ziemią płacić było potrzeba, nie na wiele mu się zdała; nie począć nie mógł, a oczekiwanie i niepewność wyczerpywały siły.

W godzinach takiego zwątpienia przychodziły na myśl rady braterskie, nauki ojcowskie, — za późno, bo dziś poddać się było niepodobna bez strat tak wielkich, iż przyszłość odbierały.

Krzyżacy trzymali zastawem znaczną część kraju, ojcowskiej spuścizny; oprócz tego znaczne summy dłużnym był Semko lichwiarzom krakowskim, przy zajętych Kujawach utrzymać się nie było podobna, ani Drohiczyna od Jagielly odzyskać. Wszyscy ci co dotrwali przy księcin do końca, straciwszy mienie, oglądali się na niego, aby im nagrodził ubytki.

Musiał więc nieszczęśliwy trzymać się do końca — i paść całkiem zniszczony, lub dźwignąć się przynajmniej do dawnego bytu.

Gorzkie to były godziny rozmyśłów i żalów nad własną dolą. Drogo opłacał tę chwilę zwycięstwa, gdy szlachta go na barkach wyniosła sadząc na tronie, którego posiadać nie miał.

W tych myślach i nasłuchiwanii co przychodziło z Małopolski, upłynęło całe lato, zbliżała się jesień.

Z Krakowa posłańcy zgodnie jedną powta-

rzali piosenkę — Jadwiga przybyć miała nieochybnie.

Tym razem przyrzeczenie królowej Elżbiety, której nikt już nie wierzył, spełnić się miało, nie przez jej dobrą wolę, ale dlatego, że Polska dla niej inaczej byłaby straconą.

Przybycie Jadwigi znaczyło dla Semka tyle, to kres wszelkich nadziei. Mógł walczyć jeszcze, lecz chyba dlatego, ażeby trzymając się, doczekać zagłady, łatwo przewidzianej.

Książę w końcu lata, gdy Krzyżacy wcale mu znowu jawnie pomagać nie chcieli, a dokuczliwe długi coraz nowych ofiar wymagały, rozpaczliwie zadumany, nie wiedział już, w którą stronę się stronę, gdy dnia jednego wychodząc z kościoła, ujrzał przed sobą we drzwiach n krowielnicy stojącego starego mnicha. Podał mu on uśmiechając się wodę święconą.

Ze zdumieniem i radością jakąś poznawszy w nim brata Antoniusza, Semko się zatrzymał.

— Wy? tutaj? znowu? — zapytał go — cóż porabiacie?

— Po drodze zaszedłem — odezwał się starszek, który zawrócił się i począł za księciem iść ku zamkowi. Jakiś czas przebywałem w Krakowie n braci, ale u nas posłuszeństwo pierwsza cnota. Gdzieindziej mnie potrzebują. Wziąłem sakwy na ramiona.

— Zatrzymajcież się i spoczniście u mnie — rzekł Semko. — Kanclerz was przyjmie gospodą.

Stary mnich obejrzał się bacznie dokoła. Zdawało się, że teraz, dwór i dworzanie książęcy, kilku siwych niedobitków po ojcu odziedziczonych i młodzież nowo zaciężna. Bliżej ich nie było nikogo, mogli więc mówić sobie.

— Gdybyś miłość wasza miał trochę czasu — rzekł brat Antoniusz cicho — radbym pomówić...

Bystro spojrzał nań Semko.

W tem zrozpaczonem położeniu, najmniejsza zmiana, najłżejsza nadzieja była mu pożądaną. Pomyślał, że może zakonnik przybywał do niego z jakim poselstwem z jakim promykiem nadziei.

— Chodźcie ze mną, ojczo — odczwał się głosem, w którym wzruszenie czuć było — jestem sam teraz... Będziemy mogli rozmówić się.

Byli już u progu dworca i książę wprost poprowadził Antoniusza do swej sypialni.

Staruszek szedł, oglądając się po zamku z tem weselem nigdy nie zamyślonem niczem, które go cechowało... Za wszystko Boga chwalił.

Semko przyspieszał krokn, wyobrażał sobie już, że zakonnik coś mu ważnego przynosi. Zwrócił się ku niemu z oczyma ciekawością wyjaśnionemi.

— Miłość wasza przebyłeś wiele — rzekł

stary po namyśle. — Bóg łaskaw, że zsyłając krzyżę, ocalił wam życie, a dał doświadczenie. Niech będzie błogosławiony...

Po tym wstępie, stary podniósł nań wejrzenie.

— Co się przecierpiało, trzeba za to dziękować opatrzności — dodał — aleby czas było, abyś miłość wasza, o spokój swój na przyszłość postarać się chciała.

— Mój ojciec — rzekł zawiedziony temi czczeni słowy Semko — starać się bym rad, lecz poniżać się, żebrać nie mogę... Będzie co Bóg da, cześć trzeba ocalić.

Zakonnik myślał trochę.

— Spróbuj miłość wasza — rzekł — ja podam środek...

— Jaki? — zapytał zdziwiony książę... Antoniush, jakby zmuszonym był każde ważyć słowo i bał się nazbyt powiedzieć wiele, stał zadumany znowu.

— Jaki? — powtórzył Semko.

— Dałem na to słowo, że imienia tego nie wyjawię, kto waszej miłości pomocnym być chce; dowiecie się go sami. Tyle tylko mi zlecono, abyście naznaczyli czas i miejsce, najlepiej kędy ku granicom Mazowsza, w pustem nroczyisku, gdzieby dobrej woli a i mocy niemałej człowiek zjechał się z wami na rozmowę.

Dziwne trochę żądanie to, o którym Anto-

niesz mówił z pewnym uśmiechem łagodnym, tak księcia zdumiało, iż długo nie mógł odpowiedzieć na nie.

— Ojciec mój, — rzekł po namyśle. — Wy w świętobliwości waszej nie podejrzycie nikogo. Ja muszę się obawiać wszystkiego, nawet zasadzki. Macież pewność, że mnie tam nie wiedzą, aby się pozbyć, pochwycić, uwięzić?

Mnich ręce podniósł do góry.

— Możecie przypuścić, żebym ja się dał do tak niecnej sprawy użyć za narzędzie.

— Mimo waszej woli.

— Nie—energicznie odparł brat Antoniusz — Znam i wiem komu wiara dać mogę. Każecie? towarzyszyć wam będę.

Senko w domysłach był zatopiony.

Trudno mu było odgadnąć, kto mógł i do brze życzyć, i mieć sposób ratowania go. Brat Antoniusz stał i czekał.

— Mój ojciec — rzekł Senko — zaręczenie wasze wielką ma wagę u mnie, a jednak...

Zakonnik rękę przyłożył do serca.

— W. miłość i cześć swą i mienie i przyszłość możecie ocalić od niepewności i narażenia na losy...

Schylił mu się do kolan.

— Posłuchajcie mnie, naznaczcie czas i miejsce...

Senko zadumał się długo, przeszedł po izbie raz i drugi.

— A jeśli ratunek okaże się niemożliwy, jeżeli mi postawią warunki takie, na które przystać nie będę mógł?

— Naówczas, miłość wasza, nie straciecie na tem nic, oprócz kilku dni i daremnej przejażdżki.

Namyślał się jeszcze książę chwilę.

Lecz nie miał już nic prawie do stracenia, a mógł coś uzyskać? nie nalczałóż próbować?

— Za czternaście dni na Murawim Ostrowiu — rzekł w końcu.

Staruszek złożył ręce.

— Bogu niech będą dzięki — szepnął.

Ja idę dziś jeszcze, aby wyprawić gdzie po trzeba...

I natychmiast opuścił komnatę, o kiju spieszenie krocząc do bramy.

II.

Murawi Ostrów leżał na granicy, w lasach Mazowsza, a nazwanym był, jak się domyślać łatwo od położenia swojego na wzgórzu, w widłach dwóch rzeczulek, które u stóp jego rozciągające się błoto łączyło.

Wyniosłość była ledwie znaczna, dość rozległa, prawie cała odwiecznemi porosła drzewami. Po nad rzeczulkami i moczarem gęsto zarastały łoziny, wierzby, krzewy bujne, w pośrodku stare sosny i dęby nie dopuszczały już krzakom żyć pod sobą, tu ledwie miejscami borówki i brusznice żyć mogły... Gałęzie starych olbrzymów prawie nie dopuszczały światła i to tylko co się bez niego obchodzić mogło, drzemiąc w mroku, blade rozpościerało wici.

Część ta lasu majestatyczną była i piękną. Wiosną znaleźć było łatwo i zwierza, latem pu-

stował Ostrów, bo tu pożywienia on nie znajdował, czasem tylko stada łosiów i kóz, gdy strumienie powysychały, przychodziły się w nich orzeźwiać.

Ludzie rzadko się tu zabłąkiwali...

Ostrów położony był dość odlegle od gościńców i rzek większych, osad w okolicy nie było...

W końcu Sierpnia, na dzień naznaczony, Semko, który niecierpliwie czekał na to, gubiąc się w domysłach najrozmaitszych; znalazł się wieczorną porą na Murawim Ostrowiu. Towarzyszył mn, jak przyrzekł brat Antonjusz, a oprócz niego służby kilkoro, która namiot i zapasy wiozła podróżne.

Nie zastali nikogo. Semko sam wybrawszy miejsce, wśród najstarszych drzew, nie daleko rzeczki, gdzie pasza dla koni była dobra, namiot duży rozpostrzeć kazał i szalasy sposobie...

Ludzie nawykli czasu łowów do podobnych nolegów, szybko i umiejętnie wzięli się do roboty... Rozpalono zaraz ognisko, wyszukawszy suche gałęzie sosnowe i płomień syknął wesoło. Latem czy zimą, ogień na popasie i nolegu musiał się palić. Wstrzymywano się tylko od nakładania go, gdy mógł zdradzić przed nieprzyjacielem.

W lecie panowała cisza, tej porze roku wła-

ściwa, gdy już znaczniejsza część ptactwa milknie.

Górą kołysały się zielone gałęzie, powolnie, jak senne — a szum ich tonął w tem uroczystem milczeniu samą swą jednostajnością.

Książę oczekiwał na jadlo, które dla niego przygotowywano, a brat Antoniusz, będący, jak większą część roku, z suchotami — jadł kawałek chleba z solą, który mu najlepiej zawsze smakował, gdy szelest się dał słyszeć zdala, a potem stąpanie koni, po miękkim pokładzie leśnej ziemi, niebardzo się rozlegające.

Z po za drzew ukazało się kilku jeźdźców. Z nich jeden tylko, dawszy znak towarzyszom, aby zostali opodał, gdy księcia zobaczył, dobiegł do obozowiska sam i z konia skoczył.

Semko, którego ciekawość wielka paliła, patrzył pilno, lecz przybywającego poznać nie mógł.

Dopiero, gdy konia rzuciwszy pieszo się zbliżył, czapkę zdejmując przed księciem, wpatrzywszy się w niego, przypomniał.. starostę Hawnula. On to był w istocie.

Książę, któremu pamięć po nim dosyć dobra została, uczuł się spokojniejszym, widząc że z nim miał do czynienia.

Łatwo się mógł domysleć, że przybywał w sprawie Jagiełły.

Wspomnienie Litwina, który był jego współ-

zawodnikiem i odbierał mu koronę, ścisnęło serce Semkowi. Pomimo przykrego wrażenia tego, powitał Hawnulę z uprzejmością, lecz razem dumą człowieka, który pamiętał, że choć chwilę królem się sądził.

Hawnul podchodził ku niemu zmieszany widocznie, mierząc go niespokojnymi oczyma, pragnąc myśli odgadnąć.

— Niech mi wasza miłość przebaczy—zawołał—żem ja trudził aż tutaj; Bóg świadkiem, iż pragnę dobra, i sądzę, że pokój i przyszłość szczęśliwą przynoszę...

Milczał książę, skłoniwszy głowę tylko. Hawnul witał starego, który na widok jego radośnie się uśmiechał.

— Bracia was pozdrawiają!—rzekł.—O. Paweł śle wam słowo serdeczne.

Zakonnik ręce podniósł uweselony...

Tymczasem drużyna księcia łowiecką strawę przygotowywała i na ziemi rozłożyła przybory. Semko wskazał ręką, poszli wszyscy do tego leśnego stołu i na siedzeniach na prędee uklepanych, miejsca zabrali. Brat Antoniusz tylko dojadający chleba siadać nie chciał, a wkrótce się z różańcem na stronę oddalił.

Hawnul widząc, że Semko nie zechce począć rozmowy, pierwszy ja zagaił.

— Miłościwy książę, naprzód wam to oświadczyć muszę, że choć za wiadomością pana

mego tu przybywam, nie jestem jego posłem. Moja to własna żądza zgody i pokoju mnie tu przygnała. Lecz, pod przysięgą też zeznam wam, iż to co przyrzeknę w imieniu pana mojego, on dotrzyma...

Zamilkł nieco, i mówił dalej.

— Wciągnięto was, miłościwy panie, i zawiedziono... Co się stało, próżne boleć nad tem. Królowa Jadwiga przybywa... to nie ulega wątpliwości. Między panami co ją otaczają i będą pierwszymi jej kierować krokami, znaczniejsza część zobowiązała się dać jej za małżonka pana mojego.

On Polsce przynosi nową siłę, bogactwa, zasługę w obec Kościoła, pokój i, da Bóg, długie lata szczęśliwości...

— Wszystko to — rzekł cicho Semko — jeszcze jest nadzieją tylko i niepewnością... Królowej dotąd niema, królowa Elżbieta oszukiwała Polaków tylekroć, że jej wierzyć nie można... Jagiełło w wojnie srogiej z zakonem i on sam niepewnym, czy się utrzyma.

— Zadamy cios zakonowi straszny tem, coście wy sami przygotowali — rzekł Hawnul — odbieramy im Witolda. Jagiełło silniejszym się stanie niż był. Nie mamy o to obawy... W Polsce uczyniliśmy starania. — Tu Hawnul się uśmiechnął. — Jedni dla Kościoła i Polski, drudzy

dla złota nam pomogą. Mamy czem nagrodzić tych, co posiłkować będą...

Mówił to z taką pewnością, iż Semko słuchając, zwiesił głowę.

— Gdyby korona, którą wam ofiarowano do osiągnięcia była — dodał starosta — nie odwozilibym was od niej, ani śmiał — odbierać — lecz, miłościwy książę, macie nieprzyjaciół więcej niż druhów. Boją się was. Ktokolwiek królem będzie, wy jej nie osiągniecie. Z nami zawierając przymierze, wyrzekając się tego, co niepodobne, możecie odzyskać, coście stracili i zdobyć więcej, nie wyjmując z pochw oręza...

Semko dumiał. Jechał tu wprawdzie nie żywiąc żadnej nadziei, oddawna jej pozbawiony, teraz, gdy z nim w układy wchodzić zapragnął Hawnul, rachował, że przecież coś go do tego skłaniać musiało; odzyskiwał przekonanie, że siłę jakąś mieć musiał...

— Jeżeli nie mam, jak mówicie, żadnego już środka dobicia się korony, dlaczegoż ująć mnie chcecie? — zapytał.

— Dlatego,—zawołał Hawnul, — że nieprzyjaciół, wstępując w próg nowego państwa, Jagiełło mieć nie chce. Możecie bezskutecznie trapić nas walką...

Książę poruszył głową.

— Stawcie się — rzekł — w położeniu mem!

Byłem obrany i okrzyknięty królem! Pamięć tego dnia się nie zatrze. Naprawdę, bez władzy, alem tym królem po dziś dzień... Jestem z krwi tych panów, co długie wieki Polską władali... Korona z prawa na kądziel zejść nie mogła. Miał-żebym się rzec tego, zapomnieć, żem walczył, uznać się zwyciężonym? Lepiej umrzeć i ginąć, niż srom znosić. Pokójbyni miał, cześć bym postradał!!

Książę ożywił się mówiąc, głos mu drżał — Hawnul dał ochłonać.

— Zwyciężonym być, bolesna rzecz — odezwał się,—ale któryż rycerz nimi nie bywał? Wy zaś, miłościwy panie, zwyciężouym nie jesteście, nie będziecie, poświęćcie siebie dla Kościoła, dla nawrócenia pogan, dla sprawy Chrystusa; Bóg wam to nagrodzi, ludzie ocenią, Polska wdzięczną będzie...

Hawnul mówił żywo i z gorącością człowieka, który wielkim celem, jaki miał przed sobą, był olśniony... Głos jego drżał, wyrazy siłę miały, jaką daje duch możny. Książę zawahał się z odpowiedzią.

Nie śmiał pytać, co w zamian otrzymać może od Jagielly.. Starosta dał mu się rozmyśleć, i wyczekawszy nieco, począł powoli.

— Jagiełło w domu tym, na pierwsze czasy potrzebuje pokoju; zresztą nieochybna czeka go wojna z zakonem. Krzyżacy ochrzcić nie mo-

gąc i uczynić sprzymierzeńcem i holdownikiem, wszystkie siły zwrócą przeciw niemu... Wojna w domu byłaby nieszczęściem. Nie bądź więc książe nieprzyjacielem, ale sprzymierzeńcem, naśladowaj brata. Odzyskasz całą swą dzielnicę.

— Trzymam Kujawy — wtrącił książę.

— Jestem pewien, że albo wam je Jagiełło zostawi, lub innem wynagrodzi nadaniem.

Starosta pomilczawszy chwilę, nieśmiało wahając się dodał zniżwszy głos.

— Widziałeś miłość wasza, będąc w Wilnie, młodą i cudnej urody siostrę Jagiełły... Aleksandrę.

Semko drgnął zarumieniony...

— Jagiełło jej rękę z wianem książęcym wam da z pewnością. Będziecie mu bratem najmilszym, jak ona jest z sióstr najdroższą...

Staniecie przez to tak blisko tronu, że wam ani panowie wielkopolscy, ani w świecie nikt serca Jagiełły odebrać nie potrafi. Będziecie mu doradcą, bratem.

Spojrzał książę słuchając na Hawnula już nie posępny wzrokiem, którym go witał, lecz rozjaśnionym nadzieją. Na myśl mu przyszedł obraz tego złotowłosego dziewczęcia. Miałoby ono wyrokiem Bożym być mu przeznaczonem, i losem wskazanem. Serce mu uderzyło... Składało się tak wszystko, iż widzieć w tem mógł wolę opatrności. Duża jednak poddać się tak

skoro nie pozwalala, ona jedna teraz jeszcze zamylała mu usta...

Hawnul nie zrażał się milczeniem upartem, i sam mówić dalej.

— Księżniczkę Olgę Aleksandrą ja znam od dzieciństwa. Mała to rzecz, że najpiękniejszą jest z rodzeństwa, i że w krasie równej niema u nas. Daleko więcej znaczy, że ma serce litościwe, że dla sług i niewolnic jest dobrą, że wszyscy ją kochają, a ona dla najbiedniejszych jest najlepszą. Chrześcianka gorliwa, pobożna, pracowita...

Hawnul z uniesieniem długo począł mówić o przymiotach i cnotach księżniczki.

— Jagiełło ją nad wszystkie swe rodzeństwo miłuje — dodał — możecie więc być pewni, że los jej i wam zapewni świetny...

Zatopiony w myślach, Semko słuchał spokojnie, nic nie odpowiadając, wtrącił czasem krótkie pytanie, nie dając poznać po sobie nic, oprócz ciekawości. Wszakże Hawnul miał prawo wnosić z samego milczenia, że myśl, którą przyniósł, ujęła Semka za serce...

Długo po ukończeniu wieczerzy, siedzieli jeszcze, aż noc zapadła... i ognisko tylko rozłożone im przyświecało. Dla Hawnula czeladź jego opodał szalasz przygotowała. Rozeszli się nie wprowadzając postanowiwszy, bo Hawnul nalegać nie mógł, lecz starosta udał się na nocleg z sercem nadziei pełnem.

Po drodze przechadzającego się jeszcze z pa-
cierzami spotkawszy brata Antoniusza, Hawnul
pochylił się do ręki jego i szepnął.

— Ojcie, módl się, abyśmy nie wracali
z niczem.

— Cały wieczór do Boga wzdycham o to —
odparł staruszek...

Pozostawszy sam Semko siedział u ogniska
długo. Sen go nie brał. Myślał a ważył i rozwa-
żał, co czynić.

Jeden wstyd tylko hamował go jeszcze...
Opatrzność widocznie łaskawa podawała mu rękę,
do wyrwania się z nad brzegu przepaści; lecz
potrzeba było mieć mężstwo i stateczne postano-
wienie, aby oprzeć się nowym pokuszeniom Bar-
tosza i tych co z nim trzymali. Zerwać z prze-
szłością, wrócić na ojcowskie i braterskie tory:
wyrzec snu o koronie na wieki!!

Dziś był to już sen tylko złoty, który się
skończył krwawo i czarno...

Pobożny Semko, westchnął do Boga... w du-
szy mówiło mu coś, że Piastów panowanie i ród
się kończył.

Dlaczegoż nie zginął w boju?

Marząc i usypiając, budząc się do nowych
rozmyślań o swej doli, Semko dotrwał na po-
słaniu do rana. Zerwał się słysząc drobnych pta-
sząt ćwierkanie i poszedł błądzić po ostrowie...

Tu go spotkał także już rozbudzony i mo-

dlący się brat Antoniusz; a w chwilę potem nadszedł Hawnul.

— Książę miłościwy, rzekł — zbiegłem tu niemal życie wając, godziny mam policzone; zatem pokornie proszę was: stanówcie z czem mam powracać.

Stał Semko mileżący długo, słowa gotowe w duszy przez usta mu przejść nie mogły. Naostatek wdychając, rękę wyciągnął Hawnulowi i szepnął:

— Dziej się wola Boża.

— Amen, — dodał pobożny starosta, skłaniając głowę i podnosząc ją wnet z obliczem rozjaśnionem. Z uczuciem ucałował rękę księcia.

— Życie moje stawię na to — zawolał — że miłość wasza postanowienia swego żałować nie będziesz. Uczyni Jagiełło dla was, co tylko w mocy jego; przysięgą jestem gotów to stwierdzić.

Lecz książę dochowaj mu wiary.

— Cóż mam czynić? — zapytał Semko.

— Na teraz nie jeszcze takiego, coby układ zawarty zdradzać mogło. Jadwiga przybywa; wszyscy spieszą przyjmować młodą królowę, jeżeli miłość wasza zapragniesz, choćby potajemnie możesz się znaleźć w Krakowie. Jestem pewien, że panowie małopolscy zażądają zgody i zapomnienia sporów, i zgodą opłacą. W miłość co uzyskasz od nich i od królowej, to my

strzymamy święcie, a w rachunek to wchodzić nie będzie. Dziś więcej do czynienia nie niema.

Semko dał znak zgody...

Jeszcze raz podał rękę Hawnulowi. Dobył potem krzyż, który nosił na piersiach, pocałował go i rzekł.

— Na ten znak Zbawiciela poprzysięgam wam, iż umowy dochowam.

— A ja na tenże znak klnę się, iż pan mój święcie spełni, co ja w jego przyrzekłem imieniu.

Semko zawahał się chwilę. Obraz pięknej Olgi stał mu przed oczyma.

Na palcu miał pierścień, który mu Julianna dała na odjeździe, przeznaczając go na zrękowiny. Zdjął go powoli.

— Weźcie pierścień ten—rzekł — a bądź co bądź, ja nim ślubuję księżniczce Oldze... i od tej godziny, niech będzie narzeczoną moją.

Hawnul mało co się zawahawszy, pierścień przyjął i starannie zawinawszy włożył do kasetki.

— Pierścień ten będzie razem zadatkiem przymierza — dodał — zalczy jednak na tem, miłościwy książę, aby to coś my tu, z pomocą Bożą, umówili, zostało do czasu tajemnicą. I dla was i dla Jagielly przystoi to, byśmy się nie zdradzali nim nadejdzie błogosławiona godzina... Wiele jeszcze mamy do przewyciężenia...

Westchnął Hawnul... — Lecz przy tej sa-

mej łasce Boga, która nam dotąd drogę torowała, cel osiągniemy.

Widząc ich dwukrotnie podających sobie ręce, brat Antoniusz zbliżył się rozradowany.

— Mam-li już Bogu dziękować? — zapytał...

— Tak — ojcze! zmówcie modlitwę... rzekł Hawnul.

Nie zwlekając staruszek podniósł oczy ku niebu i gorąco odmawiać ją zaczął. Książe i Hawnul stali przy nim w skupieniu ducha powtarzając wyrazy dziękczynne...

Ranek jesienny, parny ale pogodny ozłocił w tej chwili przeciskającym się przez gałęzie promieniem słonecznym to gronko ludzi pobożnych, marzących o lepszej przyszłości...

W godzinę potem starosta był już w drodze do Wilna, Semko sam, bo mu Antoniusza zabrał Hawnul z sobą, wracał po drodze łowiectwem się zabawiając do domu.

W Płocku zniknięcie to Semka nagle, wielki niepokój zrodziło. Błachowa, Ulina, wszysey co o celu podróży nie wiedzieli, zlekli się nowego rzucenia w wojnę, niebezpieczeństw i nowej klęski, po tylu już doznanych. Kanclerz jeden był wtajemniczony, i oczekiwał powrotu z niepokojem tym większym, iż się niewiele spodziewał, po jakichś tajemniczych układach.

Radość więc była wielka gdy po tych dniach oczekiwania, nagle wpadł Semko na zamek, żywo,

śmielej, z podniesioną głową, takim jakim go niewidziano od dawna.

Co sprawił o tem się od niego nikt dowiedzieć nie mógł, lecz wnoszono z twarzy a humoru, że nic się złego nie stało.

Pytającemu kanclerzowi powiedział.

— Mój ojcie, zamknięte mam usta przyrzeczeniem milczenia, powiem wam tylko, Bóg łaskaw! Pomódlcie się, aby nim był do końca.

Najniezrozumiajszem było wypogodzenie czoła i odzyskana swoboda dla Błachowej i Uliny. Wiedział, że Semko rad był czemuś, a niemogły domyśleć się co go tak wesołym czyniło. Odzywały i one trochę otuchy.

W położeniu jednak nie zmieniło się nic, Bartosz jeszcze wojować musiał, jeżeli nie w nadziei zdobycia czegoś, to w obronie resztek jakie mu pozostały i własnej skóry.

Czyhano na nią ze wszystkich stron, bo nikt się tyle nie naraził Grzymałom i stronnikom królowej co on, musiał więc mieć się na baczności.

Po niebytności dość długiej, jesienią już późną, zjawił się Bartosz z małym oddziałem w Płocku.

Niezrażony niczem dotąd, przybywał i on znużonym, zniechęconym, złamanym. Spodziewał się od księcia wymówek i przygotowany był na nie. Była to godzina wieczery. Semko siedział za stołem z Sochą, z chorążym swym

i kanclerzem, kilku szlachty, niedobitków mieściło się u szarego końca.

Gdy Bartosz wszedł, rzuciwszy tylko okiem na Semka, poznał, że książę był mniej niż zwykle ponurym, mniej gniewy tajemne dławiącym w sobie.

Wskazano mu miejsce za stołem.

Bartosz chwalić się nie mając czem, o swojej wyprawie nie powiadał wcale. Szlachta opisywała straszne zużecanie się i okrucieństwa Grzymałów.

Przy wieczerzy czas cały zszedł na tych powieściach, jednych od drugich krwawszych i straszniejszych... Semko milczał na łokciu sparty.

Skończyła się wieczerza, zdjęto obrusy, stary wojewoda i kanclerz ruszyli pierwsi od stołu, pociągnął za niemi chorąży, naostatek i biedne władyki. Sam został z Bartoszem Semko.

Chwili tej Odolanowski pan najbardziej się lękał. Sam na sam przychodziły wymówki i żale, teraz książę słowa nie rzekł. Spytał tylko coby słyszał o przybyciu Jadwigi, kiedy się jej spodziewano.

— Niestety — odparł Bartosz — pewnem to już jest i wszystkim wiadomem, że młoda królowna w październiku przybędzie do Polski.

Westchnął zżymając się rycerski pan.

— Głoszą ją cudem piękności, ale co nam

potem, kiedy w rękach krakowian trzymana będzie i dostąpić do niej nie potrafimy.

Semko okazał obojętność zupełną.

Zdziwilo to Bartosza, gdyż znał go namięt-nym, a takim jak teraz nie widział od dawna.

— Stracona sprawa nasza — odezwał się książę po krótkim milczeniu — nie mamy się co ludzi. Wy jedni wiernieście dostali przy-mnie do końca, ufajcie, że o tem nigdy nie za-pomnę.

— Cóż gdy nas przemożono i niemal w gar-ści mając zwycięstwo, straciliśmy je.

— Wołaj losu, nie winą naszą — przerwał Semko. Z tym walczyć nikt nie podola.

Bartosz coraz większe okazywał zdumienie, nie mógł pojąć, z kąd przyszło to zdanie się na wolę Bożą, w człowieku, który niedawno zaprzy-sięgał walczyć do końca i niepoddać się nigdy. Wprawdzie on sam stracił był już wszelką na-dzieję, lecz w Semku, tak gwałtownym i niepo-hamowanym ta powolność była dlań niezrozumiałą.

— Nie pozostaje nam pono nic — odczwał się — jak z orężem w dłoni dotrwać do końca. Może przy ogólnem uspokojeniu coś wyjednamy.

— Z orężem w dłoni? — rzekł Semko py-tajaco — tak, ale chyba na własną obronę, bo drażnić ich już dziś na nie się nie przydało.

Bartosz uszom prawie nie wierzył.

— Wy zostańcie w Płocku — odezwał się

Semko — należy wam spoczynek, a tu będziecie bezpieczni.

Zwrócił wnet nie czekając odpowiedzi nawet, i począł badać co słyszał o przybyciu Jadwigi, czy ono pewnem było, i na kiedy je obiecywano.

Odolanowski pan wpadł na myśl, że książę może rachować na przypodobanie się młodej pani, i nie przyznając do posądzenia, dodał zaraz.

— Powiadają, że królowna czy królowa, bo nie wiem jak ją zwać mam, wielce jest rozmiłowaną w swym narzeczonym Wilhelmie rakuzkim, z którym się od dziecka wychowywała.

Są co upewniają, że chociaż kłamliwa królowa Elżbieta, zezwoliła na to, aby związek był rozerwany, napewno on przyjdzie do skutku.

— A jakżeby Polacy tym królem mieli się zaspokoić, gdy on u nich mieszkać i panować nie może? — zapytał Semko.

Zapytanie to utwierdziło jeszcze Bartosza w powziętej myśli. Nie miał on nic przeciwko niej, ale znając usposobienie panów krakowskich, nie wierzył, aby ona mogła najmniejsze mieć prawdopodobieństwo ziszczenia.

Zamilkł więc, a Semko tylko nawiasem rzucił życzenie, iżby choć potajemnie rad być świadkiem przyjazdu młodej królowej.

— Potajemnie? — podchwycił Bartosz — trudnem będzie, boć nadto ludzi zna miłość waszą, i zbyt wiele oczów na każdy krok jej pa-

trzy, lecz choćby jawnie, któż tego wzbronić może? Jedzie wszakże Opolczyk, czemubys miłość wasza nie miał? Jakieś zawieszenie broni się liczy, więc uczynić nic ani zechcą, ani mogą.

Semko dnia tego nie przedłużał rozmowy, lecz nazajutrz we cztery oczy wznowił ją z Bartoszem.

Ten zmianie jaką znalazł w księciu wydziwić się nie mógł, patrzył i słuchał, niedowierzając. Nie postanowieniom się dziwił, bo te konieczność nakazywała, ale nadzwyczajnemu spokojowi i obojętności.

Wybuchów gniewu, narzekań, do których był nawykły z ust jego nie słyszał.

— Co się z nim stało? — powtarzał w duchu — co się z nim stało?

Ani kanclerz, ani wojewoda wytłumaczyć mu nie umieli. Rzecz była zdumiewająca, niepojęta, ale szczęśliwa, i Bartosz lękał się tylko, aby nagle nie wróciła natura dawna.

Nawet przed tym powiernikiem swym, w którym miał największe zaufanie, książę się nie zdradził i nie wydał.

Stara Błachowa i Ulina widząc go tak zmienionym, domyślały się, odgadły, iż zmiana jakaś zajść musiała.

Szczególniej dziewczę o tego brata radośnie a podejrzliwe, najmniejszą drobnostkę po-

strzegające i chorobliwie z niej wyciągające wnioski, po powrocie z ostatniej wycieczki zobaczyło, że książę na palcu pierścienia księżnej Juljanny nie miał... Obudziło to w niej domysły.

Jednego dnia spytała księcia, co się z nim stało. Semko spojrzał bystro na nią, i obojętnie odparł, że go zgubił na łowach.

Ulina potrząsała główką; z twarzy mu czytała, że kłamał. Milcząca a smutna, szpiegowała teraz każdy krok jego.

W końcu września zaczęto robić przygotowania do jakiegś podróży, w której i Bartosz księciu miał towarzyszyć.

Przenikliwe dziewczę domysliło się jej celu. Jednego wieczora, śmiało mu patrząc w oczy, odezwała się z przekąsem.

— Chce ci się więc bardzo, zobaczyć piękną królowę?

Semko spojrzał na nią ruszając ramionami.

— A gdyby tak było? — spytał.

— Jużbym się nie dziwowała — rzekła Uli-
na. — Staraleś się o koronę, za którą zapłaciłeś
drogo, choć ci jej nie dali, tylko na dzień, mo-
żesz się starać i o królowę, której i na godzinę
ci nie dadzą!! Żle ci było w spokojnym domu
z nami...

Semko słuchając marszczył się.

— Wy baby więcej od nas rozzumn macie,
wasby słuchać potrzeba! -- odezwał się szyder-

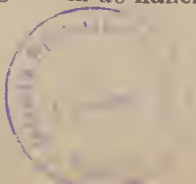
sko; lecz ujrawszy, że dziewczynie lży się w oczach kręciły, ulitował się nad nią. Wstał i pogłaskał ją po główce obejmując za szyję.

Dziewcze jakby o wszystkim zapomniało co miało na sercu, przycisnęło się ku niemu i przy-mknęło oczy. Nastąpiła chwila milczenia, i jak zwykle, stara Błachowa pokazała się w progu. Można było być pewnym, że każde czulsze zbliżenie się ich, wywoła ją zawsze z kąta... Ulina nie zważała na matkę i nie odsunęła się od księcia, który też w miejscu pozostał, spojrzawszy tylko na starą, jakby jej wyrzucał tę niewiarę.

Błachowa nie powiedziała nic, zaczęła się po izbie krzątać, porządkować, sprzątać po kątach, aż póki się nie doczekała że książę powrócił na swe siedzenie, a Ulina głośnym pocałunkiem pożegnawszy go nie odeszła do swej kądzieli.

Przygotowania do podróży, nie dozwalały wszystkim odgadnąć jej celu, książę jechał z małym dworem najzaufańszych, wahał się nawet czy ma kanclerza brać z sobą, lecz choć się chciał w Krakowie skryć, aby o nim nie wiadzano, przeczuwał, że żydzi wierzący go znajdują i napastować będą. Naówczas kanclerz mógł mu być potrzebnym do nowych z niemi układów.

Przed samym wyjazdem niespodzianie gość go nawiedził, który sam naprzód nie zjawił się na zamku, lecz Bobrka wysłał przodem. Klecha przybył pewnego dnia do kanclerza, szepcząc mu



że jeden z braci zakonnych z Malborga, wysłany od mistrza, chciałby się widzieć z księciem. W godzinę potem zajechał na zamek ubrany po rycersku, lecz bez żadnych oznak, któreby w nim Krzyżaka poznać dawały, towarzysz marszałka Wallenroda, Malcher Sundstein. Był to jeden z tych, których zakon do posłannictw swych dyplomatycznych używał, człowiek przebiegły, w którym więcej było przymiotów prokuratora niż rycerza.

Książę przyjął go na osobności.

Wysłaniec Czolnera począł od jakichś drobnostek tyjących się praw handlu i przewozu w części Mazowsza, którą Zakon trzymał zastawą. Były to tak małej wagi sprawy, iż trudno mógł pojąć książę iż dla nich Sundsteina wysłano do niego. W kilku słowach ułatwione zostały punkta sporne.

Naówczas Malcher rozmowę wszczał obojętną o sprawach Mazowsza i Polski, o przyjeździe królownej i usiłował wybadać Semka, który się z niczem wydawać nie chciał. Namawiał on księcia, aby się starał zbliżyć do młodej pani, której przyjazd zapowiadano i ręczył mu, że Zakon popierać go będzie.

— A jakimże sposobem wy mnie tam pomocni być możecie? — spytał ciekawie Semko. Sundstein się uśmiechnął.

— Wierz mi miłość wasza — rzekł — że

my wszędzie mamy tak samo przyjaciół jak wrogów. W Polsce też, choć druhowie zakonu lękają się zdradzić, i nie występują jawnie, lecz są silni i czynni...

Książę — dodał rycerz Malcher — powinieś jechać do Krakowa... i próbować, ażali tam sobie młodej pani i kogo ze dworu pozyskać nie potrafisz...

— Dobrabym to była rada — odparł Semko — gdybym ja jak wy, obok wrogów, mógł liczyć na jakichkolwiek przyjaciół. Nie mam ich tam, a tacy ludzie jak wojewoda Spytek, są zaciętymi przeciwko mnie.

— Może stać się jednak, iż księcia będą przenosili, pomimo to, nad Wilhelma i nad poganina, który żadnego prawa znać nie zechce, a jak niewolników ich w garśćby, wziął żelazną. Jedź książę.

Semko się nie chciał wydać z tem, iż wyjazd jego był już postanowiony, odpowiedział, że się namysli i rozpatrzy.

W ciągu dalszej rozmowy Malcher nalegał silnie. Semko przekonał się, z niej iż zakon o zabiegach Jagielly był zawiadomionym, lecz spodziewał się je zniweczyć.

Na samo wspomnienie Litwina, burzyła się w rycerzach krew, widzieli niebezpieczeństwo. Książę rad był zbadać Sundsteina kogo Krzyżacy mieli za sobą w Krakowie, lecz poseł złożył się

tem, iż to było tajemnicą, samemu tylko w. mistrzowi wiadomą.

Po długich i silnych naleganiach, któremi Krzyżak starał się w Semka wlać otuchę i zachęcić go do podróży, odjechał on nareszcie, zapewniwszy jeszcze księcia, że zakon gotów jest być mu pomocą.

Cicho i niepokaznie Semko w ostatnich dniach września wyruszył z Płocka, wraz z Bartoszem, kanclerzem i małym poczem zbrojnym.

Cały jego oddział nie wyglądał wcale na księżęcy, ludzi miał niewielu, i uzbrojenie choć doskonałe, ale niepokazne.

Przodem wyprawiony komornik polecenie miał w stolicy znaleźć gospodę dla księcia wygodną, lecz na ustroniu, tak, by na siebie zbytnio oczów nie zwracał. Spodziewano się, że przy tak licznym zjeździe, łatwo będzie Semkowi ukryć się w tłumie. Rycerski strój ówczesny w wielu uroczystych razach dozwalał występować z przyłbicą zapuszczoną. Na to rachował Semko, który w uzbrojeniu swem unikał wszelkich oznak zewnętrznych, godeł i figur, po których poznaćby go można. Tarcze jego były bez orłów, hełmy bez klejnotów, z piórami tylko... Służbie zakazano brać z sobą suknie, na których europejskim zwyczajem szyte były herby książęce. Deki dla koni, bogato ozdobne, nie miały też godeł żadnych... Bartoszej musiał się zastosować do pana, któremu towarzyszył.

III.

Pierwszych dni października roku tego stolica pod Wawelnią, widok przedstawiała nadzwyczajny, na jaki wicki czekać było potrzeba, nimby się mógł powtórzyć.

Godziny szczęśliwe rzadkie są w życiu ludzi, rzadsze w narodów życiu. Są chwile dla pewnej części ludności, dla jakiegoś stann i gromadki pomyslnie i radosne. Naówczas cieszą się wybrani, urągają wyłączeni, patrzą obojętnie niemający żadnego w tem udziału.

Secin lat potrzeba na to, ażeby się cały naród cieszył i czuł szczęśliwym jak jeden człowiek, a tak radowała się cała ziemia polska przybyciem królowej swej Jadwigi.

Całe dwa lata skończyły się od śmierci Ludwika, dwa wieki przeżyte w zaburzeniach, trwodze, niepewności, napadach, łupieżach i domowej wojnie.

W Wielkiej Polsce dwa obozy stały zajadle przeciwko sobie, niszcząc siebie i ziemię nieszczęśliwą, Wielko i Małopolska rozdwoiły się i niemal odpadły od siebie, Ruś była zajechana, na pograniczach srożyły się rozboje... nigdzie nikt życia, mienia, jutra nie był pewnym... Dobra duchownych, majątności szlacheckie i pańskie płonęły i pustoszały, włościanie się rozbiegali, handel ustał, gościńce zarastały trawą, miasta ubożały...

Temu wszystkiemu miało koniec położyć przybycie królowej Jadwigi. Niosła z sobą róższekę oliwną! Wszyscy patrzali na nią, wyglądając jej jak Zbawcy.

Dziwne Opatrzności zrządzenie! Tam gdzie potrzeba było żelaznej dłoni, niezłomnej woli, bohaterskiego męstwa dla zwalczenia zburzonych żywiołów, Bóg zsyłał dziewczę-dziecinę, słabinką, niedorosłą, trwożliwą, śliczną jak anioł, jak anioł dobrą, a jak ludzkie dzieci nieszczęśliwą i bolejącą. I ta istota wątła, cudem Opatrzności miała przynieść z sobą pokój i szczęście!!

Są w dziejach cudowne godziny.

Naówczas wszystkie rachuby ludzkie kruszą się w proch, a z niebios zstępuje siła, czasem w postaci dziewicy *) lub dziecka.

*) Przypomnijmy Orleańską!

Cudem też wówczas czuje naród cały, że przychodzi zesłaniec Boży i wstrząsają się wnętrzności jego, i opromieniają czoła, biją serca, jednym hymnem dziękczynnym brzmia usta wszystkie...

Z takim uczuciem oczekiwano tu Jadwigi, córki tego króla, który tu po sobie najsmutniejsze zostawił wspomnienia, matki, która urąganiem się z łatwowierności narodu budziła wstręt i pogardę; dziecięcia rodziców, dla których Polska nie była ojczyzną ale towarem, a jednak to dziecię witano z miłością, z poszanowaniem, z zachwytem...

Na zimnych kartach dziejowych dziś jeszcze miga złoty promień tych dni jesiennych, dni ocalenia!!

Wszystko to co się tu działo i dzieć miało, nie było ręk ludzkich sprawą, lecz prawym cudem jakimś. Żli ludzie zmuszeni byli do dobrego pomagać, idący oślepi znajdowali drogę, kruszyły się serca nparte, miękkie piersi skamieniałe...

Kraków gotował się przyjmować swoją królową i dzień a noc stroił dla niej... Wszyscy panowie, znaczniejsza część duchowieństwa już była pośpieszyła na granicę po ten skarb, który przybywał; pomimo to stolica była nabitą ludem, przypływali goście co chwila, zapelniały się gospody, a ruch nie ustawał.

W ulicach krzątano się, aby je oczyścić i ozdobić, w rynku bielono i malowano, zasypywano doły i układano kamienie; na zamku panowało też samo gorączkowe oczekiwanie Zbawczyni. Tu stare Kaźmierzowskie komnaty ocierano z pyłu, myto i okadzano, aby z nich woń śmierci uleciała, a życie się odrodziło.

Zawieszano opony, słano kobierce, wysypywano drożyny; ze skarbcza dobywano co w nim zostało niezłupionego i porzuconego z pogardą.

W Kościele na Wawelu zawieszano wience, ubierano ołtarze...

Wszędzie roił się lud, a bramy miasta, których niedawno strzeżono tak trwożnie, stały teraz otworem. Nie obawiano się żadnego wroga—przybywała królowa.

Królowa! Nie—ta królowa królem być miała, słabe jej białe rączki musiały tknąć też poświęconego miecza, tak jak w jabłku dźwignąć musiały ziemię, której panować miała. Ciężka korona musiała spaść na to czoło dziewicze...

Gdy zewsząd orszaki Toporów, Leliwów, Rożyców, Sreniawów, strojne w najbogatsze szaty i zbroje leciały na powitanie pani swej, zapomnieli wszyscy kto był komu wrogiem, złali się w jedno ciało.

Stało się na ten dzień braterstwo wielkie, które nie trwa niestety!

Panowie oznajmowali królowę chłopom, kniecie biegli ją oglądać, równie jak szlachta. Wszystkim przynosiła wybawienie od tyranii tej garści warcholów, która rodzi się w mętnej wodzie i z niej żyje.

Były tak serca wszystkie, jak gdyby naród cały miał jedno tylko, począwszy od raba do książęcia.

Dziwną sprawą niepojętej ducha potęgi, obcy człowiek, który wpadał w to zaczarowane koło, czuł się pochwyconym na wysokości tego świętego szalu, i na chwilę musiał pieśń tę spiewać co wszyscy.

Ktoby był jednak dnia tego, gdy się Kraków na przyjęcie Jadwigi gotował, zobaczył z żółtą twarzą człowieka, stojącego w bramie domu na Grodzkiej ulicy, odzianego w kleszą suknię czarną, oczyma gadziny rzucającego na ludzi i przysłuchującego się radośnym śmiechom i okrzykom z żółciowem szyderstwem, poznałby w nim wroga.

Dlatego może to stworzenie z trwogą jakąś, wyglądało bojaźliwie i kryło się za najmniejszym szelestem, ale wnet znowu oczy złe wytrzeszczało na przechodniów.

Był to Bobrek, nie sam jeden może szpiegujący dla Krzyżaków co się tu działo, ale wysłany jako najwierniejszy sługa, by na wszystko ucho miał i oko.

Bobrek był zawsze najzręczniejszym szpiegiem i kłamcą, miał gdy mu żółcią zapływało serce, udawać miłość i pokorę, lecz teraz tak się w nim bnrzyło wszystko, iż sobą być zapomniał.

Szczeście tych ludzi, bodło go jak mieczem w piersi, poilo trucizną.

Stał, drżał i nie umiał już nic, tylko przeklinać i żżymać się.

Krył się przed znajomymi, bo czuł, że byłby się zdradził.

O kilka kamienie dalej gospodę zajmował Semko, kryjąc się z sobą, nie chcąc być widzianym.

Dla niego też obraz to był nowy, a mimowolnie pamięć mu przywodziła ten dzień jeden królestwa jego, i te okrzyki, które się wówczas o uszy jego obijały, porównywając je do tego, co się tu działo.

Tam przy nim byli tylko ludzie, tu działała siła jakaś niewytłumaczona, niepojęta, straszna. Czuł on, że tej potędze nie się oprzeć nie może, ani on sam nawet śmiał się przeciwko niej buntować.

Marzenie jego królewskie rozwiało się w oczach, mgłami zapłynęło.

Z niepokojem w sercu patrzył i słuchał. Przy nim stał Bartosz z Odolanowa.

Milczący oba, kiedy niekiedy spoglądali na

siebie, badając wzajemnie. Bartosz w którym teraz biło serce polskie, stał oczarowany, upokorzony. Kiedy niekiedy z ulicy dolatywał ich okrzyk, piosenka, śmiech... żadnej nuty fałszywej, nigdzie jęku.

Ci co cierpieli, milczeli, wiedzieli, że ich jęk w niczyjejby się nie odbił piersi, a szczęście tysięcy go pochłonęło.

Smutno było Semkowi skazanemu w murach na niewolę. I on i Bartosz rwali się dusznie do wielkiego tłumu, do tych co pobiegli na spotkanie, lecz im tam nie było wolno się pokazać. Mieli na sobie nieodpokutowane grzechy.

Co chwila drzwi się odmykały, jeden z dworzaków książęcych wchodził, i tym głosem poruszonym, drżącym, upojonym, który daje gorączka oszalałych tysięcy, zwiastował jakąś nowinę.

Nowiny te o podróży, o pochodzie królowej, biegingy cudem po rosie, w powietrzu, z ptakami i przylatywały w mgnieniu oka. Podawane z ust do ust piorunem prześlizgały się milami. Zamru czano je w jednej bramie, natychmiast odbijały się na drugim miasta końcu.

Niemówiono tylko o królowej.

Petrek i Szymek komornicy ksiągingy wiedzieli już, że królowa była biała i piękna jak lilja, że uśmiech jej czarował, wejrzenie rozbrajało, że starzy srebrnobrodzi wojewodowie i kasztelany na kolana przed tem dzieckiem padali; że

miała na sobie płaszcz złotogłowy, na głowie wieniec z lilij złotych, że przed nią jechał starzec w szkarłatnem kapeluszu z sznurami, i młodził się a płakał... że za nią szło cudnych dziećwie dwanaście i poważnych matron lik wielki, a wieziono skarby mnogie...

Białe gołębie z zielonemi w dzióbkach gałązkami leciały przed nią. Obłok woni promienistej ją oblewał.

Prawiono cuda i wierzono w cud... Oczywiście wszystkich miały go oglądać.

Niekiedy wśród momentu ciszy, zdawało się, że słychać zdaleka dzwony wszystkich w Polsce kościołów bijące Bogu na cwałę, i jakby pieśni niewidzialnych chórów, płynącą powietrzniemi szlaki.

W nocy nikt nie spał, we dnie zapomniano o głodzie i pragnieniu. Nie pytano o nie, tylko kiedy przybędzie królowa?

Każdy się lękał stracić tę chwilę uroczystą, i nie znaleźć miejsca na dwoje spragnionych oczu.

Bartosz i Semko rozmawiali z sobą wejrzzeniami.

— Wszystko co żyło wyciąguło z Krakowa— odezwał się po długiem, ołowianem milczeniu Semko. — Gdyby tak byli opuścili miasto i bramy, gdyśmy z Bodzantą przybyli...

— Bodzanta! Bodzanta! — westchnął Bar-

tosz — ten pojechał też spotykać królowę, króla, której za dni kilka koronę włoży na skronie... Ciebie słyszę tylko z niego pozostał, tak go ta wojna wycieńczyła na duchu i na ciele. Stary klecha nie miał nigdy własnej woli, kto chciał mu ją narzucał.

Semko dał znak oczyma i Bartosz mówić przestał. Po co było te trupie wspomnienia przeszłości wywlekać?

Zapadał wieczór. Dnia tego już nie mogła przybyć królowa. Kanclerz wszedł do izby krokiem powolnym, pogrążony w myślach, a tuż za nim w pół zgięty, zmalaty, wcisnął się Bobrek. Przynosił on, jak mówił, przypadkowym spotkaniem schwycione po drodze, pozdrowienie dla księcia, od mistrza Czolnera.

Chciał je sam złożyć u stóp jego.

Z uśmiechem, który podobien był do poczwarnego wykrzywienia, przynosił Semkowi przypomnienie, że zakon czuwał, patrzył, i nim się opiekował.

Zimno przyjął pozdrowienie książe. Było mu ono obojętnem.

— Strach patrzeć jak tu ludzie potracili głowy — odezwał się Bobrek — a cóż to będzie, gdy królowej doczekają. Ciekawe panowanie młodej pani...

I śmiał się, ale słowa jego jak szelest suchych liści prześliznęły się prawie niesłyszane.

Bartosz jeden ciekawie na tego mizernego klechę spoglądał.

— Długo tu myślisz mieszkać? — zapytał książę obojętnie. — Możesz li odnieść mistrzowi pokłon wzajemny odemnie?

— Jeśli miłość wasza rozkaże — jakając się odczuwał Bobrek. — Ja tu, jak zawsze z mojem przywędrowałem rzemiosłem. Sprzedaję modlitewki i błogosławieństwa, piórem służyć, kto nżyć łaskaw. W wielkiej ludzi gromadzie, coś się trafić może...

Senko popatrzał nań i coś szepnął kanclerzowi, który zbliżył się do klechy i cicho zapewne w nagrodę pozdrowienia, coś u niego zamówić musiał, bo słyhać było, że zakończył dwoma kwartnikami.

Dla klechy ważyło to tyle co odprawa, został jednak chwilę w progu, bo oprócz smutku i zadumy, nie tu jeszcze nie wyszpiegował.

Lecz tak uparte przy nim milezenie panowało pomiędzy zebranymi, że Bobrek, rad nie rad pokłoniwszy się wysunąć musiał.

Naówczas dopiero kanclerz zbliżywszy się coś począł o przygotowaniach na przyjazd królowej, króla.

— Postanowiono — rzekł — iż jej prawie odetchnąć nie dając, koronować mają. Boją się pewnie, aby królowa Elżbieta napowrót jej nie

odebrała... a na koronację z małżonkiem czekać nie chcą.

W tem Bartosz przerwał.

— Głoszą niektórzy, iż jest wielu, co króla żadnego nie pragną, jak bajeczną Wandę, chcą ją mieć na zawsze dziewicą.

Semko w milczeniu poruszył ramionami, nastąpiło milczenie.

Noc w końcu nadeszła i książę sam z myślami pozostał.

W mieście nie było pokoju, i nocą lud podchmielony radością spać nie mógł.

Jak dzień wrzawa się wzmogła. Semko obudził. Ulicę wysypywano zielenią, kosaćcami wonnemi i jedliną. Chłopczy z koszykami, wozy z gałęzmi przeciągały.

Lud strojny był od brzasku. Co kto miał wdział najlepsze. Bogate mieszcзки obwieszały się łańcuchy, oprawiły w klejnoty; otuliły w futerka kosztowne.

Przed oczyma przesuwały się kabaty, żupany, jubki, płaszcze z Chamety, barchanów, atlasów, jedwabów, aksamitów, bawełny. Mieszczanie wyglądali jak panowie, parobcy jak panicze, dziewczęta jak władyczne córki. A śmiało się to wszystko i radowało, jakby każdy coś zyskał z tej wielkiej bryły szczęścia, która się toczyła...

Nagle na przedmieściach naprzód odezwały

się dzwony, jedne po drugich, uroczyście i wesoło, tłumy poczęły biedz, stawać pehać się, wdrapywać na drabiny i dachy. Jedne po drugich przejmowały pieśń wszystkie wieżycy... i w powietrzu zawrzało nią...

W oknach głowy nad głowami.

Cicho, tylko dzwony biją...

Szmer poszedł, jada, jedzie...

I widać naprzód poczet konny, zbrojny, chłop w chłopa, cali w pancerzach, cali w żelazie, ręce w boki, na hełmach pióra wiewają.

Konie w brzęczadłach, w okryciach, na łbach kity, u ogonów wstęgi, a z ramion i hełmów rycerzy, powiewają jedwabne pasy, zwijając się w powietrzu.

Jadą, jadą i końca im niema. Węgrowie, Polacy, trębacze, piszczałki, muzyka, bębny.

Chorąży z proporcem rozpostartym, znów dwór strojny i piesi z berdyszami.

Otóż ona... Na białym koniu pod złotą oponą, śliczna, wysmukła, dziecię-dziewica, oczy, to podniesie łzawe i uśmiechnie się, to spuści ku ziemi...

Piękna jak anioł, cud! szmer ją wita... Lecz czemuż jedzie tak smutna, tak drżąca...

A oto starzec kardynał, i Bodzanta i biskup Mały i duchowni z łańcuchami i krzyżami na rękach... I dwanaście dziewic, i matrony jak

królowe poważne, i poczet polskich panów tryumfujący.

Jadą dumni, mówić się zdając oczyma do ludu: Mamy króla!!

Najpiękniejszy z młodzieży, na koniu najdzielniejszym z koni, białym jak mleko, to młodziechny Spytek z Mielsztyna, na głowie z podniesioną przyłbicą, szyszak złożony, na nim gwiazda. Oczy mu się śmieją, a do niego tłum się uśmiecha...

Z siwą brodą w sobolim kożuchu, na złotych szerokich strzemionach oparty, to Jaśko z Tęczyna... Obok cały w kamieniach drogich starzec, to pan krakowski...

Któż ich zliczy? Jadą pułkiem całym od złota i atlasów, dumni, weseli, królikowie mali... a tłum im bije pokłony.

Oni mu dali królowę, króla...

Dalej Węgrowie przy wozach, na których skarby jadą... Straż je otacza... Ciągą kołebki, pałuby, ogromne fury skórą kryte, dalej konie powodne, czeladź, stajenni, ciury...

Powoli, uroczyście wszystko się ku zamkowi toczy, a lud ciśnie ku kościołowi, do którego naprzód ma zejść królowa i gdzie jej arcybiskup z towarzyszami na szczęśliwe pobłogosławi panowanie. Lecz tu i dla dostojnych panów a starszyzny miejsca zbrakło, i stoją w podwórzach zamkowych.

Dzwony biją radośnie... tłumy śpiewają — w ulicach szaleje ciżba... Trefnisie miejsca pstro i szachowano potrojeni zwijają się błaznując, z okien słysząc lutnie... Nie znajomi się witają — wszystko jakby bracia rodzeni...

W oknie domu z zagryzionymi wargami siedzi Bobrek.

Zdało mu się przez ten czas cały, i jeszcze czuje jakby go kto kąsał i ciało mu wrywał. Zagadał do niemców swoich, zaszwargotał i odpowiedzieć mu nie umieli — kiwali głowami tylko.

— Dzień wielki! — mruknął jeden.

— Takiego dnia baby wojskoby najtęższe pobiły — dodał drugi — ale takich dni na życie ludzkie dwóch niema.

— I na dwa życia rzadko jeden trafi — dopowiada drugi.

Bobrek milczy i żre się...

— Czy to im da siłę? — mruczy do siebie... Zakon cicho siedzi, ale potęgę zbiera... żelazo po zamkach, złoto po piwnicach...

Rozśmiał się.

— Gdybym był królem Sieradzkiu Semkiem — zawołał — dziśbym umarł chyba.

Semko patrzył z okna, a gdy przeciągała królowa-dziewica, stał jak wryty i pobał jak mur.

Takiej nie wiasty niewidział i nie marzył.

Niepodobna do żadnej innej, jakby rodem była nie z tej ziemi.

Mijając dom podniosła oczy z pod rzęs ciemnych na niego — i wejrzenie to przejęło go do kości... było jakby wyrzniętem... On chciał aniołowi temu tron wydrzeć? Cofnął się mimowolnie...

Kancelarz stał za nim ze złożonymi rękami jakby się modlił.

Westchnął.

— Koronować ją chcą? Alboż ją już dziś nie ukoronowali czeią tą wielką?!

Bartosz z Odolanowa, pierwszy raz w życiu poczuł się słabym — i rzekł w duchu, że przeciw tej sile jakiejś, co szła z tym pochodem, wojować żelazem było szaleństwem.

Co tam się tego dnia na zamku działo, nie wiedział nikt. Postawiono strażę, do pobłogosławionych przez Małego komnat niewiasty wprowadziły królową i drzwi zaparto, aby się modliła, odpoczywała...

Któż wie? aby płakała może...

Panów u siebie na dworcu młody wojewoda przyjmował, nie tylko polskich, ale i węgierskich, na których czele stał Emryk Bobek, ojciec pięknej Elży, jaśniejącej przy boku królowej...

Wojewoda Emryk czysta krew starych wodzów Atylli, czarny mąż z ognistemi oczyma i śmiejącemi się nsty, z krzywą szablą u boku

i przewieszonym z ramienia płaszczykiem, pierwsze miejsce ma w gościnie.

Przy nim starzy a swoi Dobiesław, z purpurową od zmęczenia twarzą, Jaśko z Tęczyna z brodą swą siwą, Jan z Tarnowa, Gniewosz z Dalewic, i mnodzy inni...

Wszystkim twarze promienieją, a oczy się śmieją.

Służba stoły zastawia, lutniści już w struny brzękają, trzech trefnisiów u drzwi na znak czeka, aby gości zabawiać, a tu rozmowa toczy się jak fala pod wiatru powiewem wesoło, kiedy niekiedy okrzykiem przerywana.

— Wojewodo — woła Florek z Zaborza, jednego z nim zawołania. — Wiecie kogoni widział w oknie, przyglądającego się wjazdowi królowej naszej?

— Któż cię zgadnie?

— Dwie kopy stawię że nikt — śmiejąc się zawołał Florek i zatrzymał się nieco.

Spytek uderzył go po ramieniu.

— Może cię tak bardzo zdumiało przybycie tu Semka Mazowieckiego! — rzekł z trochę ironii, bo prawie pewien był, iż Florek miał go na myśli.

Zagadnięty w ten sposób głowę spuścił.

— Widzę, żeście lepiej uwiadomieni niż sądziłem — dodał, — przegrałem dwie kopy.

— Ale ja ich nie wygrał!—odparł Spytek—nie stawilem nic.

— Cóż wy myślicie o tem przybyciu Mazowieckiego, co poczniecie z nim? Przecież za Książ musicie żądać wynagrodzenia, a wątpię, żeby mu na wszystkich wierzycieli resztki księstwa starczyły — odezwał się Florek.

— Co się czasu wojny straciło, tego trudno poszukiwać na kim — rzekł Spytek dość obojętnie.—Ani od ciebie dwu kop, ani od niego za pogorzel o nic się upominać nie będę.

-- A jeśli się spotkacie?

— Gotowem mu rękę podać, jeżeli się królowej pokłoni i wyrzeczcie dawnych rojeń — dodał Spytek.—Dziś dla zgody i pokoju, każdy gotów coś poświęcić.

Gospodarza odciągnięto w tej chwili, a Florek pozostał zdumiony i zamyślony.

Biesiada u wojewody, na którą coraz liczniejsi przybywali goście, zgromadziła wkrótce wszystkich najznakomitszych dostojników: a nie było słyhać u stołów nic, tylko pochwały młodej pani i nwiełbienia dla niej. Wszyscy byli zgodni, jedno nczucie ich ożywiało.

Znaczniejsza część, nie wyjmując gospodarza, rada była przyspieszyć dzień koronacyi, aby nowa jaka przeszkoda, nie zmusiła do wyczekiwania w tym stanie bezkrólewia i niepewności, który zabiegom i podstępom wrota otwierał.

Postanowiono więc nie zważać na to, iż korony były w Budzie, aby na wydanie ich nie czekać. Złotnicy mieli natychmiast ukuć nową. Arcybiskup powolny we wszystkim, nie czynił trudności najmniejszej, a przybyły kardynał Dymitr, arcybiskup Strygoński i ks. Jan biskup Czanadzki nie sprzeciwiali się temu także.

Wyznaczono już nawet dzień Św. Jadwigi, 15tego miesiąca, na uroczystość, do której gotowali się wszyscy.

Jaśko z Tęczyna i Spytek, najgorliwiej sprawę tę popierali.

U stołu układano się już o to, aby nadać obchodowi jak największą świetność. Wszyscy przybyli na spotkanie młodej pani, zatrzymać się mieli, aby dnia tego towarzyszyć wspnianemu orszakowi króla—królowej. Długo przeciągnęła się ta uczta hojna u wojewody; a gdy zmęczeni podróżą, rozjeżdżać się do domów zaczęli, Jaśko z Tęczyna, Dobiesław z Kurozwęk i Włodko z Ogrodzieńca podczaszy, zostali sami tylko na ostatku...

Potrzebowali się naradzić jeszcze z sobą, nad bezpieczeństwem, nad urządzeniem dworu i wyborem osób, któreby jej zbyt tęsknić za matką i rodziną nie dopuszczały...

Wszyscy oni i ze czci jaką mieli dla pani swej i z obawy, aby obce wpływy na umysł jej nie działały, chcieli ją otoczyć tak troskliwą

opieką, aby na zamek nie bez wiedzy ich docisnąć się nie mogło.

Od pierwszego dnia widzieli, że wszyscy co mieli jakiekolwiek prawo zbliżać się do młodej królowej, zabiegali już, aby jej łaski i zaufanie pozyskać.

Snadź starali się zjednać sobie starsze panie, dodane królowej i dwór jej niewieści. Przewidywano też, iż biskup krakowski Radlica, który dzieckiem znał królową, i ulubionym był jej ojcu — jej też nad innych stanie się miłym i prędzej zyska jej zaufanie.

O tego nikt obawy nie miał, gdyż zacny biskup sam podkopywany, nikomu szkodzić i nikogoby podkopywać nie potrafił.

— Dzięki Bogu, dotąd składa się nam wszystko po myśli — odezwał się Jaśko z Tęczyna, — wielka teraz odpowiedzialność ciąży tylko na was, panie Krakowski (zwrócił się do Dobieśława), bo zamku strzedz potrzeba jak oka w głowie.

Stary kasztelan, który w tym względzie żadnego nigdy niedbalstwa do wyrzucenia sobie nie miał, krótko odparł, że mogą być spokojni. Włódko z Ogrodzieńca zaręczał też za siebie i innych urzędników dwornych, iż nad królową czuwać będą.

— Łacno to przewidzieć — dodał Jaśko z Tęczyna, że póki królowa nie wybierze sobie lub

my jej nie damy małżonka, będą się tu roić i kręcić ludzie z różnemi myślami.

— Staremu nawet Władysławowi Opolskiemu nie wierzę — wtrącił Spytek—bo wiem, że i on władzy jest chciwy, i rodzaj opieki by rad objąć nad królową, na co my się żadną miarą zgodzić nie możemy.

— Nigdy w świecie! — gwałtownie zakrzyczał pan Krakowski.

— Semko Mazowiecki jest tu także — dodał Włodko z Ogrodzieńca.

— Ale ten, sędzę, niebezpiecznym nie jest, siły niema, znękany, odłużony, jeżeli przybył, to ażeby robiąc pokój, mógł coś przy tem uzyskać— rzekł Jaśko...

— I zawrzeć z nim pokój, byle go dotrzymał, najbezpieczniej — odezwał się Spytek.—Nie groźny nam, ale mącić może, a my spokojn potrzebujemy.

— Władysław Opolski chytrzejszy i niebezpieczniejszy — szepnął Jaśko.—Na niego oko mieć potrzeba. Zechce się li na zamek wprosić i w nim rozgościć.

— Nie puszczę go — rzekł Dobiesław węzłowato...

— Nie zapominajmy i o tem — ciągnął dalej pan z Tęczyna — że Wilhelm rakuzki, choć go precz odprawiono, i królowa Elżbieta zerwała z nim, ma być naszej pani miłym, ona jemu,

i że za to ręczyć nie można, żeby się tu weisnąć nie próbował, a ludzi sobie pozyskać.

— Królowa o nim zapomni—odezwał się Spytek... byle... byle go tu nie dopuścić...

— Nie sędzę, ażeby się ważył przybyć — mruknął Dobiesław...

— A gdyby! wygnać go nie możemy, ani wzbronić widzenia się — mówił gospodarz.

— Dość będzie czasu pomyśleć o tem, jeśliby on ośmielił się przyjechać do Krakowa — rzekł Włodko podczaszy.

— Stara ochmistrzyni ulubiona Jadwidze Hilda — szepnął Spytek—Niemka, rodem z Wiednia, mówią że mu sprzyja...

— Będzie się nad tem czuwało — rzekł Dobiesław.

Gdy się to działo we dworcu pana wojewody, ci co mieli poleconem sobie patrzeć i słuchać, jak Bobrek, nie tracili czasu. Było ich zapewne wielu, lecz nikt od klechy czynniejszym nie był. W nim gorliwość dla zakonu zwiększała nienawiść ku Polsce.

Niema zajadlejszych wrogów nad tych co się swej narodowości wyrzekłszy, w sumieniu gryzieni, zniszczyćby ją chcieli, aby o swej podłości zapomnieć. Przenikliwemu klesze dosyć było się rozpatrzeć nieco i nasłuchać w tem, co Semka otaczało, aby powziąć przekonanie, że Krzyżacy na niego nie powinni byli rachować.

wać: Nie rozumiał on, co mogło mściwego i gwałtownego człowieka ukołysać tak i rozbroić, lecz czuł, iż się on już zakonowi nie przyda.

Choć w tajemnicy dotąd trzymano swaty Jagiellowe i myśl połączenia go z Jadwigą, Bobrek wiedział o tem bardzo dobrze, iż większość panów i duchowieństwo stała przy tem i mocno postanowiła małżeństwo doprowadzić do skutku.

Potrzeba było znaleźć coś na odwrócenie niebezpieczeństwa, na postawienie przeciw Jagiellie; a nie było nikogo, coby się tak nadawał jak młody Wilhelm, narzeczony niegdyś Jadwigi.

Z pół słówek tu i ówdzie pochwytyanych, klecha zmiarkował, iż był on miłym królowej. Trzeba było tylko znaleźć kogoś, coby jej uczucie rozbudził na nowo i ofiarował się mu służyć.

Nazajutrz zręczny służka krzyżacki był na zamku z modlitewkami, trafił do dwu kleryków będących przy dworze pani, zrobił znajomość z niemi i szukał człowieka, którymby się mógł posłużyć.

Widzieliśmy już, że Dobiesław z Karozwęk pilno nad zamkiem czuwał, a Jaśko z Tęczyna i biskup Radlica nad samą królową. Na urzędników jej dworu, o których się pilno wywiadywał Bobrek, wcale nie mógł liczyć. Byli to ludzie wielkiej powagi i sumiennosci... Do niewiast przystęp był trudny, a gadatliwości ich lękał się Bobrek... Szukając tak człowieka przedajnego

i słabego — nim przyszło do koronacyi, klecha już sobie upatrzył kogoś, który zdawał mu się jakby stworzony do zdrady.

Był nim podkomorzy krakowski, z urzędu swego będący przy młodej królowej, Gniewosz z Dalewic. W nim Bobrek znalazł wszystkie znamiona powolnego narzędzia, do podstępного knowania.

Ubogiej rodziny szlacheckiej potomek, Gniewosz miał ambicyą niezmierną i nieprzebierającą w środkach. Chciało mu się zbogacić, podnieść, stanąć na równi z innemi, jakimkolwiekby kosztem.

Pochlebca zręczny, umiał się naprzód wkraść w łaski Dobiesława i zmarłego biskupa Zawiszy, którym służył do najbrudniejszych spraw, nie dbając co ludzie powiedzą.

Lekcewazył sobie języki, a stał o oczy, — występować świetnie, napozór równać się przepychem dworu, szatami, wystawnością życia z daleko możniejszymi od siebie — było głównym jego celem.

Wcisnąć się pomiędzy Leliwów i Toporów, choćby go odpychano i dawano mu czuć co ich od niego dzieliło, szaty ich naśladować, stoł mieć podobny, konie tej samej maści, suknie krojem cudzoziemskim, kawalkatora cudzoziemca, lutnistę choćby jednego, wozy tak samo kryte, stoł podobnie zastawny i w obec mieszczczau

a gawiedzi nie ustępować magnatom, Gniewosz miał za obowiązek i jedyny cel życia. Zawsze w długach, obarczony lichwą, nie pytał z kąd weźmie, byle dostał.

Pięknej dosyć powierzchowności, oblicza wesołego, dowcipny, bo zręcznie sobie cudzy dowcip umiał przywłaszcząć, uniżony i przymilający się mocnym, zuchwały ze słabemi, dosyć dotąd szczęśliwie idąc, dobił się do podkomorstwa.

Na ubogiego szlachcica było to już dość znacznem, lecz jemu nie starczyło... Przemyslał ciągle nad sposobami dźwignięcia się wyżej jeszcze. Przykład miał na krakowskim panu.

Bobrkowi łatwo było zasięgnąć wiadomości o charakterze człowieka, którego w Krakowie znali wszyscy żydzi, lichwiarze, roztrucharze, kupcy, bo im zalegał w znacznych sumach. Wiedzieli oni z doświadczenia, że na słowie jego polegać nie było można, i że za pieniądze gotów był na wszystko.

Zmuszony żyć w mieście i przy dworze, trzymać konie i ludzi, stroić się, gości przez pychę przyjmować, udawać pana, Gniewosz potrzebował ciągle i rzucał się na wszystkie strony.

Mógł więc klecha zmiarkować, że najłatwiej mu będzie zyskać sobie jego, myśl mu poddać, zaświecić nadziejami wielkimi, i pokierować tak, jak zakonowi było potrzeba.

Bieniasz, u którego klecha stał gospodą, był z podkomorzym znajomy. Szło tylko o to, ażeby zajętego teraz służbą ściągnąć do Niemca. Bobrek był pewien, że po krótkiej rozmowie zyskać go sobie potrafi.

Właśnie Gniewosz potrzebował na przyjmowanie Węgrów i na koronację pieniędzy, a że długów miał wiele, nikt mu ich dawać nie chciał inaczej jak na zastaw.

Było to zresztą zwyczajem w czasach onych, że dla utrudnienia w poszukiwaniu sądowem należności, nie dawano inaczej, jak pod zastawy, nawet panującym i książętom, którzy srebra swe a inni zamki i włości w długach dawać musieli, aż do spłacenia ich. Krzyżacy naśladowali w tem powszechny obyczaj.

Gniewoszowi tych trochę sreber jakie miał nie chciało się pozbywać, aby domu z oznak pewnej zamożności nie ogołocić. Latał więc za pieniędzmi.

Bobrek urządził się tak, ażeby go pod pozorem pożyczki ściągnąć do Bieniasza domu...

On sam gotów był mu wyjednać zasilek jakiś, gdyby się dał pozyskać.

Nie nie kosztowało klechę, że nie mogąc swoich panów wydać, musiał się tu kłamstwem posłużyć. Dużo wprzód nim zasada, że cel uświęca środki, ogłoszoną została przez inny zakon — Krzyżacy ją wyznawali. Słudzy ich

pewni byli rozgrzeszenia, postępując sobie nie wedle sumienia, ale wedle potrzeby...

Gniewosz z Dalewic, dał się na krótki czas z zamku sprowadzić do Bieniasza domu, klecha który dotąd słyszał o nim tylko, a widywał go zdaleka, zobaczywszy wchodzącego, był w początku powierzchownością jego wielce zmiészany. Nie odpowiadała pojęciu, jakie miał o nim.

Dworak i pochlebca, wyglądał z pozoru na tak wyszlachetnionego człowieka, miał tyle powagi, otwartości, rycerskiej buty, iż Bobrek sądził, że go oszkalowano.

Lecz próbować było potrzeba. Stawił się klecha jako pośrednik lichwiarza naprzód, potem gdy Bieniasz się oddalił, odważył się wprost wystąpić z tem co przynosił.

Zniżył głos, a że czasu było niewiele, bo podkomorzy się spieszył, począł od tego, iż należał do sług ks. rakuzkiego Wilhelma; który był i nie przestał być narzeczonym Jadwigi.

— Pomagając mu, możesz miłość wasza być pewnym wdzięczności, fortuny, najwyższych urzędów. Królowa go kocha, idzie o to, aby zamiary panów, co ją inaczej chcą żenić, zniweczyć.

Myśl ta od razu tak przyłgnęła do człowieka, iż ani się zawahał oddać na jej usługi.

— Cóż mam czynić? — zapytał.

— Naprzód się do królowej starać zbliżyć

i dać jej poznać, że chcecie Wilhelmowi i jej być pomocą. Sprowadzić go tu łatwo; a gdy się raz na zamek dostanie — wszak ślub już byli raz wzięli, albo go potajemnie powtórzą, lub się bez niego obejdą. Naówczas panowie radzi nie radzi, królem go uznać muszą.

Gniewosz płonął cały i drżał z niecierpliwości.

— Mogę wam na to złożyć przysięgę, — dodał Klecha — że będziecie wynagrodzeni tak, jak ważna ta usługa zasługuje. Weźmiecie co zechcecie...

Gniewoszowi szło już tylko o to, jak ma postępować, a o samą posługę, ani się spierał. Ofiarował jej siebie całego...

— Rzecz jest łatwą — rzekł mu Bobrek — bo królowa kocha narzeczonego, to wiedzą wszyscy. Spytek i Jaśko, chcą jej narzucić — kto wie kogo! poganina jakiegoś, dzikiego niedźwiedzia, obrzydliwą poczwarę. Porozumiecie się łatwo z młodą panią.

Składało się to tak po myśli i charakterze chciwego a niesumiennego Gniewosza, iż klechę by był ucałował, gdyby nie duma...

Jednem słowem został wtajemniczony, miał drogę wskazaną.

Spytał Bobrka, czy księżę Wilhelm, gdyby mu dano znać, przybyć zechce? Na to Bobrek, choć niewiedziało nic, na wiatr, najzuchwalej dał słowo...

Daleko w krótszym czasie niż się spodziewał,

klecha sprawił co chciał, a oprócz tego załatwił podkomorzemu sprawę pożyczki, chociaż nieco mniejszej, niż sobie życzył.

Wiedział pewnie, że Krzyżacy gotowi byli zapłacić za niego, byle się powiodło wprowadzić Wilhelma, a odeprzeć Jagiellę.

Gniewosz wyszedł z kamienicy Bieniasza z takim uczuciem, iż mu się zdało, jakby urósł na pół łokcia, niósł głowę wyżej jeszcze, oczy mu się uśmiechały, dumnym był z tego, że miał stanąć przeciw tym wszystkim, przed którymi płaszczył się dotąd, pochlebiał im i pogardę często okazywaną znosić musiał...

Ludzie tacy jak podkomorzy czasu tracić nie zwykli. Do młodej pani przystęp tych dni był trudny, otaczano ją ciągle — przygotowania do koronacyi, rozmieszczanie dworu na zamku, urządzanie życia nowego, przybywanie gości, posłów i posłańców, cały jej czas zabierało... Z urzędu swojego podkomorskiego mógł jednak zabrać bliższą znajomość z paniami, które towarzyszyły Jadwidze. Od służby już wiedział, że do starej Hildy, która młodą dziewczkę wychowywała, była przywiązana i największe zaufanie w niej miała...

Przy pierwszej zręczności Gniewosz poszedł zapoznać się z ochmistrzynią. Nie wydała mu się ani tak starą, ani tak dziką, jak mu ją odmalowano. Niemka, rodem z Wiednia, owdo-

wiała od dawna, bezdzietna, pani Hilda była przywiązana do swej wychowanki, jak do własnego dziecięcia.

Kochała ją bałwochwalczo. Była to zresztą, jak się od razu mógł przekonać Gniewosz, niewiasta prosta bardzo, żywego temperamentu, pobożna i zabobonna, rozmiłowana w pieśniach i muzyce, i niemi może starająca się brak wykształcenia zastąpić.

Jadwiga wzięła ją z tego dworu austriackiego, wśród którego jakiś czas się wychowywała. Pozbawiona prawie matki, bo królowa Elżbieta mało się córkami swojemi zajmowała, królowna z potrzeby przywiązania, kochała swą Hildę.

Miłość ochmistrzyni dla tego przybranego dziecka, była ślepą, do najwyższego stopnia i bezwzględną. Królowna mogła od niej pożądać najdziwniejszej, najszkodliwszej rzeczy, a Hilda nie wahałaby się jej życzenia zaspokoić, nie oglądając na nic. Sprzeciwić się jej nie miała siły...

Kto służył jej pani z takim samem zaparciem się siebie, był jej miłym, kto się ważył jej opierać, nieprzyjacielem. Ochmistrzyni przejęła też wszystkie upodobania swej wychowanki.

Na wielkich dworach całej Europy pieszczony obyczaj coraz bardziej brał górę. Rycerstwo przeradzało się w poetyczną jakąś komedję

życia, pełną pieśni, miłosnych marzeń, wymyślanych najdziwniej obrzędów i praw. Strojono się, bawiono, słuchano muzyki i przypatrywano rycerskim turniejom coraz więcej schodzącym na dworskie igraszki.

Obok tej strony idealnej życia, rozwiązłość obyczajów była tak wielka, jak pobożność, która z nią szła niepojętym sposobem w parze. Świat to był dziwny, zupełnie do dzisiejszego niepodobny, jeszcze średniowieczną gorącością temperamentów, rozkieczeniem fantazyi i wiarą głęboką a ascetyzmem nacechowany. Najsprzeczniesze się w nim łączyły wady i przymioty, kradziono przez pobożność relikwie świętych, zamarzano się głodem, a piękne panie liczyły dziesiątkami wielbicieli, dla których tylko pozornie były okrutne.

Miłosna pieśń rozlegała się szeroko. Na dworze Jadwigi, z nią razem przybywali lutniści, śpiewacy, bo bez nich obejść się nie było podobna.

Niemłody już, lecz mistrz w swym rodzaju, Handslik, pieśniarz sławny, dowodził gromadce Królowna lubiła go dawniej, coś dopiero teraz, gdy jej miał w tym kraju obcym przypominać Wiedeń i Budę...

Gniewosz dostawszy się do mieszkania Hildy, której usługi swe ofiarował, umiał ją sobie od pierwszych słów, choć bardzo złą niemczyzną

powiedzianych, pozyskać. Zaręczał jej, że cześć i miłość dla tej pani, którą tu wszyscy otaczali takim poszanowaniem, sprowadzała go do niej, ofiarował się być pomocą, wiernym sługą, czekał na rozkazy.

Hilda uszczęśliwioną była, że kogoś znalazła wśród obcych, co mógł i chciał pierwsze kroki wśród tego nieznanego świata ułatwić...

Wylała się przed nim zaraz z wielkim niepokojem o tę panią swą, tego anioła, którego musiano rzucić tak na pastwę, w kraj nieznany, między ludzi nowych... samą jedną.

Gniewosz umiał zawiązać rozmowę i potakiwaniem zyskać zaufanie... I on bolał nad losem królowej, ale miał razem nadzieję, że ona swą wolę mieć będzie i o przyszłości stanowić.

Bardzo zręcznie podkomorzy napomknął zdaleka, zlekka, ostrożnie o Wilhelmie, dając do zrozumienia, że dla niego niebyło tajemnicą przywiązanie Jadwigi do niego.

Ochmistrzyni Hilda, która już była przełkniętą tem, że o innym jakimś mężu dla jej wychowanki mówiono, chwyciła się Gniewoszewego słowa namiętnie.

Miało ono stanowić węzeł między niemi. Współczuciem tem pozyskał sobie ochmistrzą...

Na razie więcej Gniewosz uczynić nie mógł, nic nie nagliło.

Dawne jego stosunki z Dobiesławem i synem

jego biskupem Zawiszą, pokorne dworowanie innym panom, pilne spełnianie ich rozkazów, dawało na teraz wielką swobodę. Nikt z tych co się przyczynili do wyniesienia go na podkomorstwo posądzać go nawet nie mógł, aby śmiał coś czynić na swą rękę, przeciwko ich woli. Gniewosz zresztą, im zuchwalej zabierał się knuć, tem pozornie powolniejszym się dla wszystkich okazywał.

W ciągu tych dni, które przybycie dzieliły od koronacyi, wszystko było na zamku w tak gorączkowym ruchu, iż nikt bliżej postępowania pojedynczych osób śledzić nie mógł. Podkomorzy więc miał zręczność, oprócz Hildy, zyskać sobie dwie starsze panie z orszaku Jadwigi, a w ludziach i służbie się rozpatrzyć.

Wszyscy przybyli w ogóle, przynosili z sobą bardzo wybitne uprzedzenia przeciwko krajowi, który nauczono się od czasu Kaźmierza i na dworze Loisa, niecierpiącego cuchnących Polaków, małować jako barbarzyński. Cały ten dwór pieyszczony, wydelikacony, zepsuty, czujący się niby wyższym nad ludzi; wśród których go rzucono, wzdychał do odzyskania dawnych stosunków z księciem Rakuzkim, i sprzyjał mu.

Gniewoszowi łatwo było przekonać się, że znajdzie sprzymierzeńców i pomocników. Zadanie wydawało się łatwem, a dla niego stanowiło o przyszłości...

Wiedział on równie dobrze, iż pomiędzy panami snuto jakieś inne przyszłości plany. Niezwierzano mu się z niemi, lecz z każdym dniem tajemnica powołania na tron Jagielly, mniej była skrywaną.

Od tych pierwszych dni po przybyciu Jadwigi, widocznem było, że ci co tu władali, mieli zamiary różne i dzielili się na obozy.

Największa siła była przy tych co za Jagiellą głosowali. Sprawa kraju, jego potęgi, obrony, wzrostu była w dokonaniu myśli tej, która nieszczęśliwą Polskę nagle miała uczynić silniejszą niż kiedykolwiek była.

Obok tych, co z Jaśkiem z Tęczyna zwali to natchnieniem Bożem, była i garść mniej dbałych o dobro ogólne, a więcej o własne. Ci głosowali za tem, aby królowej nie wydawać za męża i czcząc ją a padając przed nią, rządzić za nią.

Miał mniejszą jeszcze gromadkę przyjaciół ks. Władysław Opolski, który spodziewał się zamek opanować fortem, królowę wziąć w opiekę, któraby była niewolą, i sam rządzić za nią. Milczący Niemiec, nawet po zaślubieniu Jadwigi z Jagiellą, nie wyrzekł się knowań, które spełzył na niczem...

Wielkopolanie niektórzy może jeszcze marzyli o Semku, lecz i przybycie jego potajemne do Krakowa i sposób zachowania się, nie dozwalały na niego rachować.

Naostatek Gniewosz także spodziewał się później znaleźć sprzymierzeńców i pomocników.

Tak około tej smutnej wygnanki, której z takim pośpiechem gotowano się na skronie włożyć koronę, czyniąc ją „królem,” snuły się niewidoczne nici pajęcze najrozmaitszych zabiegów... Wszyscy jednak nznawali ją panią, i dosyć było widoku tego ślicznego dziewczęcia, by serca zjednać, tak że nikt nie pomyślał ani praw jej zaprzeczać, ani ją z nich wyzuwać...

I zarówno wszyscy żądali namaszczenia, błogosławieństwa kościoła, przysięgi, aby umocnić na tronie młodą swą panią...

IV.

Przebrzmiały śpiewy i dzwony na Wawelu, obrzęd, na który z taką oczekiwaną niecierpliwością, odbył się uroczyście, wśród tego wesela, które znamionowało przybycie Jadwigi,...

Wszyscy co z uwielbieniem przypatrywali się temu aniołowi ukoronowanemu, gdy w szatach królewsko-kapłańskich, z koroną na czole, z berłem i jabłkiem w dłoni, z rozpuszczonemi na ramiona włosami, stał przed wielkim ołtarzem, promienisty, cudnie piękny, widzieli także w ciągu całego obrzędu, nie radość na twarzyczce, nie blask zwyciężki w źrenicach, ale trwogę i smutek...

Oczy zdawały się zachodzić łzami, rączki drżały dźwigając ciężkie władzy znamiona, zdawała się upadać pod brzemieniem tych szat złotogłowych...

A gdy na tronie zasiadła przy uczcie, otoczona gronem najpierwszych mężów, najdostojniejszych radców swoich, gdy zabrzmiały tu wesole pieśni, i grzmiące trąby i okrzyki radosne, widzieli jak dwa pereł strumienie pobiegły po białej twarzy. . .

Gdy potem wreszcie, odprowadzana przez cały orszak dziewic i matron, poszła spocząć do swej sypialni, nie widział nikt jak się rzuciła w objęcia Hidy i wybuchnęła płaczem długim . . .

Wśród tego tłumu, tej wrzawy czuła się sama, sierotą nieszczęśliwą, dzień jej tryumfu był jakby pogrzebem nadziei, rozstaniem z przeszłością całą.

Tu nic, nigdzie nie przypominało jej narzeczonego, z którym ona czuła się połączona przysięgą, wspomnieniami młodości — sercem.

Znali się i kochali od dzieciństwa. Wszystkie marzenia królewnej, od czasu jak się marzyć nauczyła, snuły się około szczęścia z Wilhelmem, z młodziuchnym rówieśnikiem, wychowanym jak ona, wypieszczonym jej na męża.

Tu od czasu przybycia, nikt jego imienia nie wspomniał, nikt się nie ważył szepnąć że żył, pogrzebiono go ciszą grobową.

Matka wprawdzie kazała jej jawnie wyrzec się go dla korony i sama się zaparła wszelkich zobowiązań tylekroć i niedawno za poręką Opolczyka powtarzanych, ale sam na sam z płaczącą

córką, pocieszała ją tem, że byle tron otrzymała, Wilhelma na nim posadzi.

Tu, teraz — niewidać było ani promyka nadziei...

Klękali przed nią wszyscy, ale o jej szczęściu nikt nie myślał i nie mówił.

Jedna Hilda objąwszy ją płaczącą, zrozumiała co łyzy te znaczyły, i umiała ją pocieszyć. Szepnęła cichutko.

— Nie płacz, mamy tu przyjaciół. On przybędzie.

I nagle podniosła główkę królowa, wlepiając oczy w Hildę, niedowierzająco. Łzy jeszcze nie były oschły, lecz na samo to wspomnienie usta się uśmiechać chciały.

— Cierpliwości, królowo moja — szepnęła stara, wszystko czego pragniesz... stać się musi.

Piękna Elża córka Emryka Wojewody, i inne dziewczątka, które pani do sypialni towarzyszyły, nie mogły pojąć jakim cudem Hilda kilką czarownemi słowami, taką zmianę sprawiła.

Jadwiga podniosła się z nawpół dziecięcą wesołością, tak nagle jak był smutek, poczynając o swem znużeniu, o obrzędzie, o wszystkim co mu towarzyszyło.

Każda z dziewcząt miała coś do powiedzenia, jakiś szczegół zabawny, jakieś spostrzeżenie, jakąś obawę... przebyła w ciągu uroczystości...

Jadwiga skarżyła się na ciężką swą koronę,

na jabłko, które jej rękę zdrętwiło, na płaszcz, co się zsuwał z ramion.

Inne opisywały postawy panów, co towarzyszyli obrzędowi, co nieśli znamiona władzy i śmiały się z tego ogromnego miecza królowej, któregoby rączki jej podźwignąć nie mogły.

Piekna czarnooka Elża nazywała żartobliwie panią swą — królem, i zapytywała czy ten, którego ona weźmie za męża, będzie się chyba musiał nazywać — królową?

Lecz na wspomnienie to zachmurzyło się piękne czoło.

Eiża chcąc naprawić co powiedziała pospieszyła zaręczając, iż wie od Spytki, narzeczonego swojego, że za mąż swojego króla tak rychło wydawać nie myślą.

Lecz i to zapewnienie nie rozjaśniło czoła królowej. Więc druga Ofka coś wspomniała o lutnistach i pieśni, i polskim cytarzyscie, który śpiew niezrozumiały nucił, tak jakoś tęskny, jakby nie weselnym był... W sypialni zamkniętej, pomimo oddalenia od komnat, w których ucztowano, słychać było wrzawę, szum tłumu i dźwięki muzyki, fletnie i trąby...

Niektórym z dziewcząt nóżki jeszcze drżały do tańca, lecz oczy się do snu kleiły... Hilda rozbierała z pomocą służebnych swą panią; dziewczę spletało włosy... podawano nocne ubranie, zdejmowano klejnoty ciężkie...

Zadumana królowa, spoglądała czasami na Ildę, która dawała jej znaki porozumienia, pociechy.

Złożyła ją potem, otulając w łóżu wspaniałem i kolysała objawszy jak dziecko, szepcząc do ucha...

— Królowo! zawołasz! przyjedzie...

Z tych wszystkich ludzi nowych lub mało znanych, Jadwiga już wybrała sobie takich, co się jej zdali godniejszemi wiary... Jaśko z Tęczyna, Zawisza z Oleśnicy, Spytek z Mielsztyna, mieli dla niej twarz, co przyjaciół zwiastują, stary biskup Malcúki, którego ojciec jej kochał, był jednak najbliższym... Lecz na samą myśl zwierzienia się jednemu z nich, lice jej okrywał rumieniec.

Tymczasem wyprzedzano się, aby zabawić młodą panią, która nic innego do czynienia nie miała, oprócz przyjmowania hołdów, pokłonów, podarków, przypuszczania ludzi do ucałowania jej ręki. Codziennie starsze panie podszeptywały jej, kogo do stołu swego zaprosić miała, a każda z nich opiekowała się szczególnie jednym z otaczających. Za Spytkiem uśmiechając się mówiła przyjaciółka Elza Emrykowna, rozumna matka jej za Jaśkiem z Tęczyna, który szczególnie miłym był królowej i kochał ją jak ojciec. Sama Jadwiga prosiła ciągle małego biskupa, aby jej nie opuszczał i nie zapominał o niej. Podskarbi Dy-

mitr z Goraja, podkomorzy Gniewosz, o którym cicho szeptała Hilda, że był bardzo królowej oddanym, byli też częstemi na zamku gośćmi.

Weiskał się i Władysław Opolski, który ze swem milczeniem, twarzą ponurą, dumną postawą i chęcią rządzenia się, niemile czynił wrażenie na Jadwidze.

Wkrótce po koronacyi, dopełniający jej obrzęd odbył się w Rynku krakowskim, gdzie hold i dary złożyli królowej mieszczanie.

Wszystko to zabawiało na chwilę, dawało zapomnieć o troskach i osieroceniu, lecz z powrotem na zamek do pustych komnat, biednej pani tęskno było. Czuła się straszliwie samą, pomimo licznego dworu. Część dnia zappełniły modlitwy i kościół, drugą przyjmowanie gości, których zawsze bywało pełno, resztę... dziewczęta i ona zaczęły spędzać u krosien. Wieczorem Handslik i lutniści śpiewali pieśni, które Wiedeń przypominały i łza się kręciła w oku.

Pora roku nie dozwalała ani poznać pięknych okolic Krakowa, ani przedsiębrać wycieczek; jesień ostra i zimna zwiastowała nadchodzącą długą zimą... Rzadko zdala na horyzoncie Elża mogła zobaczyć i pokazać królowej Tatry, sinym łańcuchem oddzielające od Węgier, stojące tam jak mur na straży... Tak się rozpoczynało panowanie młodej pani.

Dla swych gości, dla tych co ją tu otaczali

taką czcią i miłością, czasem posuniętą aż do uniesień i bałwochwalstwa, Jadwiga starała się okazywać twarz wesołą, a jednak wszyscy czuli w niej stłumiony smutek... Wyraz ten mimo-wolnej tęsknoty w twarzyczce, może jej dawał urok nowy, czarował, lecz cóż jej było po tych hołdach, gdy o swą przyszłość drżeć musiała.

Jedna tylko Hilda знаła głąb jej serca i przy-
czyne, dla której oczy piękne, tak smutnie, bla-
sając litości patrzyły.

Codzienny gość na zamku wojewoda Spytek, który tu równie dla królowej jak dla swej Elży przychodził, dnia jednego przy biskupie Radlicy począł mówić o tem, iż główny niegdyś nieprzy-
jaciół Jadwigi, ten co się starał o koronę i był nawet już królem obrany, ten którego za męża chciano narzucić jej, znajdował się od niejakiego czasu w Krakowie. Na wspomnienie o tem, iż jej go za męża narzucić chciano, zarumieniła się mocno królowa czternastoletnia; oczy jej nabrały wyrazu energicznego, dziecinnej jakiejś śmiałości, i odważyła się odpowiedzieć.

— Maż kto prawo narzucić mi męża?

Pytanie to zmięszało nieco biskupa, do któ-
rego więcej niż do Spytki zdawało się wysto-
sowane.

Biskup był człowiekiem prostodusznym i praw-
domównym.

— Miłościwa pani — rzekł — narzucić nikt

niema prawa, ale, gdybyś chciała wybrać takiego, któryby królestwu mógł być szkodliwym i groźnym, niestety, oprzećby się mogli ojczyce tego kraju.

Jadwiga pomyślała, i zwróciła się do Spytki.

— Książę Mazowiecki jest tu? a jam go nie widziała? Jak sądzicie, co go tu sprowadziło?

— Nie wiem, ale sądzę, iż pewnie chce poddania się i pojednania — rzekł Spytek. — Ja jestem ten, do którego on podobno żał ma największy, tak przynajmniej sądzę z tego, że mi przez zemstę spalił i złupił część znaczną dóbr moich, ale pierwszybym za tem głosował, aby z nim zrobić zgodę. Biedny jest, stracił wiele...

— Mówisz jak dobry chrześcianin i jak poczciwe dziecko tej ziemi — przerwał biskup — Zemsta jest rzeczą pogańską.

Jadwiga go słuchała z ciekawością.

— Ale książę Mazowiecki żadnego nie zrobił kroku? — spytała.

— Dotąd, nie — odpowiedział Biskup — sądzę wszakże, iż użyje arcybiskupa, który niegdyś go królem ogłosił, aby teraz pomógł mu do pojednania z naszym królem ukoronowanym.

Jadwiga nie odpowiedziała. Z całej tej rozmowy, w myśli jej tylko pozostało co powiedział Radlica, że narzucić jej męża nie mogli, ale, odebrać go, nie dopuścić byli w prawie.

Całe więc szczęście jej zależało od dobrej

woli panów Rady. Ci się jej zdawali tak dobrzy, przywiązani, wylani, iż myślała — niemogli odebrać jej tego, bez czegoby żyć nie potrafiła.

Komuś zwierzyć się musiała? Biskup Radlica jako dawny i poufalej znajomy, zdawał się najbliższym. Czekala, aby byli sami.

Codzień zrana, ktoś ze dworu potrzebował jego rady lekarskiej, której zacny Pasterz nie odmawiał. Ze swej katedry przychodził pieszo na zamek, wstępując do komnat królowej i jej służby.

Hilda szczególnie nieustannie się na jakieś dolegliwości skarżyła, a najmniejsze cierpienie ją przerażało.

Raz Radlica znalazł się u królowej, gdy świeżo z kościoła powróciła. Służebne przyniosły mu polewkę, a młoda pani siadła przy nim uśmiechając się.

— Mój ojciec — rzekła cicho — mój ojciec, miałabym prośbę do was...

Biskup z głosu drżącego, z nieśmiałości, z którą wyraził te wymawiała, mógł wnieść, iż szło w istocie o coś nadzwyczaj ważnego...

— Rozkazujecie! — rzekł żywo.

— Nie znam dobrze położenia mego — mówiła Jadwiga nieśmiało i wahając się, a głos jej coraz cichszym się stawał. — Wiecie, że w dzieciństwie byłam przyrzeczoną i zaślubioną księciu Wilhelmowi. Niedawno jeszcze, na nowo umowa ta

potwierdzoną została, ręczył za jej spełnienie ks. Opolski... Potem, potem matka przymuszona nmowę tę unieważniła... a potem jeszcze po cichu zaręczyła mi, że ona... musi przyjść do skutku...

Ja tego wszystkiego nie rozumiem, mój ojciec (łzy się jej w oczach kręciły), ale wiem, że od dziecka nawykłam kochać go i uważać jak męża... Ja... (tu głosu jej zabrakło) — ja-bym żyć bez niego nie potrafiła...

A jakże można nas rozdzielać? kościół pobłogosławił, ja obrączkę jego dotąd na palcu noszę. On jest moim, ja jego...

Biskup słuchał z natężeniem i współczuciem, lecz na twarzy jego malowało się przykre zakłopotanie, a gdy mówić przestała, potrzebował długiej chwili do namysłu, nim się zebrał na odpowiedź.

— Królowo moja—rzekł po cichu.—Ja wiem i wiedziałem to wszystko... Tak... tak było... ale dziś wy jesteście panią kraju, który w mężu twoim szukać musi dla siebie też króla jakiego mu potrzeba.

— A Wilhelm że nim być nie może? — odparła Jadwiga. — Wilhelm...

— Pani moja — począł biskup składając ręce. Ja spełna nie wiem, co panowie Rady postanowią. Nie spieszą oni z daniem męża pani, którą kochają...

— Jeśli w istocie mają przywiązanie do mnie, mogliby chcieć widzieć mnie nieszczęśliwą i wiarołomną.

Biskup pomyślał trochę.

— Wiarołomną, nie — rzekł. — Ten ślub w dzieciństwie zawarty, nie był właściwie ślubem... Kościół...

Jadwiga powstała żywo z siedzenia.

— Ojczy mój! — zawołała rumieniąc się — ślub dla innych mógł być nieważnym, ale jam sercem przysięgła...

— Uspokój się, uspokój! — odezwał ks. Radlica widząc ją zburzoną.—Ja nie wiem nic... ja tu nie mam wpływu, niestety! Ubolewać mogę, radzić, ale pomódz...

Biedny mały biskup ręce rozłożył...

— Nie mam tu siły ani wpływu — rzekł — trzeba mówić z innemi.

— Z kim? — spytała królowa siadając.

Radlica potrzebował znów chwili namysłu, nim odpowiedział.

— Z kim? zaprawdę, zaprawdę. Oni wszyscy kochają swą panią i życzą jej dobrze lecz... kraj i Polska...

Spuścił głowę.

— Jaśko z Tęczyna poważnym jest mężem... Jan Tarnowa. Sędziwój z Szubina.

Przez chwile milczała królowa, i brwi jej się zbiegły, czoło białe zmarszczyło.

— Mielizby już kogo? — przerwała żywo. Przybycie księcia mazowieckiego oznaczaloby...

Radlica tym razem zaprotestował prędko.

— Mazowiecki! nigdy w świecie! — rzekł. — Nikt go tu nie chciał i nie chce. Uchodzi za potomka rodu, który się odznaczał gwałtownością i surowością. Ale młodego, boją się go wszyscy. Przyjaciół niema.

Królowa odetchnęła swobodniej.

— Nieprawdaż, rzekła wyciągając białą swą rączkę ku biskupowi. — Wy, coście byli ojca mojego przyjacielem, nie opuście córki jego. Wy...

— Królowo moja! cały oddaję się na twe posługi, lecz słabą pomoc mieć będziesz ze mnie...

Dano znać o przybyciu Jaska z Tęczyna i królowa wraz z biskupem wyszła do drugiej komnaty na jego przyjęcie. Był on tu gościem codziennym i miłym, lecz z nim Jadwiga tak szczerze i otwarcie mówić nie mogła jak z małym biskupem, bo kasztelan wojnicki, mimo poszanowania dla niej, tak się z nią obchodził, jakby w niej prawie widział dziecię, niedoroslą dziewczeczkę.

Wprawdzie wiek królowej to usprawiedliwiał, lecz w istocie dojrzałą była życiem, smutkiem, losem swym, i szczegółami darami Bożemi, jakimi wyposażoną została. Są łaski stann, jak je Kościół nazywa, a taką łaskę miała Jadwiga,

gdy jej Opatrzność przeznaczala stanąć u steru wielkiego krolestwa i rozstrzygać o losach jego.

Wzrok jej sięgał głębiej i myśl szła dalej, niż Jaśko przewidywał.

Zwyczajem swym począł od zapytania, coby jej mogło najmilszą sprawić rozrywkę.

Królowa zapłoniła się, uśmiechnęła.

— Bawię się ciągle — rzekła — dla urozmaicenia dajcie mi co robić? Naznaczcie pracę jaką?

-- Cóż? chyba szycie dla kościoła? odparł Jaśko. Jeżeli w. miłość rozkażecie, pan Dymitr ze skarbcza wyda miarę peret, choćby taką—jaką owies dla koni zwykli mierzyc... Jeżeli ich w skarbcu nie stanie, my dosypimy ile będzie potrzeba.

Podziękowała Jadwiga. Biskup stał z boku zadumany, może o jakim elektuarium lub cudownej driakwi. Po chwili królowa spytała Jaśka, czy i on wiedział o pobycie w Krakowie księcia Mazowieckiego.

— Tak jest, zaprawdę, wiem i ja—że się on tu znajduje -- odparł Jaśko—i domyślam się, że jużci tu z wojną nie przybył, tylko z pokojem. Nie był a la nam jednak szukać go pierwszym, jak gdybyśmy my więcej niż on pożąдали spokoju tego.

— A! pokój i bezpieczeństwo dla ludzi, tak wielką jest rzeczą—odezwała się Jadwiga—że się schylić po nie wahać się można.

— Więc, miłościwa pani, byłabyś za tem, aby przeszłość puszczając w niepamięć — rzekł Jaśko—starać się zbliżyć do niego?

— Wy lepiej wiecie pewnie, jak to uczynić potrzeba—odezwiała się królowa—lecz dla czegożby mój pokrewny, choć daleki, polski książę, nie miał być na zamku przyjętym?

Pan z Tęczyna pomyślał trochę.

— Onby sam o to powinien prosić królowę—rzekł.

— A jeśli lęka się odmowy i upokorzenia, nie godziź się, by silniejsza, bo królowa, mu ich cszczędziła?

Wyrazy te tak się pięknie i szlachetną myślą natchnionemi wydały Jaśkowi, iż ręce złożył, z uwielbieniem dla tej co je wyrzekła.

— A! tyś była na królowę stworzona!—zawołał w uniesieniu, żywy rumieniec skromności wywołując na jej twarzyczkę.

— Tak—rzekł po krótkim namyśle — poślę do niego kogoś, co mu oznajmi o tem, że miłościwie będzie przyjęty...

Po krótkiej rozmowie o kilku osobach, które królowej dla złożenia holdu przyprowadzić chciano, odszedł Tęczyński z Radlicą.

Lecz nie dalej jak wprzedsieni zwrócił się do biakupa.

— Słyszeliście — rzekł. — W tej pani jest szczególna łaska Boża, dająca jej rozum nad

wiek. Nie wiem czy drugą taką istotę wydała ziemia kiedy... Wszystko ma razem, piękność anielską, serce szlachetne, rozum dojrzały... a te doskonałości mieszczą się w niedorostem; ledwie rozkwitajacem dziewczęciu!

Nie cud że to! a nie jestże drugim cudem, iż ona się nam właśnie dostała!

Biskup potakiwał milczący, ale smutnie. Wrażenie rozmowy niedawnej ciążyło na nim; nie śmiał jednak zwierzyć się z niej panu wojnickiemu. Czuł się za słabym, aby dobrowolnie mieszać się do tych spraw, które więcej energii niż on jej miał, wymagały.

Rozstali się tak w progu, a kasztelan wojnicki wrócił do swojego dworca z postanowieniem spełnienia woli pani. Chciał to jednak wykonać w ten sposób, aby jej godność na tem nie cierpiała...

Potrzeba mu było zręcznego pośrednika, którego szukał w myśli, gdy Spytek z Mielsztyna nadjechał.

Młode panie na ten raz sprawy innej nie miało, nad pokazanie kasztelanowi nabytego świeżo, wielkiej ceny i piękności bachmata.

Spytek, choć poważnym być umiał, młodym być nie przestał. Bawiło go to co i drugich. Zająty swoim rumakiem z gorącością począł go zachwalać Jaśkowi, gdy ten mu przerwał.

— Byłem u królowej? Wiecie, że dowie-

dziawszy się o Semku, chce wspaniale sama, pierwsza rękę mu podać do zgody?

— Ja jej o nim mówiłem — rzekł Spytek — byłem pewnym, że to uczyni...

— Łanię głowę, kogo mam użyć za pośrednika!

— Zaprawdę, — wykrzyknął Spytek — w myśl naszej pani, nie ma nikogo nademnie. On mi Książ spalił, ja się pomuszczę rycersko, sam, pierwszy przynosząc mu zapomnienie krzywdy i dobre królowej słowo.

Jaśko z Tęczyna, który czuł mocno każdy czyn szlachetny, przystąpił do młodego gościa, aby go uścisnąć.

Spytek się uśmiechał wesolo.

— Biorę to na siebie — rzekł.

Semko z Bartoszem właśnie nad tem jeszcze radzili, jak skłonić arcybiskupa, aby przemówił do królowej za księciem. Zawsze bojaźliwy, a wystraszony klęskami jakie poniósł arcybiskup, wymawiał się i nie okazywał gotowości wielkiej.

Semko nadto był dumny, aby go prosić. Chciano użyć Radlicy, jako poufałego na zamku, gdy tegoż dnia Spytek na swoim bachmacie, z kilką dworzan zajechał przed gospodę księcia.

Bartosz, który wyjrzał oknem, zobaczył go i oczom prawie nie chciał wierzyć. Semko zerwał się, spoziczając na miecz i sądząc, że wróg, bo

za takiego miał wojewodę, może z zemstą jakąś przybywać.

W tem drzwi się otworzyły i Spytek, z twarzą jasną, wszedł pozdrawiając księcia.

— Przynoszę—rzekł—miłości waszej nowinę, która, jak sędzę, miłą jej będzie, jak miłą mnie jest, że ją mogę sam zwiastować... Królowa nasza dowiedziała się o pobycie Jego w Krakowie... Wiem to, że na zamkuby przyjęła miłość waszą uprzejmie.

Stał Semko zmięszany wielce i niemal upokorzony...

— Czasu wojny — dodał Spytek—mogliśmy sobie być przeciwnikami, dziś trzeba o tem zapomnieć... Ja z dobrem sercem przychodzę i ze słowem dobrem.

— A ja — rzekł Semko podając rękę—równem je przyjmuję. Proszę, abyście mi urazy i szkody przebaczyli.

— Rzeczy to już stare—rzekł wesoło Spytek.—Kiedy wasza miłość na zamku być zechcecie?

— Choćby jutro — odparł książę.

— Ja się tam znajdę — rzekł Spytek—abyw był w. miłości, jeżeli potrzeba pomocnym.

Podziękował Semko, lecz na myśl mu przyszło że może ta jego: „pokora“ zbyt być publiczną i w istocie upokarzającą. Ośmielił się odezwać zcicha.

— Wszakci zbyt wielu świadków nie powołacie? Wolalbym...

Spytek nie dał mu dokończyć.

— Wybierz książę godzinę, albo ranną bardzo, lub spóźnioną, naówczas unikniemy niepotrzebnych oczu gawiedzi.

Raz jeszcze podziękował mu książę, ujęty szlachetnością tego, którego za nieprzyjaciela nieprześląganego uważał. Świadek tej sceny Bartosz, widział w tem także prawdziwie rycerską wspaniałomyślność.

Z tem wszystkiem, nawet powodzenie dla Semka było niemal poniżajacem. Czuł on to mocno. Spadł już tak nisko, że nawet zemstą go nie chciano zaszczylić.

Nie okazał jednak boleści jakiej doznał. Znosił z jakąś dumą wewnętrzną wszystko, czem go los dotykał...

Nazajutrz nie mógł się inaczej stawić przed królową, jak w poczcie bardzo skromnym, bez żadnej wystawy, ktoraby jego pochodzenie istanowisko, o które się dobijał, cechowała... Nie miał z sobą ani liczego orszaku, ani szat, ani wytwornych przyborów. Znajdował też, że zwyciężonemu, wyrzekającemu się dobrowolnie wielkich nadziei, schodzącemu znów do tego bytu, który mu ojciec ukazał, brat doradzał, przystało lepiej wyrzec się wszelkich błyskotek.

Ofiara ta kosztowała go, lecz niebyłże to-

raz pokutnikiem, co za grzechy swe musiał cierpieć?

Królowa zawczasu została uwiadomiona. Dnia tego więc dwór jej, matrony, dziewice, urzędnicy, ona sama po królewsku wystąpić chciała. Musiała być nie Jadwigą, ale owym królem Polski, jakim jej być kazano.

Semko, który widział ją w dzień wjazdu, potem czasu koronacyi w kościele, w Rynku, gdy ją miasto przyjmowało — zachwyconym był jej pięknoscia.

Uczucie to młodzieńcze, truło mu nawet wspomnienie pięknej Olgi, która była dlań przeznaczoną.

Czemże przy tej cudnej pani była piękność Litwinki całkiem ziemską, czysto ludzką, gdy w Jadwidze Semko, jak wszyscy — anielskiego coś uznawali...

Myślał i gryzł się tem, że los jakby dla większego urągowiska, zbliżał go w ustach i myślach ludzi do Jadwigi, że ich żeniono, że trocha lepszej doli, mogła go była z tym aniołem połączyć?

Teraz nawet jeszcze... Bartosz uparty znajdował, że było można próbować zjednać ją sobie, że... Wilhelma nie chciano, a Jagielly obawiano się także. Lecz Semko już się tem ludzi nie dawał, wiedział, że walczyć nie może...

Zrana on i Bartosz z Odolanowa, przybrali

się bardzo skromnie i znaleźli się w kościele na mszy, na której królowa była przytomną. Tuż za nią Semko szedł do zamku, i Spytek go wprowadził.

Stała się jednak rzecz nieprzewidziana, nie-dopuszczono Bartosza, który z gniewem wielkim zaraz precz z zamku odjechał. Czyją to było sprawą, nie wiadomo, dosyć że mieć go tu nie chciano.

Śliczna dnia tego, z weselszą twarzą, z oczyma jasnymi, uśmiechnięta, uprzejmości pełna królowa powitała Semka, jako powinowatego sobie księżęcia, ani mówiąc ni dopnszczając nie wspomnieć o przeszłości. Mówiła o sobie, o kraju tym, o Krakowie, o zamku, ze zręcznością wielką unikając wszystkiego, coby podrażnić mogło.

Semko musiał się dziwić temu majestatowi, jaki sobie umiało nadać dziewczę młodziuchne. Wydała mu się w istocie królową.

Rozgorzał dla niej tak jak wszyscy zachwytem wielkim, lecz razem było w nim uczucie nierówności, myślą się już nie podnosił do córki Ludwika.

Był dla niej zbyt prostym chłopem, jak się sam zwał w dnie.

Jadwiga widocznie zjednać go sobie życzyła, Po pierwszej chwili ceremonjalnego przyjęcia, gdy książę oświadczył, że widział ją w czasie wjazdu, a potem przy uroczystych obrzędach,

spytała go wesoło, czy wyczytał na jej twarzy, jak była przestraszona i zmęczona?

Semko odpowiedział tylko, że niemniej była piękną zawsze.

Naówczas Jadwiga zwracając się ku swoim, towarzyszkom, wśród których były bardzo piękne też twarzyczki, dodała z uśmiechem, że przy tamtych mogła zgasnąć. Wszystkie dziewczęta pospu-szczały oczy, ale niejedna potem podnosząc je, na pięknego księcia Mazowieckiego zwróciła.

Od królowej dowiedział się po raz pierwszy Semko, że i brat jego Janusz spodziewanym był w Krakowie, i dlatego nakłaniała go, ażeby i on dłuższy tu czas pozostał.

Książę, choćby dlatego aby móżdż patrzeć na piękną królowę, pobyt swój gotów był przedłużyć. Nie sprzeciwiał się też temn.

Po krótkim pierwszym spotkaniu, zaproszony ażeby na zamku bywał, odjechał Semko tak oczarowany, jak wszyscy co się do młodej zbliżali pani.

Z tem uspokojeniem, które powiększała nadzieja, iż królowa w układach dla niego będzie powolną, powrócił książę do gospody. Ale tu czekał nań Bartosz do wściekłości doprowadzony, daną mu przez urzędników dworu suchą i dumną ode drzwi odprawą.

Zaledwie Semko się ukazał w progu, gdy pan z Odolanowa, grzęmiącym głosem użalać się zaczął.

— Taki los czeka tych, co się dla książąt poświęcają — wołał — panowie zyskują łatwe przebaczenie, na nas spada pokuta i kara!

— Nie czynźże mnie wymówek — odezwał się Semko urażony. — Wiesz sam, że ja nic winien nie jestem. Słowem mem rękę ci za jedno, to że ja cię nie opuszczę.

Bartosza to wszakże nie mogło uspokoić, bu rzył się przeciw wszystkim, posadzał Spytką, odgrażał się zemstą już bezsilną. Gotów był Polskę porzucić, kraj opuścić. Naostatek lękając się o osobę swą, natychmiast z ludźmi swojemi chciał się z Krakowa wynosić.

Książę się oparł. — Ja rękę za twoje bezpieczeństwo — rzekł — jesteś ze mną. Gdyby mieli złe zamiary jakie, nie czekaliby do dziś dnia.

Trudno było zażegnać tę burzę w człowieku nienawykłym do upokorzenia, już dawnej niechętnym Małopolanom, a teraz dotkniętym osobście. Książę musiał użyć wszelkich środków na jakie mógł się zdobyć, aby wymódz na nim cierpliwość.

Zniechęcony Bartosz starał się nawzajem księcia zrazić, dowodząc mu, że wszystko to co go spotykało, było uknutą zdradą i podstępem.

Najwięcej bolało Semka, że przepelnionego serca nie mógł przed nim wylać, bo Bartosz również królowę jak innych obwiniał o fałsz i chy-

trość i wszystko w niej wydawało mu się tylko podstępem...

Bartosz, który wprzód wszędzie towarzyszył panu swojemu, od tego dnia krokiem nie chciał się ruszyć.

Bytność na zamku zmuszała Semka w sprawie przyszłych umów o pokój, jechać do Jaśka z Tęczyna i Dobiesława z Kurozwęk, odwiedzić Spytka.

Żadna siła już dawnego towarzysza broni skłonić nie mogła, aby z nim razem jechał. Miał słuszność może, gdyż panowie małopolscy, tym których za pierwszych sprawców wojny domowej uważali, przebaczyć nie chcieli. Zarówno prawej ręce Domarata, sędziemu poznańskiemu zwanemu krwawym djablem, Pietraszowi z Małochowa, który po dwakroć zdradzał, jak Bartoszowi, który ogień gasnący podpalał i utrzymywał, nie mogli ich win darować.

Na pierwszą wzmiankę o Bartoszu, marszczyli się Małopolanie, i znać go ani wiedzieć o nim nie chcieli.

Księża za to przyjmowano z czcią należną, i okazując dlań powolność, którą on, może nie bez przyczyny wpływowi królowej przypisywał. Ona potrzebowała na te pierwsze dni królowania swojego, łaskawość okazywać dla wszystkich, jakby jej od losu pożądała dla siebie...

Niebawem zapowiedziany książę Janusz przy-

był także do Krakowa, lecz niedoznawszy klęsk wojny, zawarciem dawniej umowy i przymierza, wyposażony ze skarbcza królestwa dwoma tysiącami grzywien rocznie, wcale inaczej mógł i musiał wystąpić.

Ze znacznym poczem, ze dworem, w kilkadziesiąt koni, zajechał po książęcemu...

Wiedział on już o Semku, i przybywającego zimno i uroczyście przywitał. Wymówki zapóźne były, nie czynił też ich Janusz. Spytał tylko, czy krok jaki do królowej przedsięwziął i dowiedział się z widoczną radością, iż sprawa braterska nie tak źle stała jak się lękał.

— Dobrze mieć rozum, choć późno! — odezwał się do Semka. Spodziewam się, że po doświadczeniu, które wiele kosztowało, zechcesz mnie naśladować... i siedzieć spokojnie.

Na to wszystko dumny Semko nie odpowiadał wcale, — poskarżył się tylko, iż mu Bartosza z Odolanowa ostro odprawiono. Janusz nie dziwił się temu...

— Jużci on był hubką a ty próchnem, — rzekł — wiedzą, że gdyby nie podpałił, nie byłbyś gorzał.

Królowej Janusz nie znał jeszcze, więc rozmowa naprzd o nią potrafiła i spytał Semka jaką była.

Z wielkiem uniesieniem, nie mogąc się wstrzymać mówić o niej począł młody książę, co Ja-

nuszowi się nie podobało. Potrząsał głową i brał to za nowy dowód niestateczności brata.

— Dziewczyna jako drugie — rzekł — a nie trzeba sobie oskomy czynić, bo mleka z miską dla kotów nie stawiają. Kogo innego tam zaproszą na te gody.

— Wiem o tem — przerwał dumnie Semko — ale dlatego brzydką ani złą nazwać jej nie mogę, że jej nie dostanę. Zobaczysz sam...

Zimny z natury swej, wiekiem ostygły Janusz, wcale w pochwały nie zdawał się wierzyć. Nazajutrz na zamek jechali już oba. Ks. Czerski choć poważnie występował, zbytku się nie dopuścił żadnego, wołał za mniej dostatniego ucho-dzić, a swoją wiejskością i naturą leśną niemal się chlubił... Była w tem duma, inaczej tylko przystrojona niż zwykle.

Królowa przyjęła teraz ich obu, tak samo jak wprzód Semka, usiłując wielką uprzejmo-ścią zjednać sobie... Janusz był mniej wrażliwy, a podejrzliwszy, pokorniej się stawiał, a chłodniej razem. Patrzył i słuchał, chciał przeniknąć, co pod tą pięknością i dobrocią się kryło...

Nie zdołała go, wesołością starając się na-technąć Jadwiga, ani rozchmurzyć, ani poufalszym uczynić. Stał zdala, nienięty a uniżony, więcej obcy niż Semko, którego już sobie pozyskać potrafiła...

Gdy potem wyruszyli z zamku a znaleźli się w ulicy, Semko pierwszy zapytał brata.

— Cóż królowa?

Janusz głowę skłonił.

— Królowa!—rzekl cicho. I więcej dobyć już z niego nie mógł młodszy.

Była ogromna różnica w postępowaniu dwóch braci. Semko, więcej na los zdając a marząc, w królowej się rozmyślowując, sprawę swą niemal zaniedbywał.

Janusz był chłodny, sprawiwszy na zamku co nakazywał obyczaj, nie spieszył już tam, ale natomiast począł pilno ujmować sobie takich ludzi jak Jaśko z Tęczyna, Dobiesław, Spytek i inni Leliwitowie. Zapraszał ich do siebie, jeździł i odwiedzał, przyjaźnił się, jednym sokoly obiecywał drugim psy, innych na łowy do lasów swych zapraszał, nie zapominając o tem, aby mu owe dwa tysiące grzywien na żupach wielkich ubezpieczono.

Stuchając Semka prawiącego o nadzwyczajnej piękności królowej, o jej rozumie, o tym uroku jakim wszystkich ujmowała, Janusz się uśmiechał prawie szydersko.

Nie zaprzeczał niczemu, lecz sam wcale o królowej nie mówił, a gdy był zmuszonym wspomnieć, okazywał tylko przesadzone poszanowanie.

— Król, królowa! — powtarzał i kończył na tem.

Dla tego chłodu może i pewnej nieśmiałości gburowatej, którą okazywał na zamku, Jadwiga była dlań jeszcze bardziej ujmującą i uprzejmą. Otrzymał wszystko, czego tylko żądał.

Panowie szanowali go wielce i wyrządzali cześć wielką. Lecz, jak tylko ks. Janusz dopiął celu, grzywny dostał, umowę miał stwierdzoną natychmiast niespokojnie się do Czerska nazad począł wybierać. Dzień odjazdu byłznaczony.

Semko przyszedł do niego wieczorem.

— Jedziesz ze mną? — spytał brat starszy.

— Nic nie zrobiłem jeszcze—odparł Semko—nie mam spieszyć czego?

— Do domu? — zawołał jakby z przestraczem ks. Janusz.—Do Płocka? po wojnie? Powiadasz, że spieszyć nie widzisz potrzeby? Siedziałeś tu tyle czasu na próżno, i nie zyskałeś dotąd nic...

Poruszył ramionami Semko.

— Patrzajże, aby gdy wrócisz, nadto do roboty niebyło...

Królowa piękne oczy ma, ani słowa — dodał,—lecz nie karmią one, a człowiek zapatrzysz się w nie, głupieje.

Nie tłumaczył się Semko, a w istocie nie tylko oczy, ale cała królowa miała dlań wdzięk

taki potężny, iż mu się ztąd oddalić trudno było...

Zwlekał prawie dobrowolnie układy, aby mógł dłużej pozostać, i — może łudził się jakąś próżną nadzieją. Lecz, gdyby nie miał jej nawet, gotów był siedzieć, aby tylko bywać na zamku, słówko dobre pochwycić, i pokarmić się niem. Janusz widział to i rozumiał, miał może litość nad młodością, a nie widząc w tem nic nad słabość nieszkodliwą, milczał.

Skłoniwszy się po raz ostatni do kolan królowej, pożegnawszy miłościwych panów, co najspieszniej kazał do drogi się sposobić, i następnego dnia o brzasku już go w Krakowie nie było...

Młodszy brat miał tę pociechę, że nazajutrz przed nim wielki rozum Jannusza wychwalali wszyscy, oświadczając się dla niego z poszanowaniem.

Straciwszy w Bartoszu pomocnika, Semko sam do układów niezdolny, więcej marzyciel i rycerz, niż zabiegły o dobro swe gospodarz, zasiadywał się w stolicy bezmyślnie, nawykając do tutejszego życia, zabawiając się na zamku, słuchając muzyki i pieśni, a mniej coraz tęskniąc do domu.

V.

Jednego wieczora, gdy po rozejściu się panów, którzy do późna przy królowej dworowali, wróciła Jadwiga do komnat swych, zastała starą Hildę zmieszaną mocno, z zapłakanemi oczyma. Otarła je spiesźnie, lecz ślady łez nadto widoczne pozostały, aby się zaprzeć ich mogła.

Przestraszyła się młoda pani. Wiedziała, że stara ochmistrzyni nad sobą pewnieby nie płakała, stać się więc coś musiało, co ją dotykało.

Ją? królowę? przed którą klękali wszyscy!!

Były same ze służebnemi, Jadwiga natychmiast dziewczętom oddalić się kazała i czekać powołania.

— Hildo moja?—zawołała z czułością zbliżając się do piastunki. — Hildo! płakałaś! Co ci jest? co się stało? Mów.

— A! nie! królowo moja! dziecko moje! Nie! nie płakałam!

I to mówiąc ocierała oczy jeszcze.

— Ale ja wszystko wiedzieć powinnam! Juścić nikt ci nie śmiał uchybić, ani się sprzeciwić!

— A nikt! — żywo odparła Hilda.

— Ale płakałaś?

— Tak! tęskno mi się czegoś zrobiło — zamruczała stara.

Królowa, jak była od dzieciństwa nawykłą, pogłaskała ją po twarzy.

— Mów mi szczerze, co masz na sercu?

Hilda stała, a w sercu jej coś musiało dolegać ciężko, bo pomimo usilności, aby łyzy wstrzymać, zaczęła popłakiwać znowu.

Niepokój królowej wzrastał... Nalegała coraz mocniej. Ochmistrzyni namyślała się długo, nakoniec zaprowadziwszy Jadwigę za zasłony opasujące jej łożo, cicho mówić zaczęła,

— Jak tu nie płakać! jak nie płakać, królowo moja! Oni, ci bezduszni ludzie, chcą cię na pastwę wydać...

— Muie! przerwała Jadwiga — muie!

— Tak! ciebie. Wiem o wszystkim. Spisek od dawna uknuty. Ani chcą słuchać o Wilhelmie, sprzedali cię za wielkie pieniądze pogańskiemu królowi, którego sprowadzą, aby moją śliczną różyczkę zaślubił.

Jadwiga ściągnąwszy brwi przysłuchiwała się.

— Ale ja mam męża — zawołała z oburzeniem — i ja jestem królową. Królowa rozkazuje, a nikogo słuchać nie ma obowiązku.

Hilda zalała rękę.

— Królową! ty, tak! nazywają cię oni i kłaniają się, ale trzymają w niewoli. Mówię ci, spisek uknuli dawno, zapłacił ich złotem ogromnem, przekupił, oddadzą cię gwałtem temu dziwnemu, straszmemu, do zwierzęcia podobnemu królowi pogan; jak niedźwiedź porosłemu włosem...

Jadwiga trzęsła się słuchając, lecz nie ze strachu, z obrzżenia.

Kto ci popłócił te baśnie — przerwała... Ja nie chcę znać nikogo oprócz Wilhelma... Ty wiesz... Nam ślub dano, gdyśmy byli w kolebce...

— Oni i do Rzymu posła pieniądze, aby ślub Papież rozwiązał—poczęła Hilda.—Osnuli oddawna wszystko... Ja wiem o tem najpewniej...

— Od kogo? — przerwała Jadwiga.

Hilda cichy już głos zniżyła jeszcze, przybrała fizyognomię przestraszoną.

— Na Boga, nie trzeba go zdradzać—rzekła.— Jeden tu tylko jest człowiek co ci sprzyja, który wie o wszystkim i ostrzegł mnie.

Królowa powtórzyła — Kto? kto?

— Podkomorzy twój, Gniewosz—szepnęła stara,

Jeżeli chcesz, on ci to sam powtórzy i poprzy-
siąże.

Przypomniła sobie Jadwiga człowieka, który
ze szczególną troskliwością i nadszkakiwaniem jej
posługiwał... Hilda tymczasem płakała, oczy tarła
i rozpaczała. Zwolna i na mężnej a niedowierza-
jącej królowej zaczynało to robić wrażenie.

Zapytała o tego króla pogan, ktoby był. Hilda
wymieniła jej Jagiełłę, a królowę uderzyło to, że
nieraz już Jaśko z Tęczyna i inni w rozmowach
z nią, napomykali to imię, oddając litewskiemu
księciu pochwały wielkie.

Zachmurzyła się. — Słuchaj Hildo rzekła — ja
z tym podkomorzym sama mówić muszę. Nie wie-
rzę spiskowi, Jaśko z Tęczyna kocha mnie jak
ojciec, biskup Jan wiedziałby o tem i ostrzegłby
mnie, on wie, że ja ślubowałam Wilhelmowi.

To mówiąc królowa przypomniła sobie nie-
dawną z Radlicą rozmowę i zachmurzyła się
więcej jeszcze.

Niepokój wkraadał się do serca.

Hilda przesadzała może w troskliwości swej,
lecz w tych mrokach i tajemnicach coś się ukry-
wać musiało.

— Jestem królową — dla uspokojenia siebie,
powtórzyła w duchu Jadwiga.

Chciała coś więcej dobyć ze swej starej
piastunki. To co ona mówiła, wyglądało na

jakaś baśń i zmyślenie, tak brzmiało dziko i strasznie.

Król ten pogan miał być panem ziem bardzo rozległych, zamieszkanych przez dzikich ludzi, którzy krew jeńców wojennych pić byli zwykli a niemowlęta pożerać... Cała ta ziemia zamarzła, lodowata, śniegami okryta, lasami zarosła, była w ręku pogan, którzy nienawidzili chrześcian i imienia Chrystusa... Jagiello miał być zabójcą własnego stryja i kilku braci, — pełnym złości, mściwym i okrutnym... Opowiadano o nim, że mało się różnił się od niedźwiedzi i ryczał jak one... Chodził okryty skórami świeżo ze zwierząt przez się zabitych zdartemi... jadł mięso surowe...

Lecz, że miał skarby ogromne, potrafił niemi przekupić panów polskich, którzy mu postanowi i sprzedać piękną swą królowę.

Hilda dodawała, że poganin miał tych żon, niewolnic i nałożnic bardzo wiele... W tem opowiadaniu nadto czuć było baśń, jakby na przestraszenie dziccięcia utworzoną, by Jadwigi sama przesada jej, nie uspokoiła nieco.

Zadumana, utuliwszy ochmistrzynię, królowa nazajutrz powołać do siebie kazała Gniewosza, który już był do tego przygotowany.

Nim jednak na osobności przy Hildzie rozmówić się z nim mogła... nadeszli panowie Rady, przybył biskup Radlica; a spojrzawszy na ich

spokojne oblicza, w poczeiwe twarze królowa niemal się zawstydzila swojej łatwowierności.

Uderzyło ją tylko, że właśnie dnia tego zeszli się w liczbie znaczniejszej, z uroczystością jakąś i jakby ważną sprawę przelożyć jej mieli.

Miedzy panami, znajdował się i areybiskup Bodzanta, który teraz posłusznym im był i spełniał co mu wskazano. Oprócz tego poznański biskup Dobrogost z Nowego Dworu, mąż poważny, rozuinny, a młodej królowej wielce miły, także się tu znajdował.

Zobaczywszy tak poważne grono, bo do krakowskich, dołączyli się i inni wojewodowie i kasztelanowie. Krzesław z Kurozwęk, Jan z Tarnowa, Wincenty z Kępy, królowa choć uspokojona w pierwszej chwili, domyślała się, że nie z samą czołobitnością przychodzili.

Bodzanta, który pierwsze miejsce zajmował, a głos miał miękki i łagodny, zagaił naprzód temi, jak wszyscy pragnęli panią swa widzieć szczęśliwą, wielką, otoczoną sławą... i w gronie monarchów świecącą jako gwiazdę.

Rumieniła się słuchając go, a oczekując końca; gdy Bodzanta po długiej mowio, nie odważył się na żadne słowo jaśniejsze, coby wytłumaczyło myśl jego i Rady.

Wówczas siwą gładząc brodę, odezwał się po nim Jaśko z Tęczyna...

— Bóg miłościwy, który nam dał klejnot drogi, nie dla nas samych go przeznaczył, ale większe i potężniejsze zgotował mu losy...

Królowo nasza, przychodzimy ci zwiastować, że potężny monarcha, władający ogromnym krajem sąsiednim, dotąd w błędach pogańskich pogrążony, z całym ludem swym ofiaruje się przyjąć religię chrześcijańską, byleś mu oddała rękę swoją.

Mówiąc to, patrzył na Jadwigę, która zaczęła blednąć, zbieła trupio, lecz w tejże chwili krew powróciła na twarz jej, oczy nabrały blasku, i prostując się, obróciła ze zdumieniem tylko do kasztelana.

— Ja mam męża — rzekła głosem silnym, w którym drgało uczucie, jestem z nim połączoną i nigdy innego mieć nie chcę ani będę.

Zgromadzenie całe milczało. Słowa królowej były tak stanowcze, wyrzeczone z taką siłą, że nikt w początku nie ważył się podnieść głosu...

Spozierali jeszcze pomieszani po sobie, gdy Dobrogost z Nowego Dworu, biskup poznański, począł lagodnie.

— Miłościwa pani. Ślub ten, gdy powołana zostałaś na tron polski, został przez królowę Elżbietę uroczyście unieważniony...

— Ale ja go zachowałam w sercu, — odparła poważnie Jadwiga. — Nikt mnie z przysięgi roz-

wiązać nie może... Nie znam i znać nie chcę — powtórzyła — innego męża nad niego...

Bodzanta odważył się przemówić, głos swój czyniąc jak najserdeczniejszym.

— Królowo a pani nasza, idzie tu o wyrwanie szatanowi dusz krociów, o nawrócenie pogan tysięcy tysięcy... Nie ma ślubu, od którego Rzym nie uwolnił, gdy tem nawrócenie całego narodu okupić można...

Królowa spuściła oczy; milczała chwilę.

— Żadna siła do wiarołomstwa mnie zmusić nie może — rzekła.

Panowie otaczający znowu czas jakiś milczeli, aż Jaśko z Tęczyna zaczął zwolna.

— Rzecz to zbyt wielka i ważna, aby ją w jednej chwili rozstrzygać i jednym słowem odpychać. Miłość wasza masz czas do namysłu, a pobożne jej serce skłoni ją pewnie do spełnienia wielkiego dzieła...

Będzieli nawrócenie pogan kosztować nawet ofiarę wielką, nigdy nadto opłacić niemożna, co się Chrystusowi i Kościołowi przynosi.

Jadwidze dwa strumienia łez pociekły po policzkach, na przemiany błędących i rozplamionych. Jaśko ulitowawszy się mówić przestał, a Jadwiga wnet podniosła oczy i całe swe odzyskała mężstwo.

— Zrzeknę się raczej korony i królestwa niż-

bym wiarę ślubowaną złamać miała — dodała głosem drżącym.

Być może — począł zciecha biskup Dobrogost — iż miłości waszej, ludzie złej woli a nie-świadomi będą odstraszaające prawie dziwy o tym królu pogan. Lecz ja, com był na Litwie, i na oczy go swe oglądał, poświadczyć mogę, iż matkę mając chrześciankę, przygotowany jest do przyjęcia chrztu, a pan zresztą natury łagodnej, dobry i uprzejmy; ani tak dziki, ni tak okrutny, jakby poganin być mógł, gdyby od kolebki i z mlekiem wiary świętej nie zakosztował.

Z oczyma na rąbek sukni spuszczonemi, obojętnie słuchała królowa. Mało ją to obchodzić się zdało.

Bodzanta znowu przemówił.

— Błogosławieństwo to boskie osobliwe nad wami, miłościwa pani, iż wam na progu tronu daje zaraz palmę zwyciężką, apostolską zastęgę... Wieki i narody będą czeić pamięć waszą...

— Ojcie mój — przerwała królowa — nie czuję się godną wielkości tej, a w sumieniu mem tylko chcę być czystą...

— Miłość wasza — wtrącił Wincenty z Kepy wojewoda poznański — nie będziesz uczem związana, jeśli przyjmiesz poselstwo Jagiełły, które on tu wyprawić zamyśla. My odepchnąć go nie możemy, pożądaný jako sprzymierzeniec, groźnymby był dla nas jako wróg...

Oczyrna przełękłemi powiodła królowa po przytomnych, dowiadując się o poselstwie i nie rzekła nic. W tem marszałek Mikołaj z Brzezia, dodał.

— Posłów się od nikogo w świecie nie odmawia. Wolno ofiarę przyjąć lub nie, warunki ważyć, lecz pogardzić sąsiada dobrą wolą i wyciągniętą dłonią, nie godzi się.

Wszyscy potwierdzili to...

— Jakto? więc wysłał już posły? — odezwiała się królowa zdumiona.

— Nie, ale nam o nich oznajmiono — rzekł Jaśko z Tęczyna...

Niepokój, który owładnął królowę, lzy dobywające się z pod powiek, poruszenie dowodzące ciężkiej męczarni, skróciły posłuchanie.

Jaśko z Tęczyna przybliżył się, schylając do kolan jej.

— Niech się miłość wasza uspokoi, niech obawę wszelką odeгна. Życzemy szczęścia jej, nie zadamy gwałtu. Sama miłość wasza, przy pomocy Bożej ujrzysz i przekonasz się, iż w jej rękach zbawienie dusz tysięcy... Nie dasz im ginąć! nie odepehniesz prośb i błagania naszego.

Z kolei wszyscy szli żegnać ztrętwiąłą z bólu i przerażenia królowę, niemą, zbladłą, osłabłą.

Biskupi zbliżyli się także z błogosławieństwem i słowami pociechy.. Radlica przystąpił ostatni.

— Ojczy mój, na rany Boże — szepnęła do niego — nie opuszczaj mnie, zatrzymaj się...

Mały biskup dał znak swym towarzyszą, iż przy królowej musi pozostać... Po wyjściu rady, rzuciły się ły obficie, łąk poczęła i sparszy się o poręcz tronu, długo przemówić nie mogła. Chustynka, którą trzymała w rękę, całą była zwilżoną.

Nagle oderwała ją od zapłakanych oczu, po wstała z wyrazem siły i nieugiętego męstwa, i schodząc z tronu zbliżyła się do biskupa...

— Nie! — rzekła, — nie zmusi mnie nic! To okrucieństwo, to niesprawiedliwość, to się stać nie może...

Słyszałam w dzieciństwie historię o smoku pod Wawelem, któremu dziewicę na pastwę dawano. Wzięliście mnie od matki, od rodziny, od męża, aby w paszczę rzucić smokowi?

Biedny mały biskup żegnał ją krzyżem świętym, po cichu się modląc na intencję uspokojenia.

— Królowo moja, dziecko moje... Spokoju! cierpliwości! męstwa! nie stało się nic, Bóg łaskaw...

— Więc na toście mi dali berło w dłoń abyście wy mi rokazywali? — wołała zburzona coraz bardziej pani. Matka moja zaręczyła mi, że ślub z Wilhelmem zawarty się utrzyma... Ja nie chcę znać tego króla pogan, tych pogan wszyst-

kich!! Ja jestem nieszczęśliwa, wy mnie zgubić postanowiliście.

Wybuchnęła płaczem, ale łzy znown gniew osuszył.

— Nie! Jam królowa! Rozkazywać sobie nie dam... Możecie mnie dręczyć, nie potraficie złać.

Nóżką tupnęła o podłogę... Biskup stał z zalamanemi rękami, szepejąc.

— Dziecię moje, uspokój się!

— Tyś pasterzem moim — przerwała Jadwiga — byłeś przyjacielem ojca, ty litość mieć będziesz nademną, nie dopuścisz, by mnie męczyli.

A! i Jaśko z Tęczyna, ten któregom jak ojca szanowała, w którego serce wierzyłam. I on! i wszyscy!! wszyscy!

Biskup wyrzekającą jak mógł uspokoić się starał. Sama ona, dla swej godności królewskiej, nie chciała zbytniej okazywać obawy, otarła łzy, odzyskiwała powoli mężstwo.

Radlica mruczał po cichu.

— Wszystko się jeszcze zmienić może. Poselstwo nie znaczy nic... Panowie rady więcej wazą korzyści kraju i chrześcijaństwa niż szczęście twe, lecz...oni nie są winni złej woli... radziby wszystko pogodzić...

Czas boleść złagodzi, zatrze wspomnienia.

Królowa spojrzała na Radlicę z wyrzutem.

— Więc i ty? — Biskup natychmiast zamilkł... Szepnął ażeby szła spocząć i z troskliwością lekarza, poprowadził chwiejącą się ku jej komnatom. Tu na nie czekały panny jej, które odprawiła skinieniem...

Pobiegła szukając Hildy.

Oczy miała już suche, a wargi spieczone. Ujrzawszy ochmistrzynię, rzuciła się jej na szyję.

— Mówiłaś prawdę! Ten co mnie ostrzegał, był najpoczejwszym i najlitościwszym z ludzi... Tak jest! Spisek ukunto. Śmieli mi go dziś publicznie zwiastować.

To mówiąc, porwała się nagle i z niezmierną siłą woli, poczęła mówić do Hildy.

— Dziś, tak, dziś jeszcze chcę mówić z pod komorzym. Spisek na mnie potrafią zniweczyć... Jestem sama, alem królową! Nie zmuszą mnie nie zlamiać.

Widząc ją tak poruszoną, Hilda sama uspokajając czuła się z obowiązku. Przyrzekła sprowadzić podkomorzego.

Zaręczała za niego, iż gotów jest się dla królowej swej poświęcić, a od niego wiedziała, że znajdzie też inych, którzy sprawę Wilhelma przeciwko panom krakowskim popierać będą.

Nowem mężstwem natchnęło to królowę, która oczy obmywszy, aby ślady łez zatrzeć, siadła zadumana.

Tegoż wieczora, sprowadzony przez Hildę, wpadł do komnaty królowej Gniewosz, który począł od tego, że na klęczkach poprzysiągł jej wierność.

— Wierz mi — odparła Jadwiga — że ja i mąż mój potrafimy ją nagrodzić.

Wprzód nim Gniewosza się doczekała, Jadwiga plan już miała osnuty...

Nimby posłowie przybyli, i otrzymali odpowiedź, Wilhelm mógł przyjechać do Krakowa. Zabronić mu tego nie ważyliby się panowie. Raz dostawszy się na zamek, przyjęty w nim jako mąż królowej, odpędzonym być już nie mógł. Polska go przyjąć musiała za króla swego.

— Jedź — rzekła do Gniewosza — sam jedź, poszlij kogo chcesz, dam listy, niech Wilhelm przybywa jawnie... Jestem królową i być nią potrafię, nie dam się jak niewolnica zakuć w ich kajdany.

Podkomorzy ofiarował się pod pozorem choroby zniknąć na czas z Krakowa, sam dobiedz do Wiednia, a nie powracać, pókiby Wilhelma nie skłonił do przybycia.

Z gorącością nadzwyczajną przyrzekał służyć, ponawiając przysięgi.

Nie wzbudził może upadlającą służbistością swą, zaufania wielkiego, lecz nie miała nikogo, komuby powierzyć mogła sprawę swoją.

Jeden on mógł ją ocalić.

Ze łzami w oczach zaklinać go poczęła, Gniewosz na klęczkach ponawiał uroczyste zaręczenia...

Tegoż dnia przez Hildę wysłała Jadwiga list tajemnie przygotowany przez jednego z pisarzy dla ochmistrzyni, w wyrazach ogólnych, który pochwycony nawet, zdradziłby jej nie mógł.

Dziwnem się to wydać może, lecz było rzeczywistym, iż pieniędzy na podróż dla Gniewosza królowa nie miała. Opatrywano wszystkie jej potrzeby, dawano nawet na rozkaz jałmużnę, podskarbi wypłacał co mu zlecono, lecz królowa sama skarbonki żadnej nie posiadała. Musiała więc ze swych posażnych klejnotów wziąć kosztowny naszyjnik, który Gniewosz potajemnie u żydów zastawić miał i pieniędzmi temi podróż opędzić.

Nigdy w życiu podkomorzy nie był szczęśliwszym, jak dnia tego, wychodząc z zamku i schodząc na miasto do przyjaznego sobie mieszczanina i kupca bogatego, który miał nieopodal od zamku kamienicę. Zwał on się Franczek Morzstein, a mimo niemieckiego nazwiska, był już na pół Polakiem, bo rodzina jego od wieku przeszło osiadłą była w Krakowie.

Gniewosz, wiecznie grosza żądny, choć na pana chciał wyglądać, u Franczka często znajdował ratunek, a miał w nim zaufanie wielkie.

Sam on, bez niczyjej pomocy nie mógł tego dokazać o co się kusił.

Był zaś pewien, że Franczek i tajemnicy dochowa i wielce mu nżytecznym być może. Może też w niemieckiego pochodzenia mieszczaninie do rozumiewał się sympatyj dla rakuzkiego księcia.

Zmuszonym był nakoniec z nim się i tajemnicą i pracą podzielić.

Franczek Morsztein należał do najmajętniejszych kupców i mieszczan stolicy. Miał on tu znaczenie, stosunki i powagę, jaką daje bogactwo.

Powszechnie miano go za jednego z najzamożniejszych, a teraz gdy Wierzyńków nie stało, Morsztein prawie tyleż co oni wprzódty zna-
czył w stolicy.

Franczek był w sile wieku, zdrowo i zażywnie wyglądającym, poważnym mężem, którego wcale niepiękna twarz miała coś w sobie oryginalnego i bystro przenikającego.

Mówić pięknie ani umiał, ani się starał o to, ale odgadywał i rozumiał łatwo, i nikt go nie oszukał nigdy.

Franczek przyjmował u siebie podkomorzego dosyć chętnie i mile, ale w sprawach pieniężnych wiedział, że się z nim mieć potrzeba na baczności. Gdy szło o grosz, stawał się twardym.

Jak wielu zamożniejszych kupców i mieszczan owego czasu, Morsztein dom miał na stopie bardzo stosunkowo okazałej. Iżb dosć w nim

przestronnych, obitych, powyścielanych, poubieranych było bogato. Dawał li uczyty, występował szumnie, ani muzyki, ani trefnisiów, ni dań u stołu, ni napojów nie szczędząc.

W handlu był bardzo ścisłym i obrachowanym, lecz gdy się należało okazać, szczodrym.

Gdy podkomorzy późnym wieczorem pod kamienicę Morszteińską zajechał, spojrział naprzód w znajome okno, czy się w niem świeciło... Ujrawszy światło, zakolatać kazał do bramy. Wpuszczono go zaraz, a pan Franczek, który był zwierzchnią suknią zdjął dla spoczynku, włożył ją na przyjęcie podkomorzego.

Gniewosz z nim przybierał w prawdzie ton protekcyjonalny i poufały, lecz starał się zawsze nił ść własną głaskać, aby człowieka tak potizbnego nie zrażać.

— Franczek, miły panie — zawołał od progu — powinniście mi być dziś radzi.

— Zawszem wam rad — skłaniając się i wskazując ławę rzekł Morsztein.

Podkomorzy obejrzał się do kola.

Piekło go, by co prędzej do rzeczy mógł przystąpić.

— Nikt nas nie podsłucha? — zapytał — tu o gardło chodzi.

— O gardło! — niedowierzająco podchwycił Franczek.

— Nie kłamie, tak jest. Sprawa gardłowa — powtórzył Gniewosz.

Popatrzył mu w oczy mieszczanin, pomyślał i do bocznej komnaty zajrzawszy, powrócił z uspokajającym ruchem ręki.

— Krótko wam powiem z czem do was przychodzę — począł do ucha niemal przystąpiwszy podkomorzy. Królowę naszą chcą panowie zmusić, aby ślubowała litowskiemu księciu Jagielle. Ona tego się obawia... Była dzieckiem połączona z Wilhelmem Rakuzkim... Aby w niwecz obrócić zabiegi panów naszych, posyła mnie do Wiednia. Trzeba tu Wilhelma sprowadzić...

Z namarszczonem czołem i brwiami ściągniętemi słuchał Franczek, chwytając wyraz każdy. Twarz posepną rozjaśniła się i chwyciwszy za rękę podkomorzego, ścisnął ją, potakując głową. Czekał dalszego wyjaśnienia.

— Pierwsza rzecz, pieniędzy mi na podróż potrzeba — odezwał się Gniewosz, razem z za kaftana dobywając naszyjnik. — Oto jest zastaw, który mi królowa dała. Pożyczycie nań pieniądze?

Morsztein wziął na dłoń wspaniałą, wysadzany błyszczącemi kamieniami klejnot, zbliżył się kn ściągnął z nim, i nie potrzebował dużo czasu aby się o jego wartości przekonać.

Kiwnął głową. — Dam! — rzekł.

— To jedno — mówił siadając podkomo-

rzy — ale na tem nie dosyć. Dajcie radę w dodatku... Gdy przyjedzie, co z nim poczniemy?

Franczek krótko się namyślał.

— O to nas głowa boleć nie powinna—rzekł.— Królowa go sprowadza, pomyśli jak przyjąć.

— Postawię go w moim domu, jeżeli od razu na zamek nie wpuszczą, — dodał Gniewosz.

— U mnie też gospodę mieć może — rzekł Morsztein, ręką na drzwi i komnaty dalsze wskazując. — Jedziecie rychło?

— Choćby jutro, odparł Gniewosz. Wyciągnę z Krakowa jakobym do domu nagłądać jechał, a puszcę się do Wiednia... Ufałem w to, że wy mnie i królowej posługi nie odmówicie, w razie więc gdyby co pilnego przypadło, Hilda ochmistrzyni królowej zesze kogo do was, a wy ...

Franczek nie dał mu kończyć, okazując, iż rozumie.

Naszyjnik na rękę zważył, przypatrzył mu się i poczęli się umawiać o potrzebne pieniądze.

Morsztein zamknął klejnot królowej w szafie i jał się liczyć szerokie grosze pragskie, ale zarazem pomrukiwał.

— Sprawa dla was i dla mnie dobrą być może, ale i niebezpieczną... Królowę za sobą mamy, to jedno dobre, lecz...

— Sądzicie, że się nam może nie powiedzie?— rozśmiał się zarozumiały Gniewosz... Królowa,

ksiaże, my, i z nami wszyscy ci co rozum mają, a dzikiego człowieka za pana nie chcą??

Morsztein milczał długo.

— Królowa ma lat czternaście. Ksiaże rakuzki piętnaście, a Jaśko z Tęczyna i pan Mikołaj i inni...

— Spytek Wojewoda mało co starszy—śmiał się Gniewosz — ale co tu wiek znaczy?

Franczek podniósł głowę.

— Młodość jak ogień dobry, pali się gorąco a krótko, starzy jak pierzyny, ciepło dłużej trzymają.

Gniewosz głową pokręcił.

— Niedoczekanie tych przekupionych mądraków, aby nam poganina narzucili... Zobaczycie, my z królową Wilhelma na tron wyprowadzimy, a naówczas!! Gniewosz się uderzył po kalecie i rękę podniósł do góry...

Mniej zdawał się ufać tym nadziejom Morsztein, lecz obawy też nie okazywał. Dumął rachując wszystkie możliwe wypadki przyszłości...

Nazajutrz podkomorzy opowiedziawszy się głośno, że mu do domu pilnem było, znikł z Krakowa.

Na Jadwigę nie nalegano zbyt. Jeden tylko po drugim przychodzili biskupi, wszyscy oprócz neutralnego Radlicy, starając się jej okazać, jak wielkiego dzieła apostolskiego dokonać mogła.

Milcząca, smutna, słuchała królowa, nie sprzeciwiając się im.

Mniej przenikliwy arcybiskup uważał to za dobry znak, sądząc że uległa i dała się przekonać. Dobrogost bystrzejszy niepokoił się milczeniem, które dla niego wcale co innego wyrażało.

Po gwałtownym pierwszym wybuchu, nie mogło nastąpić tak nagle poddanie się. Nie zgadzało się to z charakterem Jadwigi, który już dosyć się energicznym okazał.

Jaśko z Tęczyna, Mikołaj z Brzezia, Jan z Tarnowa, Wincenty Kępa i wszyscy panowie zgodnie, natychmiast po posłuchaniu u królowej, nie wahali się wyprawić do Hawnuła gońca, aby poselstwo przybywało... Spytek z Mielsztyna, którego narzeczona, piękna Elża starała się nawrócić na stronę królowej, mniej był czynny, ale oporu nie stawiał. Jego zdaniem, spieszyć z wydaniem królowej nie było potrzeba.

Nie był on za Wilhelmem, ani przeciw Jagielle — stał na uboczu...

Jaśko z Tęczyna, który, mimo całej czci swej dla królowej i pragnienia szczęścia jej widział w połączeniu z Jagiellą dzieło opatrności, nie odstępował od pierwotnej myśli.

Wszyscy Biskupi, nie wyjmując Radlicy, odprawiali modły na intencję nawrócenia Litwy. Nagłono na małego biskupa, aby on, najbliższym będąc Jadwigi, starał się ją nawrócić, też

i zjednać; lecz biskup krakowski litował się dziewczęciu, odkładał, i nie śmiał naglić, na czas i powolne lieząc oswojenie się z tą myślą.

Dotąd trzymane w tajennicy swaty Jagiellowe, nagle gruchnęły po mieście i kraju... Zdumienie było wielkie; ale nie wszyscy widzieli w tem przyszłą wielkość i siłę. Sarkało wielu.

Już dlatego, że Małopolska wiodła na tron litewskiego księcia, Wielkopolskanie przeciwni mu byli. Znowu więc o Semku napomykać zaczęto...

Bartosz odepchnięty i obrażony, wyjechał z Krakowa gniewny, lecz wprędce zjawił się z powrotem.

Przywoził on nowe nadzieje: pokusy. Zdaniem jego, jak skoro Wilhelm nie był mężem Jadwigi, Piast nim być był powinien. Zaręczał za to, iż Wielkopolska gorąco wystąpi za starym panów swych rodem...

Oprócz tego Wielkopolskanie nie chcieli Jagielly, składając się tem, że cała potęga krzyżacka na Polskę runie, że i Polski i Litwy nieustannie strzedz i bronić przeciwko niej będą musieli.

Semko nie dal mu się ani na chwilę uwieść i rozmarzyć; wstrzymywało go uroczyste słowo dane Hawnulowi, a razem i ten urok, jaki dla niego miała królowa. Narzucać się jej, nadto był dumny; czekał i roił, choć sam, czuł że marzenia spełzną próżne...

Pan z Odolanowa rachował na swój dawny

wpływ, kilka dni nie dawał księciu spokoju, na ostatek, prawie bez pożegnania, Kraków opuścił. Semko mówić z nim już o nadziejach korony nie chciał...

Przedłużony pobyt był tem wytłumaczony, że powolnie prowadzone układy z królową dotąd nie były zawarte. Kanclerz przez biskupa Radlicę wyjednał warunki korzystne, między innymi i spłatę długów zaciągniętych u żydów w Krakowie.

Przez nich Bobrek, który wciskał się wszędzie zawiadomionym był o obrotach Semka, nie rachując już wcale na niego. Słał ztąd doniesienia do Malborge, starając się pozawiazywać stosunki między temi, których przeciw Jagielle spodziewał się poburzyć.

Z duchowienstwem wcale mu się nie powiodło, gdyż całe i zgodnie głosowało za połączeniem z Litwą. Tu się dlań szerokie otwierało pole do apostołstwa, nawracania, a pierwszemi nauczycielami religii nie mógł być kto inny jak Rusini i Polacy. Duchowienstwo tak zakonne jak świeckie z zapalem przygotowywało się do wielkiego dzieła nawracania. Radlica z innymi, pomimo współczucia jakie miał dla królowej, prosił Boga, by połączenie z Jagiellą przyszło do skutku.

Z panów ci tylko, co, jak Gniewosz, upatrywali w tem korzyść własną, lub przez niechęć

dla wyżej położonych, przeszkadzać im byli radzi, dawali się pociągnąć na stronę Wilhelma.

Znaczniejsza część jednak, która wiedziała jak Jagiełło był do rozrzutności szczodrym, po nim się spodziewała więcej i ku niemu się zwracała.

Wielkie korzyści jakie kraj miał osiągnąć, nie przeszkadzały rachować i na osobiste widoki.

Przez Gniewosza Klecha wprowadzony do Hildy, pokorą swą, usłużnością, uwielbieniem udanem dla młodej pani, gotowością do ofiar pozyskał ją sobie. Wprawdzie na dworze do posług królowej było dwóch kleryków, Michno i Jaśko, którzy załatwiali wszelkie pisanie i czytali, gdy było potrzeba; Bobrek pomimo to, umiał się użytecznym uczynić i niezbędnym. Dwaj klerycy nie znali tak Krakowa jak on, nie mieli tej przebiegłości i takiego kunsztu opanowywania umysłów. Znajomość języków zalecała też Bobrka, a za charakter zdawała się ręczyć pobożność, którą się chlubił i popisывał.

Z licznydm dworem męzkim Jadwigi, nawet z muzykantami, faworytem starym lutnistą Handslikiem, flecistami Gromkiem i Aulem, z dworzanami pokojowemi Zbramirem, Dobkiem z Częstowicz, Derśławem, Sasincem podkoniuszym i innymi, Bobrek w kilka dni był na stopie poufałej. Wodził ich po najweselszych piwiarniach i browarach, robił znajomości niewieście zabawiające,

wtajemniczał w to życie stolicy, którego sam był dość mało świadom. Przed nimi uchodził za miejscowego. Od podchmielonych dowiadywał się rzeczy, którychby inaczej nie dostał. Wiedział już o usposobieniu królowej i o mocnem jej postanowieniu opierania się związkowi z Jagiellą. gotując pomagać czynnie księciu Wilhelmowi jak skoro przybędzie. Podróż Gniewosza do Wiednia i powrót jego z Wilhelmem, obrachowane były tak, że książę powinien był poselstwo Jagiellowe nprzedeć. Goniec od Ilawuła prawie równocześnie wyjechał z Gniewoszem...

Książę Wilhelm mógłby był może natychmiast puszczać się w drogę, stanąć w Krakowie, gdzie go Jadwiga z utęsknieniem i niepokojem oczekiwała, lecz na przeszkodzie temu znalazł się charakter młodego pana i chęć wystąpienia z takim przepychem, z taką wytwornością, któreby, w jego przekonaniu, Polaków olśniła, oczarowała, zmusiła do dania mu pierwszeństwa przed dzikim poganinem.

Gdy Gniewosz z Dalewicz zjawił się w Wiedniu z listem królowej, przyjęto go z wielką gorącością i natychmiast zaczęto czynić wielkie przygotowania do podróży.

Lecz nie tak to łatwo było zadość uczynić wymaganiom Wilhelma. Naprzód kazał szyć szaty nowe, umyślnie na to wystąpienie przeznaczone, potem barwę dla całego dworu. A że

liczni domownicy księcia codziennie jednakowo występować nie mogli, że on sam musiał zagasić tam wszystkich, naprzód więc zaczęto krajać, szyć, haftować, bramować, próbować, radzić, dobierać barwy, a sam młody pan w ważnych tych zadaniach rozstrzygał.

Oprócz tego lik i dobór koni był rzeczą ważną, uprzężę, siedzenia, kolebki, rzędy; wszystko co w Wiedniu starczyło, gdzie znano młodego księcia, nie wystarczało dla Krakowa.

Ludzi też należało i najpewniejszych i najsłabszych i najpokazniejszych zszeregować, starszyznę im naznaczyć. Podkomorzy, który pewien był, że się Wilbelm natychmiast puści z nim w drogę, przesiedziawszy tu tydzień, przekonał się, że wyjazd przeciągnąć się musi.

Książę wychodził do niego co rana, utrofiony, woniejący, z pańską, wdzięczną twarzą, której starał się nadać powagę nad wiek, opowiadał mu o niezmiernej pracy, jaką miał z przygotowaniami i starał się mu dowieść, że było najwyższej wagi rzeczą, w Krakowie tak się okazać, by od razu odnieść zwycięstwo.

O sercu Jadwigi Wilbelm wcale nie powątpiewał, wierzył w nie, polegał na niem, lecz szło mu o tryumf nad Radą, nad panami, o zażmienie blaskiem swej osoby... wszystkich królów i książąt świata. O zwycięstwie tem nie wąt-

piło książątko, lecz właśnie dla odniesienia go, Wilhelm musiał postępować bacznie.

Dnie za dniami upływały...

Jednego dnia pomszczenie było nadzwyczajne, z powodu że sukna flamskiego ceglastej barwy dla dworu zabrakło...

Szukano go po całym Wiedniu i nie znaleziono. Wypadek ten doszedł przypisywaną mu ważnością niezmierną do rozmiarów niesłychanych.

Ruch był rozpaczliwy... Książę z nieubłaganą pedanterią młodzieniaszka upartego obstawał przy swej barwie.

Innym razem w obramowaniu sukien rysunek był chybiony. Wilhelm kazał pruć i szyć na nowo

Lecz to co się tyczyło jego własnej osoby, zajmowało go więcej jeszcze.

Na wszelki wypadek książę chciał mieć z sobą co tylko zamaryć się dawało. Namioty, kołobki, uzbrojenia rozmaite, klejnoty tak obfite, by ich podwakroć jednych kłaść nie potrzebował. Przybory myśliwskie, do turniejów, do gonitw, a na-ostatek wszystkie wykwindne do stroju narzędzia, przybory, wonie, w znacznej ilości przysposobione być musiały.

Lekarz nadworny wioził aptekę, bo i choroby i rany trzeba było przewidzieć. Książę brał z sobą nadwornego poetę Suchenwirta, dwóch

przedniejszych trefnisiów Bubę i Hekse, karła, dwóch hajduków olbrzymich i t. p. Muzyka ograniczała się do pary lutnistów tylko.

Dwór taki, który przy wjazdach, wycieczkach, w podróży nawet musiał się okazywać ze wspaniałością godną tak wykwintne gusta mającego pana, cały musiano na nowo obszywać i muskać, wprawić go do pewnego ładu i nadać mu powagę należyłą. W Wiedniu wszystka ta gawiedź mogła sobie pozwalać wiele, nie ciągnęło to żadnych złych skutków, nie uwłaczało panu, lecz za granicą każdy krok być musiał obrachowany.

Zawsze książę Wilhelm tak był pewien, że w ten sposób zmusi panów polskich do schylenia głowy przed sobą, iż wybierał się jakby już w Krakowie miał pozostać. Powoływała go Jadwiga, prawo jego do swej ręki uznawała, cóż znaczył jakiś opór i fantazyja gburowatej szlachty polskiej, o której Wilhelm miał jak najniepoclebniejsze wyobrażenie?

O kraju tym chodziły w ogóle wieści, od czasów jeszcze Kaźmirzowych, na dworze cesarskim i w Wiedniu rozpowszechnione, malujące go na pół barbarzyńskim. Wiedzano, że Kaźmirz wiele uczynił, aby wywieźć go z tego stanu, lecz była to zawsze kraina dzika...

Gniewosz po upływie tygodnia, widząc że końca niema przyborom, zażądał posłuchania,

starał się raz jeszcze nalegać na pośpiech i odebrał odpowiedź dumną, iż książę nie może ruszyć, aż cały dwór jego nie będzie godnym towarzyszenia mu...

Dłuższy pobyt podkomorzemu wydał się niebezpiecznym, prosił więc o listy, i postanowił wyprzedzić Wilhelma, ofiarując gdy do Krakowa przyjedzie dom swój na mieszkanie.

Książę zdumiał się mocno posłyszawszy to i odparł z godnością, że spodziewa się, jak mu przystało, stanąć na zamku gospodą. Musiał podkomorzy wytłumaczyć, że choćby się mogło stać po woli księcia, zawsze o to starać się wypadnie, bo zamek jest pilno strzeżony, a z licznydm dworem nikogo tam kasztelan nie zwykł był puszczać.

Dał do zrozumienia Wilhelm wyrazem twarzy, że co do jego osoby, wyjątek uczyniony być musiał...

Nie wstrzymywał zresztą Gniewosza, bo natarczywość tego posła już go trochę niecierpliwiła.

Odprawiony z podarkiem podkomorzy, trochę rozczarowany puścił się nazad do Krakowa, Książę wprowadził go do siebie, wydał mu się pięknym i nader gładkim, wypieszczonym młodzieniaszkiem, lecz piętnastoletnie chłopię taką przywiązującą wagę do stroju, wdzięcia się, występowania,

nie zdawało mu się stworzonem do walczenia z energicznemi panami radnemi.

Zaledwie z siodła zsiadłszy podkomorzy biegł do Hildy i królowej, malując tu w barwach jak najżywszych uszczęśliwienie księcia, jego niecierpliwość, przywiązanie do Jadwigi, i obiecując rychłe przybycie.

Tym czasem z drugiej strony wieści przyszły zasmucające, że poselstwo Jagielly w drodze już było.

Mogła więc lękać się królowa, że ono uprzędzi przyjazd Wilhelma, i tak się stało w istocie. Dnia jednego nadbiegli gońce oznajmujący, iż uroczyste poselstwo litewskie noclegowało o pół dnia drogi od stolicy...

VI.

Wieści najdziwaczniejsze poprzedziły panów litewskich. Ciekawość do najwyższego stopnia rozbudzoną była w Krakowie. Na zamku przestach panował. Jadwiga chodziła blada i pomięszana, próżno szukając w kimś z otaczających pomocy, obrony jakiejś, otuchy.

Radlica nawet uspokajając ją, nie umiał ucie nad to więcej powiedzieć, że posłów odpychać się nie godziło. Tymczasem panowie rady, nie wyjmując trochę obojętniejszego w tej sprawie Spytka z Mięsztyna, gotowali się na jak najwspanialsze przyjęcie wysłańców Jagiellowych. Wiedzano już, że nimi byli dwaj bracia księcia, Skirgiello i Borys, kilku znaczniejszych Bajorasów, a przewodnikiem ich i duszą poselstwa całego był ów Hawnul, który pierwszy powziął myśl zuchwałą połączenia dwóch krajów...

Jaśko z Tęczyna, Jan z Tarnowa, duchowieństwo, oczekiwali z żywą niecierpliwością Litwinów, lecz razem z niepokojem wielkim. Od tego jak się owi na pół dzicy ludzie wydać mieli i okazać, bardzo wiele zależało.

Wiadomem było wszystkim, że pogańska Litwa, choć nieochrzczona, choć odosobniona, tak już dziką jak przed laty nie była. Przez Ruś wciskało się tam chrześcijaństwo, wojny obeznawały ze światem, obyczajem zachodnim i europejską ogładały. Pomimo to, obawiano się, aby posłowie nie zastraszyli sobą i królowej i dworu jej pieszczonemu...

Goniec, który na noclegu oglądał orszak poselski opowiadał o nim tylko, że był nadzwyczaj wspaniały i liczny, i że sypano pieniędzmi po drodze...

Na spotkanie książąt wyjechał stary Dobiesław z Kurozwęk z synem, ciekawy Spytek, który miał wieczorem ponieść o nich wieści na zamek i wielu innych panów...

Jechał Skirgiełło we zbroi i rycerskiem ubraniu nader wspaniałem, z wielką dumą i butą z twarzą surowego charakteru, z ponurem wejściem, i ten wcale sobie nie mógł pozyskać ludzi powierzchownością. Natomiast Borys, z cudzoziemska bardzo wykwintnie ubrany, oblicza niespokojnego, ożywionego, podobniejszym był

do kogoś z zachodu przybywającego, niż do gościa z Litwy.

Algimunt i Bajorasowie, przyodziani też byli tak, iż nie razili niczem dzikiem... Nie różnili się oni strojem od znanych tu Rusinów, a futra, pokrycia ich, suknie, rzędy na koniach, aż do zbytku były bogate, i wspaniałe. Złoto kapąło z pokryć koni, i świeciło na rzędach...

Służba na wpół z ruska odziana, w części tylko zdradzała czapkami, pasami, krojem koźnych i uzbrojeniem pochodzenie swoje.

Poselstwo wjeżdżające, któremu za tłumacza i pośrednika Hawnul służył, stawilo się nadzwyczaj okazale i świetnie...

Kraków, który się wysypał w nlice dla widzenia go, cały był pod wrażeniem jakiejś potęgi, której piętno mieli na sobie ci ludzie. Uderziło wszystkich umyślnie na jaw wydobyte bogactwo, zbytek, nieco jaskrawy, trochę dziwaczny, lecz niewątpliwy... Wschodnie jedwabie, szkarłaty, kobierce, szyte opony ciężkie, wspaniałe i kosztowne futra sobole, kunie, rysie, gronostajowe, króla godne były...

Wiecej dzikości a mniej okazałości spodziewano się po nich. Zdumiał też panów Borys swą europejską oglądą i Hawnul niemiec, oswojeniem z obyczajami zachodniemi.

Jeden Skirgiello wśród nich najmniej mógł pociągać ku sobie.

Dobiesław z Kurozwęk zawczasu przysposobił dla poselstwa gospodę, dał przystawów do posługi, i wszystko cokolwiek do życia potrzebować mogli panowie, dwór, czeladzie i konie. Było odwiecznym zwyczajem, który się ntrzymywał długo a trwa do dziś dnia na wschodzie, iż posłów od granicy podejmowano kosztem tego, do którego przybywali. Oprócz tego dawano podarki, przyoblekano w szaty kosztowne przy posłuchaniu... Na dworze polskim za synów Jagielly wschodni ten obyczaj utrzymywał się jeszcze.

W gospodzie znaleźli książęta już stoły zastawione i wszelkie wygody, jakich tylko mogli potrzebować... Szlachta ruska, której z nimi łatwo się było zrozumieć, pełniła obowiązki przystawów, lecz oprócz niej, ciekawość gromadziła tu tłumy...

Trochę ona zawiedziona tem została, że posłowie nie zbyt obco i dziwnie wyglądali...

Spytek z Mielsztyna wiedząc z jakim tam niepokojem królowa czekać będzie na wiadomość, pospieszył wprost na zamek...

Piękna Elża Emrykowna przykazała mu, aby się stawił przed wszystkiemi. Być może, iż go tu kto wyprzedził do przedsieni i na podwórce, ale nie do komnat królowej.

Jadwiga z różańcem poświęcanym w rączkach, drżąca, blada siedziała na swem krześle złoci-

stem, otoczona pannami i matronami, niema, przysłuchując się każdemu szmerowi jaki ją dochodził zdala... Dziewczęta szeptały cicho, nie śmiejąc przerwać modlitwy i marzenia.

Było to więcej marzenie niż modlitwa. Usta rozpoczynały ją czasem, lecz myśl natrętna zamykała je... Zadumana patrzyła nie widząc. Myślała o młodości swej i Wilhelmie, który nie przybywał.

Wśród tej ciszy oczekiwania, Spytek wszedł i na widok jego królowa zbladła bardziej jeszcze, usta jej zadrżały, pytać go nie śmiały.

Elża Emrykowna dała znak, aby się zbliżył. Pytano go oczyma gorejącemi od ciekawości, tylko w wejrzeniu królowej więcej było niepokoju, niż żądzы dowiedzenia się czegoś.

— Posłowie przybyli — rzekł powolnie Spytek. — Poselstwo podobne do zwykłych, i tem się chyba różni od innych, że niezmiernie bogato i wspaniale występuje...

Bracia Jagiełły, chrześcianie oba Skirgiełło, niepiękny i niemily, Borys, człek bywały i gładki. Prowadzi ich Hawnul, Niemiec, który tu już pono bywał, a ten niema nic w sobie dzikiego, jak w ogóle posłowie na pogan nie wyglądają i nie są podobno też nimi...

Królowa ze spuszczonemi słuchając oczyma, nie rzuciła żadnego zapytania, bo niepokoju swego głosem, ni słowem nie chciała okazać. Za

to Elża i matka jej, starsze panie z orszaku poczęły badać Spytka. Chciały wiedzieć, jak wyglądał orszak, jak mówili ludzie, jakie nosili szaty i t. p.

Spytek opowiadał jeszcze, gdy marszałek Mikołaj z Brzezia wszedł dla oznajmienia Jadwidze, że nazajutrz uroczyste posłuchanie posłom dać chciano, i czyby nie przeciwko temu nie miała.

Z energią i niecierpliwością królowa podniosła głowę.

— Jutro? kiedy chcecie. Jak najprędzej, potrzeba je przyjąć i odprawić... Jak najprędzej...

Z drżącego głosu mógł marszałek wnioskować, iż raczej pozbyć się natrętnych posłów, niż przyjmować ich chciała...

— Gdybyś w. miłość — odezwał się Mikołaj z Brzezia, widząc poruszenie królowej — nakazała odłożyć dzień, dwa, zastosujemy się do jej woli.

— Alboż ja mam wolę jeszcze? — odparła dumnie, z urazą królowa. — Poselstwo to... jest mi niemiłym, to wiecie. Nie żądałam go. Ja nań inaczej jak odrzuceniem próśby Jagiełły, odpowiedzieć nie mogę. Wy, czyńcie, co chcecie...

Marszałek z przykrością wysłuchał wymówek, skłonił głowę.

— Jutro więc...

— Jutro, dziś, rządzącie sami, stanowią

sami — zawołała Jadwiga, i dała znak pożegnania.

Wysunął się marszałek, Elża objęła królowę, przykląkłszy przed nią, i cichemi pocieszała słowy.... Spytek za marszałkiem pospieszył.

Nazajutrz czyniono od rana przygotowania na zamku w wielkiej sali, w której tron stał pod baldachymem... Zawieszano ściany oponami, wyściełano podłogi, przyozdabiano królowej siedzenie... Ona sama, choć we łzach cała, opierając się i ręce łamiąc, musiała się poddać przystrojeniu królewskiemu, wdziać tę ciężką koronę i tę płaszcz, co jej uginał ramiona.

Zbliżała się chwila, gdy posłowie przybywać mieli, a na sali już część panów i dworu się znajdowała, gdy Jadwiga dotąd pomięczana i płacząca, odzyskała odwagę i majestat królowej. Mówiła sobie w duchu: niech czynią co chcą żadna siła mnie nie zmusi... Obcy łez nie będą widzieli. Oczy jej oschły, czoło się wypogodziło, bladeść tylko na licu została... Cudownie piękna, bo i boleść przyczyniała się do nadania tragicznego blasku jej twarzyczce, wyszła w orszaku swych pań, dworzan, dziewic, postrojonych najwspanialej do wielkiej sali i zasiadła na tronie. Obok niej pierwsze siedzenie zajmował arcybiskup, biskupi, Dobiesław jako pan krakowski, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy dworu...

Każdy z nich wysadzał się dnia tego na strój, który powagę podnosił, a o bogactwach Polski mógł dać wyobrażenie Litwinom.

Trąby i fletnie dały znać o przybywających. Jadwiga długo podnieść na nich oczów nie śmiała...

Szli i oni w szatach okazałych, Świdrygieł w złotogłowie i gronostajach, Borys w zbroi złoconej i szmelcowanej, z łańcuchami ciężkimi na szyjach...

Za nimi dwunastu służby w jednćj barwie, niosło skrzynie i pudła, misy srebrne, naczynia złote...

Były to dary Jagielly. Skarb polski za Kaźmirza był jednym z najmożniejszych na północy, lecz ci co go oglądali, zdziwić się mogli kosztownym darom litewskiego pana.

Naczyń tych i klejnotów robota wytworna, nie była podobną do tej, jaką złotnicy francuzcy i niemieccy wykonywali. Złoto okrywały szmelce kolorowe, jaskrawe, dziergane jak koronki na tle jasnym, kształty naczyń były dziwaczne, lecz kamienie ogromne, oprawy ciężkie nadawały im charakter jakiś osobliwy, a po swojemu piękny. Dary te, które u stóp tronu składano choć królowa okiem na nie rzucić nawet niechęć z dumiały ilością swą i ceną.

Za to złoto, szafowane hojnie, kupić ją

chciano! myślała słuchając brzęku naczyń składowanych na kobiercu...

Skirgiello jako główny posel, przemówił po rusku...

Język ten i Jadwidze i wszystkim był zrozumiały, gdyż słowiańskie mowy, bliższe kolebki, podobniejszemi były do siebie.

W mowie swej od Jagielly ofiarował królowej w zamian za rękę nawrócenie swoje i kraju całego, o które Krzyżacy tak się starali; uwolnienie jeńców, przyłączenie do Polski swych krajów wszystkich, odzyskanie Pomorza, Dobrzynia i Chełmna: krajów od Korony oderwanych...

Naostatek, ponieważ małżeństwo z Wilhelmem pod zakładem dwóch kroć sto tysięcy było przyrzeczonym, i tą porękę Jagiello zapłacić się ofiarował.

Zaprawdę, słuchając tych obietnic, mogła królowa zblednąć i zadrzeć, tak one były ponętne dla Polski, a tak musiały wszystkie serca skłonić ku Jagiellie, oprócz biednego jej serca...

Jak szmeru niemiłego słuchała Jadwiga tej mowy, postanowiwszy ani odpowiedzieć, ani dać znaku żadnego przyzwolenia na nie. Zamknęła się w niezłomnem, pogardliwym milczeniu.

Cóż ją obchodzić miało, co się tu działo? Dała więc odpowiadać za siebie panom, którzy podziękowawszy posłom, prosili w imię królowej o czas do namysłu.

Skirgiello i Borys łatwo mogli zmiarkować, jakie były uczucia Jadwigi.

Lecz widzieli w niej, wedle swojego obyczaju, naprzód, słabą niewładnącą sobą niewiastę, dziewczę niedorośle, i dziecię, którem rozporządzała matka...

Dano im do zrozumienia, że obrzęd krakowski był tylko ceremonią, a wszystko roztrzygnąć się miało na Węgrzech.

Po kilku przemówieniach, których królowa czekała niecierpliwie końca, posłowie nisko się pokłoniwszy opuścili salę, a Jadwiga natychmiast porwała się z tronu męczeńskiego i wyszła ze swym dworem, płacz tłumiąc w sobie i gniew.

Podskarbi Dymitr biegł za nią, pytając co z дарami uczynić rozkaże.

Odwróciła się surowo patrząc nań.

— Do skarbea je weźcie sobie, ani wiedzieć ni tknąć ich nie chcę, do skarbea!!

Dnia tego Dobiesław z Kurozwęk i Mikołaj z Brzezia, wielką uczcią przyjmowali poselstwo na zamku, ale Jadwiga wyjść ani na chwilę nie chciała. Musiano poszanować jej wolę.

Biskup Radlica, niespokojny zaczął panów upominać o to, iż królowę drażniąc o chorobę ciężką przyprowadzić mogą. Codzień widział wzrastający niepokój. Hilda mówiła z płaczem o nocach bezsennych.

Biskup chciał przepisać leki, lecz królowa przyjęcia ich odmówiła.

Wszystko to grożącym być zaczynało. Dni parę upłynęło spokojniej i mogło się zdawać Jadwidze, że opór jej powstrzyma może panów, litość w nich obudzi...

Litowali się wszyscy, lecz nikt nie myślał, rzec się myśli, która o przyszłej wielkości i potędze miała stanowić. Najbardziej oddani młodej królowej, jak Spytek z Mielsztyna, uznawali się zwyciężonymi ofiarą, jaką im przynoszono, a odrzucić jej nie było podobna.

Napróżno piękna Elża, narzeczona Spytki starała się go nawrócić — znajdowała go zamkniętym, milczącym lecz niewruzzonym... Składał winę na drugich.

Obrady u Dobiesława z Kurozwęk, u Jaśka z Tęczyna trwały już dni kilka. Królowa o skutku ich nie wiedziała. Dopiero gdy postanowienie powzięto, przyszli z niem panowie rady do młodej pani.

Nie ulegali jej, lecz starali się przynajmniej osłodzić to, co byli zmuszeni zwiastować. Najłagodniejszy Jaśko z Tęczyna i arcybiskup oświadczyli Jadwidze, że nie sami nie chcąc wyrzekać, poselstwo odprawiają do królowej matki.

Jadwiga usłyszawszy to, ochłonęła z obawy podniosła oczy. Zdało się jej to wybawieniem, nie wątpiła, że kochająca ją matka, sprzyjająca

dotąd Wilhelmowi, ona, co jej samej zapewnienie dała, iż poślubić go musi, posłów odprawi odprawą...

— Matka moja wie najlepiej, że mnie wiąże przysięga—rzekła — niech z jej ust to posłyszają.

Śmielej spojrzała i odetchnęła.

Jaśko z Tęczyna dodał, że i dla przewodu, i dla porozumienia z królową, oni także posłów swych wyprawia z nimi.

— Kogo?—zapytała królowa niespokojnie...

Arcybiskup wymienił, podczaszego Włodka z Ogrodzieńca, Mikołaja Bogorję i Krystyna z Ostrowa.

Z tych pierwszy tylko bliżej był królowej znanym i pomyślała natychmiast, że widzieć go musi... Ona też chciała mieć od siebie posła, ale kogóż wybrać miała?

Nazajutrz podczaszy Włodko przybył z rana, posłano po niego. Zastał królowę mężną i spokojną. Podeszła ku niemu sama.

— Jedziecie z posłami? — spytała. — Tak? chcecież być moim zarazem do matki?

Włodko oświadczał się z gotowością. Niebardzo mu ufała pani, bo miała czas się dowiedzieć, że szedł jednomyślnie z innemi, lecz był to mąż szlachetny; obowiązek sumienia nakazywał mu poselstwo sprawić w myśl królowej.

— Nie wiem jak trzymacie o tem wszystkim co się tu dzieje — rzekła z powagą nad wiek

swój — ani chcę wiedzieć co w sercu macie. Żądam słowa od was, że matce mej powiecie, co jej pošlę przez was?

— Miłościwa pani — odparł podczaszy — to obowiązek...

Jadwiga patrzyła w ziemię.

— Powiedźcie matce mej, iż przypominam jej słowo mi dane, zaręczenie, iż od męża mojego nie będę rozdzieloną... Powiedźcie, że chcę i do trzymam przysięgi, a żadna moc postanowienia tego nie złamie.

Podczaszy milczał, pochylał się z pokorą, szepotał coś, zmieszany był.

Jadwiga wzrokiem go zmierzyła.

— Mam słowo wasze...

— Dotrzymam go...

Nazajutrz posłowie odjeżdżać mieli. Sama pozostawszy, Jadwiga stawiała się dziecięciem. Szła skarżyć się Hildzie i płakać...

Zmuszona być królową, czuła w sobie mężstwo, lecz siły nie wystarczały...

— Oni ślą do matki! ja nie mam posłać kogo! Włódko powie com polecila, lecz bronić mnie nie będzie, nie poprze!!

Załamywała ręce. Myślała o Gniewoszu, ten oczekując [niemal codzień Wilhelma, oddalić się nie mógł — nie było wysłać kogo. Naówczas Hildzie na myśl przypadł przybłąkany do dworu klecha...

Nie wspomniała jednak o nim, póki nie wy-
badała. Bobrek kręcił się zawsze blisko, aby się
łatwo dać znaleźć. Na pierwszy szept Hildy, z ra-
dością wielką, podjął się tajemnego poselstwa.
Jego rzeczą było, jak powiadał, ucześcić się ja-
dących, wprosić do jakiegoś orszaku. Miał już
na myśli Hawnula.

Zbiegł z tem co żywiej na miasto. Kłamstwo
nigdy go nie kosztowało, a pokorę mistrzowsko
odgrywać umiał. Lecz niełatwo było przystęp
uzyskać do człowieka, który tu teraz był wszyst-
kiem.

Skirgiełło i Borys byli Jagiełły posłami ja-
wnymi, tajemnym i głównym Hawnul. On się
umawiał z panami, on wszystko prowadził.

Kraj jego szaty całując i okazując nadzw-
yczajną radość z widzenia tego, którego dobro-
czyńcą swym nazywał, schwycił w sieni na
przesmyku Hawnula Bobrek...

Starosta przypominał go sobie, lecz zimno go
przyjął...

— Panie, mam was prosić o łaskę wielką! —
zawołał.

— Mów a żywo, bo czasu do stracenia nie
mam — odrzekł Hawnul.

Naówczas szybko, zręcznie splótł Bobrek bajkę,
jako na dworze starej królowej miał brata, który
tam chorzał, a on z obowiązku chrześcijańskiego
odwiedzić go pragnął.

Stręczył się za sługę bodaj, za pacholka w podróży.

Hawnul zaledwie chwilę pomyślawszy przystał na to, aby się Klecha do jego orszaku przyłączył, a Bobrek do kolan mu się pochylił, oczy w niebo podniósł. Strzelisty akt uczynił do Boga... życzył mu nagrody za miłosierdzie od Pana w niebiosach...

I gdy posłowie litewscy wyjeżdżali z Krakowa, prowadzeni przez Polaków, kierując się ku Nowemu Sączowi, Bobrek pokornutki szłapał z nimi na koniku patrząc tylko, czy po drodze nieuda mu się coś pochwycić do kieszeni lub pamięci.

Młoda królowa, nawet w tych, co ją musieli poświęcić dla Polski, obudzała żywe współczucie, jako ofiara. Wprawdzie w Polsce miłość wypieszczona, wystudyowana, truverów i minnesingerów, dworów miłosnych, trybunałów sentymentu, nie przyjęła się nigdy i nie zakwitła. Wyjątkowo może śpiewano o niej na wrocławskim dworze, lecz rycerstwo polskie nie miało ani czasu ni usposobienia bawić się w miłostki żadne.

Pojmowano przywiązanie, roznmiano obowiązek, krew szalała często w chwilowem rozpamiętaniu, lecz nie spędzano dni i wieczorów na roztrząsaniu zadań serdecznych, jak na zachodzie.

W wolnej chwili wolano trefny żart, opowiadanie dowcipne, nad pieśń latającą w obłokach.

Mówiono też sobie, że królowa swego ulubionego Wilhelma, rozstawszy się z nim zapomni, a małżonka ukocha i będzie z nim szczęśliwą. Jej wiek nie pozwalał dziecinnego przywiązania brać tak poważnie, aby dla niego kraj poświęcić.

Z dniem każdym połączenie Litwy z Polską wydawało się potężniejszą dzwignią przyszłości.

Wszystko musiało przed niem ustąpić.

Gniewosz ile razy próbował zjednać kogo dla królowej, znajdował prawie zawsze litość dla niej, lecz najgorętszą przytem żądze — przyjęcia ofiar Jagielly.

Sprawa jego nie potrzebowała rzeczników, sama mówiła za sobą.

Jedynym środkiem niedopuszczenia Jagielly, było połączenie pospieszne z Wilhelmem, na mocy owego ślubu w dzieciństwie. Na nie rachowała Jadwiga, a Wilhelm, oczekiwany ciągle, nie przybywał. Przychodziły dni zwątpienia, w których Jadwiga sądząc się opuszoną, płakała...

Nie przypuszczała, aby ją cokolwiek bądź zmusić mogło do oddania ręki Litwinowi; a to, co jej o nim opowiadano, ciągle zwiększało jeszcze odrazę i wstręt nieprzełamany. Z miasta przynoszono opowiadania, jakoby zaczerpnięte od litewskich posłów dworu, wystawiające Jagiellę jako potwornego człowieka, dzikiego, lubującego się

w przelewaniu krwi, zamkniętego w sobie, mało-mównego, popędliwego, podejrzliwego, żyjącego mięsem surowem, dnie i noce spędzającego po lasach, w których bałwochwalskie spełniał obrzędy.

Śmierć Kiejstuta i wielu innych przypisywano jemu... Krzyżacy i ludzie Wilhelmowi sprzyjający, wymyślali coraz nowe potwarze.

Niecierpliwość Jadwigi, żal jej do Wilhelma, który na zawołanie dla ratunku jej nie spieszył, dały się uczuć i Gniewoszowi, niewiedzącemu już jak miał siebie tłumaczyć i jego uniewinniać.

Wreszcie wieczora jednego nadbiegł goniec do Gniewosza wyprawiony, oznajmujący przybycie księcia nazajutrz, i żądający dlań gospody.

Gniewosz ostrożny i zabiegliwy, własny dom swój niedaleki od zamku, opróżniony i oczyszczony ofiarował.

Wspanialejby było u Franczka Morszteina lecz podkomorzy zazdrośnym był, lękał się, aby kto inny umysłem młodym nie zawładnął.

Gdy Hilda wpadła do komnaty królowej, zdyszana, uśmiechnięta i po cichu chciała jej szepnąć wesolą nowinę Jadwiga, która się z twarzy ochmistrzyni domyśliła już co przyniosła, porwała się od krosien, zmieniona radością, szczęśliwa, zwycięzka, i powitała ją sama wykrzykiem.

— Mów głośno! Wiem co przynosisz! nie chcę tajemnic żadnych. Niech świat cały słyszy! Mój mąż przybywa!!

Mój mąż? kiedy?

— Jutro?

Twarz młodej pani zabłysła jak różyczka, uśmiech powrócił, nadzieja — szczęście...

Rzuciła się Elży Emerykównie na szyję, wołając po dziecinnemu.

— Słyszysz! on przybywa! przybywa! Ciesz się...

Narieczona Spytka radaby była dzielić radość swej pani, lecz wiedziała od niego, jak mało nadziei mieć mógł rakuzki książę. Posmutniała jej twarzyczka, przewidywała teraz rozpoczęcie walki i dnie ciężkie dla Jadwigi.

Ona tryumfowała, w jej przekonaniu wszystko było skończone, jak skoro Wilhelm przybywał. Prawa jego poszanować musiano, a ona była królową.

W mgnieniu oka w tych smutnych przed chwilą izbach królowej, wszystko nową postać przybrało. Ona sama odżyła... Wołała, aby jej przygotowano najpiękniejsze na jutro szaty i klejnoty, chciała być piękną dla niego, chciała się wydać królowa. Nie wahała się nawet z sztyderską uciechą, kazać sobie przynieść kanaki i manele bogate, które widziano między podarkami Jagielly.

Cały jej dwór cieszył się z nią, biegał, śmiał się. Ruch w komnatach nadzwyczajny, jeszcze mniej zwyczajna wesołość tych, co nie wiedzieli o niczem — zdziwiły i zaciekały...

Musiano się czegoś ważnego, stanowczego a pomyślnego dla królowej domyślać.

Lecz czujny i surowy Dobiesław z Kurozwek, który całą duszą Jagielle był oddany, zawczasu już miał wiadomość, że Wilhelm przybyć może, kazał pilnować. Goniec wyprawiony do Gniewosza został podsłuchanym i kasztelan biegł do Jaśka z Tęczyna na radę, jak począć gdy się książę zjawi.

Zbiegli się i inni panowie rady... Nie można było krępować królowej, trzymać jej w niewoli, ani bez przyczyny księcia potężnego domu wypędzać z kraju.

Musiano postępować z oględnością wielką.

Wieść ta wszystkich panów zafrasowała mocno. Domyślali się, że narzeczony mógł być przez Jadwigę wezwany. Dobiesław z Kurozwek nie powinien był dopuścić go na zamek, na to się godzili wszyscy, lecz mogliż wzbronić im widzenia się z sobą?

— W obec dworu, publicznie — zawołał Jaśko z Tęczyna — nie możemy mu zaprzecć drogi na posłuchanie, na rozmowę, lecz rozgościć się na zamku!! potajemnie tam przebywać niepozwoлимy. Ze wszelkiem poszanowaniem dla księcia,

czci królowej strzedz musimy; zbliżenia się nie dopuścim, boby zasiadł potem w zamku, i dopominał się praw swoich.

Zburzenie umysłów było nazwyczajne. Dobiesław z Kurozwęk, gdyby to od niego tylko zależało, wprost chciał go zmusić do odwrotu. Jaśko z Tęczyna obawiał się do ostateczności, do rozpacz przywozić biedną królowę.

Spytek obstawał przy umiarkowaniu i przeciw wszelkim gwałtownościom głosował.

Narady przeciągnęły się do późna, i stało na nich co kasztelan wojnicki pierwszy wnosił. — Strzedz Wilhelma, krok w krok za nim chodzić i śledzić, na posłuchanie tylko, na ucztę, na rozmowę przy świadkach wpuszczać do zamku.

— Jeżeli książę więcej zapagnie, a dopuści się zamachu jakiego, naówczas — mówił Jan z Tarnowa — z poszanowaniem należnem wyświecimy go z miasta i z poczem odprowadzim precz do granicy, tak jakśmy już Zygmunta Luksenburskiego wywiedli.

Godzili się wszyscy na to...

Kasztelan rozesłał ludzi na zwiady. Przyniesiono wieść, że dom Gniewosza na gospodę przygotowano, marszałek Mikołaj z Brzezia, natychmiast posłał po niego.

Wezwany, po namyśle, stawił się podkomorzy. Winien on był panu krakowskiemu i innym, którym dawniej służył i pochlebiał, wynie-

sienie się swoje. Dotąd był też dla nich z tą uniożonością dawną, która tylko przy obcych stroiła się w poufalość. Dziś potrzeba było zrzucić maskę i stanąć okoniem przeciw dawnym opiekunom.

Gniewosz nie wahał się, mając za sobą królowę, wypowiedzieć wojnę tym, którym był winien wszystko. Miał na to dosyć czoła i zachwalstwa.

Wpadł na radę panów już z tą przygotowaną butą, która była wyznaniem winy.

— Myślicie u siebie gospodę dać księciu Wilhelmowi? — zapytał kasztelan wojnicki, mierząc go surowem wejrzeniem.

— A dlaczegożby nie! — odparł podkomorzy, przybierając niezwykle dumną podstawę.

Dobiesław, krórego zdrada ta więcej niż innych obchodziła, bo Gniewosz mu zawdzięczał wydrapanie się do podkomorstwa, zawołał szorstko.

— Dlatego nie powinienesz być czynić Wilhelmowi posługi, iż my Wilhelma znać nie chcemy...

Podkomorzy ramionami rzucił.

— Jestem u posługach u królowej nie u was — rzekł. — Królowa widzi mile Wilhelma... Spełniam jej wolę...

— Tak jakeście spełnili naszą — dorzucił Do-

biesław—dopóki wam z tem dobrze było. Pomnijcie, że patrzeć trzeba końca.

Z lekceważeniem wysłuchał tej ostrej nauki Gniewosz.

— Waszym miłościom dobrze czynić co się wam zda, bo się dorabiać nie potrzebujecie — rzekł. — Jam chudy pachół, jako wiecie, u bogatego książątka zarobić mogę i tego się nie wstydam.

— Ba, i od królowej! — dodał Dobiesław pogardliwie.

Gniewosz stał upokorzony, lecz dmąc się i trzymając w bok.

— Od królowej też! — powtórzył cynicznie.

— Jemu gdyby djabeł co dać chciał, wziąłby i od tego — szepnął odwracając się pan krakowski.

Mikołaj z Brzezia surowo patrzył na podkomorzego.

— Mieście się na baczności — rzekł — abyście służąc Rakuzkiemu nie narazili się potężniejszemu komu...

— To moja rzecz — odparł podkomorzy. Grzechu w tem przecie srogiemu nie ma, że gospodę dam w domu cudzoziemskiemu panu, prawo tego nie broni, a królowa żąda.

Zastawiał się tak królową, iż panowie widząc go już zupełnie przez nią zjednanym, nie chcieli nawet dłużej z nim rozprawiać.

I stała się rzecz w gościnnym polskim dworze prawie bezprzykładna.

Gniewosz stał jeszcze wyzywając wszystkich i gotując się zuchwale bronić swojej sprawy, gdy wszyscy przytomni panowie, gospodarza nie wyjmując, powstawali z ław i siedzeń, dali sobie znaki i zwolna wychodzić zaczęli do drugiej izby.

Nikt na Gniewosza nie spojrział, nikt nie przemówił, ani go pożegnał, ani zdawał się widzieć, że tu był. Obojętnie, w milczeniu wychodzili powolnymi krokami, zostawując go w pośrodku komnaty samym...

Ten znak wzgardy tak wyrazisty, tak dobitny, obelżywy dla podkomorzego, pomimo jego cynizmu i nawyknienia do tego, iż go nigdy bardzo nie szanowano, oblał go krwią sromu. Zaczzerwieniał się, drgnął, stał jeszcze krótką chwilkę w miejscu jak wkuty, nieruchomy, czekając czy się kto może nie zwróci. Gdy ostatni z nich przestąpił próg izby i drzwi za sobą zatrzasnął, Gniewosz wzgardliwie popatrzał na nie, głowę nakrył i z wolna skierował się do wyjścia, poświ-stając, co było też obrazą domu, ale świstania tego nikt nie słyszał, tak jak już teraz Gniewoszem z Dalewic nikt się nie zajmował...

Nie miał więc nic do stracenia podkomorzy i nie potrzebował się już tać z usługami swemi dla Wilhelma.

Nazajutrz w poczcie małym dworzan królowej, przez nią wyprawionych, wyjechał na spotkanie.

O kilkoro stoi za bramami zetknął się z orszakiem, który był w istocie nadzwyczaj wspaniały, liczny i wytworny. Jagiellowe poselstwo odznaczało się bogactwem, dwór Wilhelma smakiem wykwintnym, i kunsztem a ładem z jakim był urządzony.

Książę chciał od pierwszego swojego zjawienia się w murach stolicy, zaćmić wszystko, cokolwiek kiedy to miasto widziało. Na ostatnim noclegu dwór przywdział szaty i barwę najpiękniejszą. Sam książę strojny jak laleczka, zręczny, piękny, wymuskany, woniami oblany, z miną pańską i dostojną, z przybraną dumą, na ślicznym koniu, pod nakryciem szytem spływającym aż do ziemi, jechał w szatach lśniących świeżością, a skrojonych tak aby, postawę jego uwydatniały. Usta mu się mimowolnie uśmiechały, myśląc jakie piorunujące na ludziach uczyni wrażenie...

Od ochmistrza dworu aż do ostatniego ciura, wszystko równie było starannie wyświeżone, każdy miał miejsce wedle znaczenia i dostojęństwa.

Przodem jechali zbrojni z mieczami dobytymi, z tarczami herbowemi, straż pierwsza, dalej książę ze swym dworem najbliższym, za nim kapelan, lektor, poeta Suchenwirth, chudy, kościsty z długą szyją, rysami jak od siekiery wyrąbanemi, a oczy-

ma ciekawemi; trefnisie pstro poubierani, pomniejsi urzędnicy, strażę znowu i niezliczone wozy, przy których piesi ludzie szli z halabardami. Na wozach widać było malowane skrzynie, pudła, wory, sakwy, sprzęt różny i oręż.

Pochód umyślnie rozciągnięty, aby się ogromniejszym wydawał, długim sznurem włókł się gościńcem i zamykał konną strażą.

Wśród powozów, szły podziw obudzające kołebki malowane i złoczone, skórą i suknam pooblekane, różnej budowy, mniejsze i większe wózki, konie powodne i liczne psy myśliwskie w bogatych kowanych obróżach od srebra i złota. Sokolnicy na rękach nieśli zakapturzone sokoły i rarogi...

Gdy orszak ten począł wjeżdżać w bramę, końca jego w ulicy do niej wiodącej nie było. Ludu mnóstwo poczęło się zbiegać zewsząd, aby patrzeć na to widowisko niespodziane, bo bardzo mało kto o niem był uprzedzony.

Gawiedź nawet w początkach nie wiedziała kto przybywał.

Przypatrywano się z ciekawością nadzwyczajną, ale w osłupiałem milczeniu. Nikt nie dał znaku życia.

Oprócz Gniewosza, który tuż jechał za księciem, nikt nie wyruszał na spotkanie. Nie takiego zapewne przyjęcia spodziewało się książętko, i czoło mu się trochę zachmurzyło...

Gawieź biegła za orszakami przypatrując się, dziwując, ale i wyśmiewając po troszę z różnych niezwykłych strojów i przyborów.

Książę tak nogą za nogą przejechałszy znaczną część miasta, nie spotkawszy, nawet przypadkiem, żadnego z panów polskich, bo ci się umyślnie po swych dworach i gospodach pozamykali, zbliżył się naostatek do domu Gniewosza, który na pierwszy rzut oka wydał mu się mizernym bardzo... Lecz spodziewał się co najwięcej, przenocować tu może i dostawszy na zamek, już go nie opuścić.

Gniewosz nie powiedział mu, że od rana bramy zamku na Wawelu stały zamknięte i strażą silną opatrzone. Królowa, której o tem doniesiono, cała była wzburzona, wołając, że ją jak niewolnicę zamknęto; ale Mikołaj z Brzezia, odparł z uszanowaniem.

— Miłościwa pani strzeżemy cię jak skarb najdroższy, którego sobie wydrzeć nie damy.

Chociaż gospoda w domu Gniewosza była tylko chwilową, jak się księciu zdawało, nie mniej potrzebował w niej wozy swe pootwierać i niezliczoną mnogość rozmaitego sprzętu, bez którego obejść się nie umiał, kazał dobyć.

Nagie ściany razily go, musiano oponami je okryć, a że nowy strój przywdziać musiał książę, bo w podróży pozostać niedozwalał zwyczaj, ściągnięto kufry i otworzono...

Gniewosz zaledwie z konia zsiadłszy, stawił się jako pośrednik na usługi...

Na zamku przez wysłanego na miasto Dobka z Częstowic, dworzanina królowej, natychmiast się dowiedziano, o przybyciu Wilhelma. Królowa od rana była przystrojona, i z niepokojem oczekiwała. Zdawało się jej, że Wilhelm natychmiast będzie mógł na zamek przybyć.

Wezwany p. Mikołaj z Brzezia, oświadczył, iż na to potrzeba było zezwolenia pana krakowskiego, a wkrótce i Dobiesław sam zjawił się ponury i milezący przed królową.

Na jej rozkaz wydany stanowczo, głosem pełnym już rodzącego się gniewu, kasztelan krakowski odrzekł spokojnie, iż książę cudzoziemski mógł tylko za wiedzą i w przytomności panów rady być na posłuchanie wpuszczonym.

Próżne było wołanie królowej i jej wymówki. Ciągłe z największą uniżonością kasztelan się tem tłumaczył, że pozwolenie od niego nie zależało.

— Stróżem tu tylko jestem, ale pod rozkazami...

— Jam królową! — powtarzała młoda pani.

— Bez rady jednak, wasza miłość, rozstrzygać nie możecie...

Z niecierpliwością nakazała Jadwiga powołać radę do siebie.

Jechali na zamek panowie wszyscy, duchow-

nych nie pomijając, których zabrali z sobą, bo ich powaga i głos na młodej pani największe czyniły wrażenie...

Milezący, smutni, majestatyczni weszli do komnaty, w której Jadwiga już na nich czekała. Chciała gwałtownie upomnieć się u nich o swe prawa, lecz głos jej łkanie przerwało.

— Powiedzcie mi, niewolnicą jestem czy królową? — krzyknęła...

Arcybiskup starał się ją ubłagać, aby spokojną była. Jaśko z Tęczyna zaręczył, że publicznie i uroczyście książę Wilhelm będzie wpuszczone, lecz stałego pobytu na zamku stanowczo odmówić mu muszą.

— Posłowie pojechali do królowej matki, rzecz jest nierozstrzygnięta, nie godzi się, aby pobyt ks. Wilhelma sławie pani naszej miał ujmę czynić.

— Jest mężem moim — sucho odpowiedziała Jadwiga.

Napróżno usiłowała zmiekczyć panów rady — milczeli nieporuszeni.

Arcybiskup i mały Radlica nie stanęli po jej stronie. Musiała uleść przemocy i wyszła gniewna, okazując taką siłę duszy, że nawet Jaśko z Tęczyna mocno się tem zafrasował.

Takiego oporu nie spodziewano się po słabem dziewczęciu.

Jeszcze starszyzna naradzała się nie wycho-

dząc z posłuchalnej komnaty, gdy wszedł do niej wysłany przez Jadwigę, z miną zuchwałą Gniewosz, domagając się w imieniu pani, aby na jutro posłuchanie naznaczone zostało.

Panowie ulegli prośbie, lecz że nikt z Gniewoszem mówić nie chciał nawet, wysłano z tem jednego z dworzan, a Gniewosz odszedł struty i zawstydzony.

W jego domu tymczasem rozgospodarowywał się książę, z całą pedanterią swą nieubłaganą, zabierając stroić, odpoczywać i obiadować.

Gniewosz właśnie rozmyślającemu nad rozłożonemi szatami i ich wyborem, przyszedł smutną zwiastować nowinę, że na zamek dopiero nazajutrz książę będzie dopuszczonym na posłuchanie uroczyste, ale pozostać na nim panowie na żaden sposób dozwolić nie chcą.

Oświadczenie to z niedowierzającym uśmieszką przyjął Wilhelm, wcale sobie inną rokując przyszłość.

Przewidywać zaczynał wprawdzie, że układy, przełamanie trudności, mogą się przeciągnąć, nie wątpił, że się skończą szczęśliwie. Gniewosz opowiadał mu o energicznym wystąpieniu królowej.

Piękne chłopię uśmiechało się.

Nie było przyjemnem to położenie, ale miało urok jakby przygody z pieśni starej w życie wcielonej... Ten zamek strzeżony przez starców zazdrosnych, ta wyrywająca się ku niemu kró-

lowa, przeszkody do przewyciężenia, zabiegi tajemne... wszystko to podniecało wyobraźnię. Był w swych oczach bohaterem, którego Suchenwirth miał opiewać, a po nim mnodzy poeci...

Książę dumnym się czuł z tego losu wybranych...

W jego pojęciu jednak, przygodzie brakło pewnych ozdób.

Panowie rady, powinni byli przecie przyjść do niego z pokłonem, nalegać, aby mógł okazać wymownie miłość swą i stałość, a dać im patetyczną odprawę. Tymczasem nie było nikogo, nie zjawił się nikt, oprócz odartej gawieździ otaczającej dwór i oblegającej bramę. Panowie nie chcieli wiedzieć o nim...

Dolegało mu to trochę, lecz zmienić się musiało.

Gniewosz tymczasem wysilał się na usługi i nie odstępował...

Miał za to szczęście być przytomnym pańskiemu obiadowi, na który ani on, ani nikt z dworu zaproszonym nie był, gdyż książę z nierównymi sobie nie zwykł był siadać u jednego stołu...

Uroczyście podawał stolnik misy, z których musiał sam naprzód próbować potraw, tak samo podczaszy maczał usta w napoju. Chociaż książę przybył zaledwie, srebrne naczynia, kosztowne puhary, obrusy szyte, wszystko było już podo-

bywane i wedle praw niezmiennych podane i ustawione.

W czasie, gdy książę się posilał, nadworny poeta stał przy nim, otaczała znaczna część dworu, a dwaj trefnisie starali się rozweselić.

Lecz sami zmęczeni podróżą, trochę pomieszani przyjęciem zimnem, potrzebowali odzyskać humor w drodze postradany.

Powtarzali przestarzałe gadki, książę ich nie słuchał, ginęły marnie. Naostatek Bube włożył w kąt i dał za wygraną...

Zdjęto obrusy, wymieciono kości, a książę przeniósł się ku oknu, z którego widok zamurowany ścianami, więzienny, niewiele go mógł rozerwać...

Na wieczór przygotował się lutnista, i znowu trefnisie, lecz książę odprawił wszystkich. Suchenwirthowi kazał sobie odczytać na nowo wierz na swój herb i godła, napisany w podróży.

Poeta zabawiał go czas jakiś, lecz postrzegł w końcu, że książę, myślami będąc gdzieindziej, nie słuchał go już...

Tak dzień ten tem smutniej się zakończył, że książę Wilhelm pomimo trzykrotnego najsuwniejszego rozważania wyboru sukni na jutro, pomiędzy aksamitem a atlasem, dotąd stanowczego wyroku nie wydał. Całą noc zadanie to największej wagi, spoczynku młodemu chłopięciu nie dało.

VII.

Piękną jak anioł była dnia tego królowa, bo jej szczęście, jak ból, wdzięku dodawało zarówno; piękną, tylko inaczej, niż tych dni powszednich, gdy smutna, znękana czekała i tęskniła...

Chciała być dla niego piękną...

Serce jej biło do tej laleczki książęcej, ślicznej, strojnej, rozmiłowanej w sobie: namiętnej miłość tę słabemu, niewieściemu narzucić sercu.

Widziało go zawsze od dzieciństwa tym wypieszczonym chłopaczkiem, prawie niewieście miluchnym, dbałym o piękność swą, delikatnym, prawiącym cicho słodkie słówka i słuchającym ich z rozkoszą.

Szlachetne, wielkie serce niewieście przywiązało się do tej istoty wdzięcznej a chłodnej... Miłość nie jestże prawie zawsze ubóstwieniem

i bałwochwalstwem z jednej sstrony, a chłodnem przyjmowaniem z drugiej?

Wilhelm kochał ją tak, jak samolub pieszczony miłować może, trochę zmysłami, więcej wdzięcznością za to, że ona go ubóstwiała...

Kochał w niej także koronę i kraj, który mu niosła w posagu.

Ona z poświęceniem niewiasty gotową była cierpieć dla niego, on jej cierpienie i ofiarę miłym uśmiechem przyjmować. W jego przekonaniu to, co on dla niej uczynił teraz, przedsiębiorząc podróż, stając do walki, narażając się na niewygody i niewczasy, było już ofiarą, która starczyła za wszystkie, jakie królowa poświęcić mu mogła...

Zrana tego dnia w niepewności wielkiej, książę wybrał na ostatek aksamit, włosy mu trefiono długo, najmiłszą wonią skropiono suknie... Dwór przypuszczony do oglądania już ustrojonego księcia był w zachwyceniu. W istocie też Wilhelm miał postać wielce wdzięczną, a każdy jego ruch obmyślany, wyważony, obrachowany był, aby uwydatnić ten cielesny wdzięk, któremu brakło tylko wyrazu i duszy.

Zimno patrzyły oczy, nieustannie na siebie zwracana uwaga, śmiało nie dozwalała postawić kroku, szedł sztywnie, uśmiechał się wyuczonym śmiechem, marszczył wedle pewnych prawideł.

Ze dworu najwspanialsze postacie towarzy-
szyły mu na zamek.

Na widok jego, gdy wchodził na salę, lice
królowej zarumienilo się, poruszyła się, jakoby
biedz chciała naprzeciw, serce jej biło — po-
waga królowej przykuwała do tronu...

On szedł mileżącym krokiem, uśmiechnięty
dumnie, wprost ku niej. Na powitanie całe grono
mężów poważnych wstało. Skłonił im lekko główką.
Mimowoli zmierzył ich oczyma...

Strojni byli bogato, wspaniale, ale jakże
w oczach wykwintnisia wydali się dziko i nie-
smacznie! Z tych twarzy nasepionych lub uro-
czyście wypogodzonych, siła jakaś nieokielznana
patrzała!!

Był to świat niedojrzały, pierwotny, który
pogardliwe tylko wzbudzić w nim mógł uczu-
cie...

Wilhelm szedł tak aż do stopni tronu, a białą
rączką ciągle go witała królowa. I widać było
oddech przyspieszony, który piersi jej poruszał...
Mienila się wszystkimi blaskami szczęścia...

Książę byłby się może ośmielił zbliżyć bar-
dziej jeszcze, lecz po obu bokach tronu stali lu-
dzie zbrojni dziwacznie, jakby na straży i pa-
trzyli nań zjadliwemi oczyma...

Rozmowa cichym, stłumionym głosem rozpo-
częła się po niemiecku.

Patrząc na niego królowa zapomniiała o wszyst-

kiem, o położeniu swem, o tem co ją otaczało, o tych co ją słyszeć i rozumieć mogli. On stał naprzeciw niej, jednego jego widziała.

Wilhelm poetycznie, sucho i sztucznie, wyrazami może od Suchenwirta pożytecznemi powiedział jej o swojej tęsknicy, o radości z jaką ją oglądał. Ona radowała się temu, iż teraz wszystko złe skończyć się musiało.

Smiało powiadać mu zaczęła o poselstwie do królowej matki, które nie innego przynieść nie mogło, nad to co matka jej przyrzekła i jemu... Zachęcała go, aby wytrwale czekał, i bądź co bądź pozostał tutaj...

Oczy mówiły więcej niż usta...

Ręce chciały się zbliżyć i uścisnąć, ale tyle tych dzikich oczu, z pod nawisłych brwi patrzyło na nich...

Cicho szeptała królowa. — Zobaczymy się, gdzieindziej, swobodniej. Cierpliwości Wilhelmie.

Tak na cichych szepciach przeszło to pierwsze posłuchanie, a książę uśmieszką nst dowieść się starał, że ono go nie zrażało.

Królowa niespokojny wzrok rzucała na siedzących do koła, trwożyli ją ci niemi świadkowie, ale miłość dodawała mężstwa.

Zdawało się księciu, że przecież ci panowie rady, coś mu grzecznego i pochlebnego powiedzą, uczczą w nim wielkiego pana, — w końcu

przekonać się musiał, iż się do tego nie poczuwali obowiązku...

Nastąpiło ciche pożegnanie. Niemi mężowie ruszyli się z ław jako jeden, wstali, skłonili głowy, i gdy królowa jeszcze mu ręką znaki dawała, a on jej głową i dłonią do piersi przyłożoną, odpowiadał — iść trzeba było ku drzwiom.

Książę dokonał tego pochodu mistrzowsko, z nieporównanym wdziękiem, z ułożeniem postawy, która giętkość kibici na podziw niezgrabnych widzów wykazywała. Jeszcze raz odedrzwi skłonił się Jadwidze stojącej na tronie... i znalazł się w przedsieni...

Cizba dworska zebrana rozstąpiła się przed nim, nałożył czapkę z piórami na główkę i siadł na konia z tą samą zręcznością z jaką umiał chodzić po kobiercach.

Był pewnym, że zostawia po sobie niezatarte wrażenie na tych ludziach, którzy podobnej doskonałości, takiego pana i do tego wysokiego stopnia wypięknionego nie widzieli człowieka.

Widok Jadwigi poruszył go nieco.

Była tak śliczną, a takim uczuciem przyjęła go...

Z jakimi myślami dojechał książę do dworu Gniewosza, co się snuło po tej ślicznej, splotami włosów czarnych okrytej główce, nikt z jego dworu nie odgadł, postrzeżono tylko, że zatopiony był w sobie...

Powiernik poeta Suchenwirth czekał na niego w progu i odprowadzał do sypialni — książę spojrzał nań, lecz spowiadać się przed nim nie chciał.

Padł na siedzenie. Sparł się na łokciu, i długo patrzył na podłogę.

Poeta szanował tęskne zadumanie...

Na zamku królowa to promieniła radością, to rzucała się niecierpliwa. Brwi jej się ściągały i usta zaciskały.

— A! ci starzy opiekunowie, co sobie taką władzę nademną przyznali! — zawołała w duchu.

— Hildo — odezwiała się widząc nadchodzącą piastunkę — przybył mój! A! jaki piękny! a! jak serdeczny!... a! jak ja go miłuję duszą całą... I on tu jest tu, w tem mieście, niedaleko za temi murami, a te ściany przeklęte dzielą nas. Zbliżyć się do niego nie mogę... Jemu na zamek nie wolno!!

Hilda coś jej na ucho szepnęła — uspokoiła się królowa...

Odżywione uczucie próżnować nie mogło..., Zaledwie parę godzin upłynęło po posłuchaniu-gdy już jeden z dworzan biegł w poselstwie do dworu Gniewosza i przyniósł odpowiedź.

Królowa ze stołu swego posłała potrawy Wilhelmowi. Książę odwdzieczył się słodyczami, których całe skrzynie wioził sobą.

Poselstwa te, choć krzywiąc się na nie, przepuszczano z zamku i na zamek, lecz pilno patrzano na krok każdy...

Dobiesław z Kurozwęk najwięcej odpowiedzialny, nie ruszał się prawie z zamku, obawiając się więcej może niż należało i domyślając nadto, wszystkie boczne furty i wychody kazał pozabijać i pozamykać, klucze poprzynosić sobie. Na wałach widoczne i niewidoczne chodziły straże...

Zamek był jak obleżony.

Pan krakowski obawiał się wszystkiego. On i podskarbi Dymitr z Goraju, który z urzędu ciągle się tu znajdować musiał, wspierając się wzajemnie, chodzili do koła, podglądając każdy ruch, szczególnie tych ludzi ze dworu królowej, których podejrzywano o kuowanie i stosunki z Gniewoszem.

Podkomorzy zaś, niegdy tak pokorny i unizony, teraz chodził wyzywająco na nich spoglądając, z podniesioną głową, z miną taką, jakby się z ich próżnych usiłowań chciał naśmiewać.

Nie śmiano Wilhelma wprost wygnać z Krakowa i zakazać mu pobytu, a przedłużone jego przebywanie stawało się w końcu nieznasnem, bo nienastanną było trwogą.

Lękano się wykradzenia królowej, lub wkradnięcia się na zamek pod jakim przebraniem Wilhelma... Jedno tylko cokolwiek mogło uspo-

kajać, to dosyć trwożliwy charakter młodzieniaszka, który ani osoby swej ani godności nie rad był narażać.

Gdy u Jaśka z Tęczyna radzono nad tem, jak się pozbyć Wilhelma, we dworze Gniewoszewym rozmyślano nad tem, jak do królowej się zbliżyć.

Tymczasem powrót posłów z Budy od królowej, uwagę powszechną na nich zwrócił. Wilhelm uznał sam potrzebę zachowania się cichego i nie dawania znaku życia.

Zaledwie królowa o powrocie posłów się dowiedziała i chciała posłać po Włodka z Ogrodzieńca, niecierpliwa dowiedzieć się co jej przywieźli, gdy klecha usłużny, mało co się przebrawszy i zaledwie z kurzu otrząsłszy, przybiegł do Hildy.

Stara spojrzawszy nań domyśliła się, że nie musiał nic pomyślnego nieść im, bo stanąwszy w progu, przybrał postać zbolalą i zrozpaczoną.

Podbiegła do niego ochmistrzyni oczyma wyzywając aby mówił.

Bobrek ręką okazał, że 'wszystko było stracone.

— Na królowę Elżbietę się zdać — rzekł — to jak na piasku pisać. Co dzień ona co innego myśli i czego innego chce... Nikt jej nie wyrozumie, bo każdemu mówi inaczej a co wczoraj odpychała, tego nazajutrz się chwyta.

Gdyśmy przyjechali, a zabiegłem do niej przez

zaufanych, aby córki nie oddawała na łup poganom, zaręczyli mi wszyscy, że nigdy tego nie uczyni; potem przyszli posłowie z darami, zaczęli polscy panowie przynaglać i prosić, aby zdała na nich pieczę nad ukochaną królową — i wyrzekła się wszystkiego, pozwalając pansom krakowskim, aby tak postąpili, jak dla nich lepiej będzie.

Mają więc katowie rozwiązane ręce, i czyścić mogą co chcą.

Bobrek mówiąc oczy sobie zakrył, a choć nie płakał, w istocie tak był zły i gniewny, że gotów był wybuchnąć łzami razem i przekleństwami.

Ochmistrzyni stała osłupiała.

— Nie nie pomogły starania i zabiegi — dodał — stara serca nie ma, nad własnym dzieckiem się ulitować nie umie. Trzeba samym myśleć o sobie...

O złym skutku tym poselstwa Hilda nie chciała już zawiadamiać królowej; nie było z czem spieszyć. Opuściła ręce, dała znak klesze, aby się oddalił. Ten stał uparcie.

— Nie zawiadomicie o tem pani? — zapytał.

— Dowie się ona aż nadto rychło! — zamruczała Hilda.

— I potrzeba żeby zawczasu wiedziała a myślała co czynić — odezwał się Bobrek. — Wiem, że książę Wilhelm tu jest... Musi się znaleźć sposób wprowadzenia go na zamek, lub dla kró-

lowej wyjścia do niego. Dosyć aby parę dni żyli z sobą a oświadczyli to publicznie, małżeństwa już naówczas nikt nie rozerwie.

— Ale na zamek nikogo nie wpuszczają i nie wypuszczają bez wiadomości kasztelana, wszystkie furty są strzeżone — zawołała Hilda.

Klecha pogardliwie ruszył ramionami.

— Na wszystko są sposoby — odparł — ale ich szukać potrzeba. Z obleżonego grodu wymykają się ludzie, z więzień uciekają.

Rzuciwszy tych słów kilka staruszcze, które pewien był, iż królowej powtórzone zostaną. Bobrek się wymknął. On też czasu nie miał do stracenia, chcąc posługiwać księciu Wilhelmowi i czując jak mu użytecznym być może.

Gniewosz był nadto widocznym i na oku go miano, jego nie podejrzewano i mało nań zważano.

Tylko ze smutku swej starej królowa dorożumieć się mogła, iż coś niepokojącego kryje przed nią. Nie zdradziła się Hilda, chcąc swej pani zawczesnego oszczędzić frasunku.

Nazajutrz też rano zjawił się w podwórzu Włódka z Ogrodzieńca, zobaczyła go Jadwiga i niespokojna powołać kazała do siebie.

Podczaszy nie widział potrzeby tajenia tego, co wkrótce wszystkim wiadomem być miało...

Jadwiga wybiega z Elżą Emrykówną naprzeciw niemu.

— Widzieliście matkę moją! — wołała.

— I przywozimy wam pozdrowienie od niej—
odezwał się Włódka dosyć niewesołym głosem.

Bystro spojrziała nań królowa.

— Mów co mi przynosicie? z czem powracacie.

Podczaszy zdawał się wahać.

— Królowa matka zdała rozstrzygnięcie
o wszystkim, na panów rady—rzekł powoli.—
Zgadza się na to, co oni postanowią.

Chwilę stała jak piorunem rażona biedna
królowa, — jakby nierozumiejąc co usłyszała —
wydała okrzyk boleśny, zakryła sobie oczy
i sparta na Elży wyszła, nie spojrzawszy na
podczaszego...

Prawie w tej samej chwili Gniewosz przybiegł do Wilhelma zwiastować mu to co zwał
zdradą i przeniewierstwem królowej matki. Nie
uczyniło to jednak nadzwyczajnego na Wilhelmie
wrażenia. Ufał Jadwidze i swojemu dostojństwu,
przymiotom wyższości, z którą nie o lepsze walczyć nie mogło.

Wiadomość przyjął z dumnym ust wykrzywieniem, jakby mówił — zobaczymy!

Gniewosz też wcale nie myślał tracić nadziei,
według niego teraz dopiero mieli rozpocząć działanie. Należało czas jakiś pozostać na stronie,
pozornie beczynnie, a przygotować kroki stanowcze.

Królowę porwać lub do niej się na zamek dostać musiał książę.

Zamknięto wrota dworu, ludziom książęcym wzbroniono się pokazywać, można było sądzić, że arcyksiążę albo się wyrzekł już wszelkich nadziei, lub sam jeszcze nie wie co pocznie.

Nie bardzo też zwracano nań uwagę, bo panowie wszyscy, niezmiernie uradowani wyjedaniem słowa królowej, żywo się teraz zajmowali odprawą posłów. Ci co trzymali z Jagiellą byli w tak przemagającej większości, iż najmniejszej nie ulegało wątpliwości, że oni zwyciężyć muszą i na króla go powołać.

Odjeżdżającym Skirgielle i Borysowi, a więcej jeszcze Hawnulowi, tajemnie zaręczono, że Jagiello może korony być pewnym, jeśli warunki podane przyjmie.

Należało wszakże w tak ważnej sprawie, choćby dla uprawnienia jej zjazd zwołać jeszcze; a z niego wzajemne wyprawić poselstwo...

Nieszczęśliwa królowa, którą odpowiedź matki do rozpaczey prawie przywiodła, chorobą się wymówiła od powtórnego przyjmowania braci Jagiellowych.

W zamku płacz był i narzekanie...

Z panami rady Jadwiga mówić nie chciała, zbywała ich milczeniem zimnem...

Nie zwierzała się już nawet przed Radlicą, lecz przywiedziona do tego stanu, z którego sama

tylko, własną wolą się ratować mogła — nie wyrzekła się walki i obrony. Postanowiła wytrwać i przemoc siłą zwyciężyć.

Z obojętnością słuchała tego, co się dokoła niej działo, o czem jej donoszono. Zjazd zwołany do Krakowa, nie obchodził ją wcale, ani wszelkie zabiegi tych, co jej Jagiellę narzucić chcieli, Postanowiła pozornym spokojem, milczącemu poddaniem się, czujność stróżów swych uspić. Gniewosz poddał ten tryb postępowania.

— Niepomocze nie — szeptał, gdy go przypuszczono do królowej — z niemi na słowa szermować i chcieć ich przekonywać. To są ludzie uparci, co nad nikimi litości nie mają.

Niech sądzą, że się po ich woli stanie. Tymczasem znajdziemy sposób, albo na zamek się dostać, lub z zamku miłościwą panią, z tej wydobyć niewoli.

Na pozór więc, po przyjęciu tej rady podkomorzego wszystko się uspokoiło, zaniemiało, zdrętwiało. Królowa chodziła smutna, milcząca, nie wybuchając z wymówkami, ni narzekaniem. Zdawała się, acz niechętnie, ulegać przemocy.

Przybywającym duchownym, arcybiskupowi, Dobrogostowi poznańskiemu, Radlicy, ciągle jej usiłującym dowieść, jak świetną Bóg jej przeznaczył apostolską sławę, nie odpowiadała nic, słuchała ich ze spuszczonei oczyma, lecz nigdy słowo się jej nie wyrwało, któreby świadczyło,

że zmieniła przekonanie. Posłuszna występowała, przyjmowała, spełniała swe obowiązki królowej z powagą i chłodem, który czasem litościwego Jaska z Tęczyna przerażał.

Czuł on wyrzuty sumienia, rozważając los tej niewiasty, wiernej swej przysiędze, a tak nie-szczęśliwej, lecz losy tysiąca ludzi zależały od łzawej tej ofiary. Spełnić się ona musiała!

Wilhelma opowiadano chorym. Nie okazywał się nigdzie, bardzo rano tylko, z mniejszym ale zawsze właściwym dostojenstwem orszakiem, w stroju ściśle do pory dnia i miejsca zastosowanym, udawał się na mszę świętą do klasztoru ks. Franciszkanów, najbliższego od dworu Guiewosza.

A że do obowiązków dostojenstwa należało szczodre sypanie jałmużny, książę brał z sobą podskarbiego, który ją ostentacyjnie rozdawał, i klasztorowi też zasiłek dając pański.

Książę czuli się w obowiązku tego dobroczyńcę konwentu uroczyście przyjmować w progu z wodą święconą i pacyfikalem, a raz czy dwa ośmielili się nawet zaprosić do refektarza.

Książę, któremu nudziło się dość w samotnym dworcu Gniewoszowym, rad że mógł być czczonym i że go honorowano, chętnie zaszczycał dzieci świętego Franciszka odwiedzinami swojemi. Było zawsze znamię ubogich mnichów tego zakonu, że swe ubóstwo nosili wesoło i su-

rowe życie barwili dziecinną prawie swobodą ducha.

Gwardyanem naówczas był ojciec Franciszek, mnich niezmiernej łagodności i dobroci, prostoty wielkiej i ducha promiennego, który nawet męczeństwo umiałby był znieść, nie tracąc tego wesela dobrodusznego, które się na ustach jego zawsze złemu i dobremu uśmiechało.

Znano go z tego, iż pobożnie sobie wszystko ziemskie lekcewżył i w żart obracał. Powiadano, że za klauzurą dla mnichów nie mniej surowym był, lecz w obęjściu się ze światem nastawał na to, aby synowie Franciszka świętego nigdy nieokazywali, jakby stan ich im dolegał.

— Szczęśliwi powinniśmy być, i wesołą twarz okazywać zawsze, bo nam się dobra częśćka dostała w podziale...

O. Franciszek był wielce gościnny... Książę Wilhelm jego i zakonników polubił bardzo...

Wiedziano na zamku przez Bobrka o każdym kroku młodego pana, dowiedziała się też królowa, że nabożnym był w tym kościele, który od zamku stał niedaleko, tuż pod murami...

Na bliższe porozumiewanie się rakuszanina z królową, choć kasztelan miał oko, wiele rzeczy przed nim ukryć umiano, a przygotowania do zjazdu zwołanego i ciągle narady nad warunkami, jakie postawić miano Jagielle, wszystkie umysły zaprzętały.

Jaśko z Tęczyna wreszcie nie był za tem, ażeby królowę trzymać zbyt surowo i drażnić ją na-próżno. Wolał przez szpary patrzeć na to, co dziecinną rozrywką nazywał.

— Gdy potrzeba będzie — mówił — wystąpiemy, choćby na klęczkach i uprosim ją; teraz... nicz się rozerwie i wczasu zażywa...

Dobiesław głosował już zdawna, ale sam jeden za gwałtownem księcia wydaleniem. Spytek równie litościwy jak kasztelan, opierał się.

— Będzie czas na to — mówił — królowa sama, gdy ujrzy konieczność, podda się jej.

Zwołanie zjazdu do Krakowa, tyczyło się i Wielkopolski. Tu znowu Bartosz zabiegał i był czynnym.

Chociaż Semko siedząc w Krakowie, do niczego się mieszać nie chciał, odpychał narzucane nadzieje, Bartosz biegał i budził Nałęczów, pewien że książę, gdy sam się przekona, że ma się na kim opierać, da się wyrwać z tej beczynności.

Semka mało kto teraz rozumiał, a i on sam siebie może niewiele. Czarem i urokiem była dla niego królowa; nie miał najmniejszej nadziei pozyskania jej, a oderwać mu się ztąd było trudno. Jadwiga też, wołała go nad innych, może dlatego, że on się jawnie do dziewosłębów nie micszał.

Zapraszano go na zamek, a gdy Handslik

śpiewał, patrząc w oczy królowej, słuchając pieśni, Semko się zapominał i w jakimś błogiem rozmarzeniu godzinami siadywał słowa nie mówiąc.

Posadzano go, że w tym pięknych dziewię orszaku, jaki otaczał królowę, książę mógł sobie upodobać którąś, lecz dla żadnej nie okazał nigdy najmniejszej skłonności. Złamany na duchu nieszczęśliwem pokuszeniem o koronę, był jakby zdrętwiały.

Przyszłość swą miał już naprzód oznaczoną, spokojny był na zamku plockim z Jagiellową siostrą—nie więcej. Nie było to teraz ani wielkiem szczęściem dla niego, ani złem wielkiem. Mówił sobie, że dolą mazowieckich książąt było na dzielnicach swych dogasać.

Pomimo tego zobojętnienia jawnego, w Wielkiej Polsce, już na przekorę panom małopolskim, aby kogoś stawić przeciw ich Jagielle, znowu Piasta i Semka dobyto...

O Januszu mowy być nie mogło, a Opolski wstręt obudzał i obawę. On jeden pozostał... Wielkopolanie ci co się na zjazd wybierali, wzięli z sobą imię tego, którego w Sieradziu królem ogłosili.

Zaczęli się ściągać wezwani do Krakowa, lecz co przewidzieć było łatwo, Wielkopolan nie przyjechało wielu. Niektórzy powiadali, że gdy

ich lekceważono i na ich wezwanie nie stawano, oni też mogli się odstrychnąć.

Inni, ponieważ wojna domowa nie była całkiem zażegnana, nie chcieli odstąpić swych zamków, aby ich przeciwnicy nie zagarnęli.

Gdy dzień naznaczony nadszedł, ledwie mała gromadka się znalazła z Wielkopolski, a ta, namówiona przez Bartosza, cała poszła pokłonić się Semkowi, głosząc, że jego wybór popierać będzie.

Niespodziany ten zwrot, którego Semko nie mógł przewidywać, gdy nagle jednego rana już ostygłego i wyrzekającego się wszelkich nadziei, zachwycił, wprowadził w zdumienie nadzwyczajne i strachem nabawił.

Nie marzyło mu się już nawet o tem.

Nagle tłum ten, dobrze mu znany z Sieradzia, hałaśliwy, wesół, butny, gdy zaległ całą gospodę a Lepiecha z Bartoszem i Lasotą wpadli do komnaty niosąc księciu pokłon i nową błyskotkę, nowe jakieś nadzieje, Semko jakiś czas myśli zebrać i ópamiętać się nie mógł.

Lecz nie był on już tym niedoświadczonym młodzieniaszkiem, którego łatwo dawniej ująć było, miał w charakterze siłę i postanowiwszy raz coś, nie cofał się. Pierścień jego miała siostra Jagielly, on słowo litewskiego księcia—związany był przyrzeczeniem, i nie ufał już w tę

Wielkopolan siłę, która z przebiegłością Krakowian walczyć nie mogła...

Sam on na sobie, tym nieszczęsnym rozejmem, którym go podstępnie wzięto, doświadczył, że im nie podola. Stał więc przed Bartoszem, Lepiechą i Lasotą niemy a smutny... Słuchał ich, lecz Bartosz postrzegł, że w nim nic nie zadrgało.

Lepiecha rękę podnosząc do góry, obiecywał mu, że się złamać nie dadzą... i za nim wołać będą, i Piastów krwi wierni zostaną.

Wtórował mu Lasota, popierał Bartosz, aż gdy wszyscy skończyli, i na księcia kolej przyszła, Semko im rzekł.

— Bóg płac za dobre serca wasze. Czyńcie co one wam doradzą, ja nie mogę nic poczynąć, bom związany, a i siły nie czuję po temu, abym z Jagiellą siedł o lepszą, który im stokroć więcej przynosi.

Lepiecha wołać zaczął — że tym prawem i Hana tatarskiego na tronby wynieść można dla jego skarbów i mocy, a krwi panów swych stać się wiarołemnemi; oni zaś wiernemi zostać chcą tym, co są kością ich kości, krwią ich krwi...

Dziękował książę, lecz chłodno, nie zapaliło mu się lice jak niegdyś, nie rozgrzało serce. Pomniał tę chwilę, gdy go na tron wznoszono, aby potem bezsilnym dać na łup przeciwnika.

Burzliwie rozpoczęły się narady, lecz koniec

ich było przewidzieć łatwo, tym co znali, kto je wiodł i niemi rządził. Starzy i młodzi panowie krakowscy, byli jedną ławą, zgodni z sobą, a szli pod wodzą kilku. Działo się jak przewidzieli. Dali się wykrzyczyć przeciwnikom i wszystko co chcieli wypowiedzieć, dali wyburzyć, dozwolili odgrażać aż do znnżenia. Wstali dopiero ze swym Jagiełłą, gdy tamci znnżeni byli, a popierali go tak, iż nawet z gromady nieprzyjaciół część odciągnęli.

Dodać potrzeba, iż całe bez wyjątku duchowieństwo mieli za sobą, kościół i sprawę wiary świętej.

Zawahał się niejeden, gdy wymowni, a namaszczeni biskupi głos podnieśli, w imie Boże zaklinając o wyrwanie piekła mnogiego pogańskiego ludu.

Z czemże było stawać przeciwko tak wielkiemu dziełu i czem taką zdobycz zrównoważyć?

Donoszono królowej każdego dnia o naradach, łudziła się po troszę nadzieją, jeśli nie zwycięztwa, to rozerwania zdań, w końcu musiała uleść przemocy, i uznać, że sama tylko ratować się może, na nikogo nie rachując.

Nie złamało to mężnej niewiasty, nie ugięła się. Wilhelm był dla niej mężem, słowo mu dane w dzieciństwie świętem, szło o to, aby się z nim połączyć, a naówczas żadna siła oderwać go od niej nie będzie mogła.

Ostatniego dnia tak znaczna większość była za litewskim księciem, iż ci co przeciw byli, zwyciężonymi się uznając, zaczęli rozjeżdżać.

Pierwsi pobici na głowę Wielkopolanie, już nie pokazując się Semkowi, pierzchnęli. Bartosz nawet nie przyszedł do księcia, i on, ostatnią nadzieję rzucił na progu izby...

Do królowej poszli wysłani duchowni tylko, z Bodzantą na czele.

Nim dała im posłuchanie, wiedziała już Jadwiga o wszystkim, i silne powzięła postanowienie, jawnej zaniechawszy walki, w jakikolwiek sposób, wiary małżonkowi dotrzymać.

Napróżno mały biskup ciągle jej to powtarzał, że Wilhelm mężem jej nie był, i że błogosławieństwo w dzieciństwie, ani jej, ani jego nie wiązało. Królowa spierać się z nim nie chciała, ale potrzasała głową i dawała mu poznać, że nie była przekonaną.

Tak samo z tą wolą niezłomną, przyjęła przybywających biskupów.

Bodzanta ze zwykłą swą łagodnością, pocieszając, słodząc przykry wyrok, zwiastował jej w imię narodu postanowienie, iż rękę miała oddać Jagielle. Wszystko co tylko powiedzieć za tem było można, słyszała już Jadwigę, a nie nie mogło ją zwyciężyć. Nie uśmiechała się jej wielka sława pogan nawrócicielki...

Po Bodzancie głos zabrał Dobrogost, mówił

Radlica. Słuchała blada, niema, nieporuszona jak posąg, nieokazując już ani gniewu i oburzenia, ani jak wprzód, skarżąc się na przemoc i niewolę...

Podobną była do winowajcy, któremu głoszone wyrok, a on nie miał prawa ani się odwołać od niego, ani obronić przeciw spełnieniu.

Podniosła oczy w górę, załamała ręce, usta zadrgały, nie powiedziała nic.

Biskupi czekali, ażali nie zechce się bronić, nie będzie prosić o miłosierdzie. Przygotowani byli oni i panowie rady, choćby na kolanach ją prosić, przebłagać, wymodlić przyzwolenie.

Przeciw wszelkiemu oczekiwaniu Jadwiga pozostała milczącą, posagowo nieruchomą. Wówczas Bodzanta zabrał głos powtórnie, wzywał błogosławieństwa niebios, zaręczał, iż wszyscy modłiwami wspierać ją będą.

Milczała królowa.

Chwilę jeszcze potrwawszy przy niej, duchowni, naradziwszy się z sobą, postanowili nie nacierając więcej, dać Jadwidze czas oswojenia się z tą myślą i poddania konieczności...

Królowa natychmiast wyszła do swych komnat. Tu czekał na nią sam jeden Spytek, do którego żal miała tem większy, im więcej na nim dawniej pokładała nadziei.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Królowo a pani — odezwał się ręce na

piersiach składając Spytek — nie wyrzucajcie mi niewdzięczności, ani zdrady. W chwili gdy na skroń twą włożono koronę, wzięłaś na siebie obowiązek cierpienia dla niej. Niema litości ten obręcz zimny.

Przyklęknął przed nią Spytek, ręką odtrąciła go od siebie.

— Zostałam sama — rzekła — sama będę o swej sile szukać ratunku.

— Miłościwa pani, tu już niema żadnego... Naród cały pada przed tobą na kolana, błaga, kościół prosi...

Jadwiga potrząsnęła głową.

— Mam więc być wiarołomna? Nigdy!

Spytek mówił, narzekał, przekonywał, nie odpowiadała więcej.

Oprócz bardzo szczupłej garsteczki powierników, nikt nie umiał myśli i zamiarów królowej odgadnąć.

Ci co się pocieszali tem, że czas podziiała i złamie ten opór, niepokoiли się, pomimo to, bo od przybycia Jadwigi, nie widzieli w niej najmniejszej zmiany.

Jednemi wyrazy broniła się dawniej i teraz od nacisku, ta tylko była różnica w postępowaniu jej, że wprzód otwarcie i namiętnie występowała, teraz wszystkich zbywała milczeniem.

Nawet przyjaciółka jej Elża Emrykówna, dla której nie miała tajemnic, straciła zaufanie.

Posługiwała się starą Hildą, nie odstępował jej Gniewosz, urągając się panom, którzy z nim całkiem zerwali. Wśród dworzan snuł się Bobrek.

Natychmiast po zjeździe, Dobiesław z Kurozwęk wniósł, aby księcia Wilhelma, bodaj gwałtownie oddalić z Krakowa. Jaśko i inni przeciwni temu byli, nie chcąc drażnić więcej Jadwigi.

Bystrzejsze i młodsze niż pana Dobiesława oko, byłoby dostrzegło może żywej wymiany posłańców pomiędzy zamkiem a dworem Gniewosзовym; podarków, które noszono i oddawano, mających rozmaite znaczenia.

Poeta Suchenwirth wkładał się na zamek i wieczorami deklamował w małym kółku, po spiewie i muzyce Handslika, wiersze przez siebie ułożone na cześć Wilhelma...

Lutnista królowej wieczorami schodził do Gniewosza i wygrywał tęsknemu panu pieśni, które stanowi duszy jego odpowiadały.

Stara Hilda wykładała się nawet, przenosząc własne słowa swej pani do Wilhelma i czułe jego a krasomówne odpowiedzi. Oprócz tego Gniewosz bardzo zręcznie obie strony umiał tak usposabiać, podniecać, a obu się tak przypochlebiać, że się stał królowej niezbędnym. Książę obiecywał mu, gdy wszystko szczęśliwie do końca doprowadzonym zostanie — wyposażenie dobrami ogromnemi i najwyższemi dostojestwami.

Z góry też spoglądał podkomorzy na wszystkich i we własnym interesie popierał sprawy Wilhelma.

Przystąpiła na to królowa, zgodził się książę, iż musieli, uspiwszy czujność Dobiesława, połączyć się z sobą, albo na zamku lub w dworze Gniewosza.

Podkomorzy dowodził, że daleko było łatwiej Wilhelmowi przebranemu się wkraść na zamek, ukryć się tam pod opieką Hildy w komnatach królowej, a gdy rzecz będzie dokonana, publicznie naówczas oświadczyć miała Jadwiga, że mąż jej był z nią, a żadna moc rozłączyć ich nie potrafi.

Suchenwirth poeta, któremu marsowe i groźne oblicza polskie tem więcej dawały do myślenia, że mowy ich gwałtownej i namiętnej nie rozumiał, a rzucanie się i butę widywał codzień, szeptał księciu, że niebezpiecznem było narażać się na starcie z nimi.

— Ci ludzie, dzieci, okrutni, niepołamowani, gotowi są rzucić się na miłość waszą, zamordować nawet! Wpaść im w ręce na zamku, znaczy stawić życie. A nie będziesz miał książę nikogo do obrony, prócz tego jednego (wskazywał Gniewosza), który nie podola zbójom.

Książę nderzony był tą Suchenwirtha przestrogą. Znajdował ją trafną. Daleko bezpieczniej było, zdaniem jego, żeby królowa się wykradła

do dworu Gniewoszowego, naówczas ona była zakładem przeciwko gwałtom... Nie śmieliby na dwór napaść. W ostateczności zaś bronić się mogli i przerząć zbrojną ręką.

Tak pierwszy plan podkomorzego upadł, a Wilhelm pozostał przy drugim.

Lecz i ten wymagał czasu, przygotowań, obmyślenia. Gniewosz z Hildą mieli naprzód opatrzyć i wybrać furkę, którąby królowa wymknąć się mogła z zamku niepostrzeżona, z jedną ochmi-strzynią i podkomorzym.

Należało oznaczyć najdogodniejszą godzinę dnia, taką ażeby niebytność Jadwigi na zamku rychło dostrzeżoną być nie mogła, i nie uderzono przedweześnie na twogę...

Zakochany książę, przy całej swej namiętności młodzieńczej, był rozważnym. Gniewosz w duszy już nie rad zwłokom, nazywał go inaczej, tchórzem. Szło mu o to, aby i dostojęństwu swemu, wpadając w ręce łada jakiej gawiedzi, nie uczynił ujmy; oprócz tego, poetyczna strona przygody, którą Suchenwirth miał opiewać, musiała także być obmyślaną i piękną...

Naostatek porwanie się zuchwałe, musiało też być tak zawczasu wyrachowanem, ażeby zawód był niemożliwy...

Biegano z tem, radzono, umawiano się, a czas, upływał.

Królowa była stęskniona. Naówczas Gniewosz,

nimby wielki zamach przyszedł do skutku, wpadł na myśl tę szczęśliwą, że Jadwiga mogła wracając z przejazdki, bo tej jej wzbronićby nie śmiano, wstąpić do klasztoru Franciszkanów, do którego łatwo się było dostać księciu.

Z niezmierną radością przyjęła królowa myśl tę, obdarzając za nią podkomorzego bogatym łańcuchem, i gwałtownie dopominając się, aby ją przyprowadzić do skutku.

Książe, gdy mu to przyniósł Gniewosz, uradował się niezmiernie, myśląc tylko natychmiast jak mu się ubrać wypadnie i jak wystroić dwór swój, aby warunkom niby niespodzianego spotkania, i widzenia się z panią swych myśli odpowiedzieć.

Suchenwirth wezwany do rady, nie odznaczył się rycerskim duchem, choć sprawy rycerzy zwykł był opiewać — zamyślił się głęboko. Zdaniem jego mogło być niebezpieczeństwo, zasadzkę ktoś przygotowałby gotów... Ostrożności wymagało położenie.

Na ten raz jednak, troskliwy o swojego bohatera poeta, nie pizemógł, zwyciężyła namiętność. Książe był stęskniony, znudzony, spragniony widzenia swej paui.

Gniewoszowi polecono wprzód jednak, pójść zbadać gwardyana, a w razie gdyby to przyjsię miało do skutku, ułożyć się, aby wspaniałe przyjsię w refektarzu czekało na królowę. Wszystko

co do niego potrzebnem być mogło, książę miał dostarczyć, naczynia, słodczyce, owoce, napoje...

Podkomorzy ze zleceniem tem udał się natychmiast do klasztoru, bo wiedział jak królowa niecierpliwą była.

Ojciec Franciszek powitał go ze swą rubaszną, serdeczną wesołością i poszanowaniem, jakie u boku królowej zostającemu, przynależało.

— Ojcie gwardyanie—odezwał się Gniewosz—ja tu do was z prośbą śmieszną. Chciałbym pożytyć na kilka godzin refektarza.

Gwardyan się przeżegnał.

— Nie rozumiem — rzekł.

— Rzecz jest taka, że mój książę nudzi mi się i w małych izbach dusi, chciałby sobie ucztę wyprawić... Mogą być dostojni goście.

Odchrząknął.

— Chociażby i księciu ja na bankiet naszego wieczernika, gdzie krzyż wisi, a ubóstwo i post mieszka, dać nie mogę. — odparł gwardyan.

— Co to, nie mogę? — przerwał Gniewosz. Gwardyan ma władzę monarchiczną, co chce to robi. Chyba ojcie, niechcesz... A zważno tylko, książę nie bez tego, żeby i naczynia i zapasów nie dostarczył, myślicie, że je potem będzie odbierał. Coby to konwentowi z tego się mogło okroić! He!!

O. Franciszek, który się uśmiechał zawsze,

i tym razem rozśmiał się, ale spojrzał tak w oczy Gniewoszowi, że podkomorzy się zarumienił i zmieszał.

Gwardyan nie potrzebował nawet skarcić go odpowiedzią, bo sam on postrzegł, iż więcej siebie skrzywdził poddaniem tej myśli, niż zakonnika obraził.

— Nie to chciałem powiedzieć, poprawił się niezgrabnie, ale właściwie, iż konwent i zakon zasługęby mieli u tego domu, do którego książę Wilhelm krwią należy...

O. Franciszek przebijając paciórki u pasa, słuchał milczący. Gniewosz się schylił mu do ucha.

— Kto wie!—rzekł cicho—nasza królowa też, biedaczka, osamotniona, trzymana jak niewolnica na zamku, możeby zaszła na jaką chwilkę się tu rozerwać.

Gwardyanowi oczy pojaśniały.

— Sądziecie, że królowa przybyłaby tu? Możesz to być?

Podkomorzy głową skinął.

— Z pewnością—rzekł.

— A cóż na to panowie powiedzą? — spytał Gwardyan zasepiony.

— Zmiłuj się, ojczy, cóż oni mają lub mogą zarzucić przeciw temu? — zawołał Gniewosz — Nie żadna to schadzka tajemna... ludzi i oczów dosyć będzie na to patrzyło? Żeby królowa nie

miała prawa zabawić się, rozerwać, posłuchać muzyki, pieśni, a choćby i zatańczyć!

O. Franciszek głową pokręcał.

— Niebardzo to przystało zakonnemu refaktarzowi — odparł — ażeby w nim świeckie wyprawiano festyny, ale panom tej ziemi i głowom ukoronowanym wiele się dopuszcza bo one za wielu cierpieć muszą i trudzić się.

Gdybym pewnym był, że królowa przybędzie, i że książę i ona mieć będą orszak z sobą.

— Za to ja wam ręczyć mogę — rzekł Gniewosz.

— Dobrzeby było, aby książę Wilhelm gości więcej zaprosił — dodał O. Franciszek. — Im świadkowie liczniejsi będą, tem lepiej.

Podkomorzy przystał i na to, chociaż niebardzo wiedział na razie, kogoby mogli wezwać, bo książę nadto dumnym był, by lada mieszczanina lub szlachetkę do swojego towarzystwa przypuścić. Gwardyan, choć nie z wielką ochotą, zgodził się refektarza dozwolić. Lecz zatem szło, że potrzeba było i do kuchni książęcych ludzi wpuścić, i dla kredensów obmyśleć miejsce, bo książę Wilhelm nie mógł się obejść bez występu i tego ceremonialu, który musiał go otaczać wszędzie.

Podkomorzy pokonawszy trudności wszystkie wyszedł w końcu uradowany, spiesząc oznajmić panu swemu naprzód, że wszystko się składało jak najpomyślniej, a potem chcąc królowej dać

znać, że na przyszły czwartek, znaleźć będzie mogła księcia u Franciszkanów.

Ponieważ i gwardyana zaspokoić było potrzeba, zapraszając kogoś na te gody, nie mógł podkomorzy innego uczynić wyboru, jak księcia mazowieckiego.

Wilhelm lekce sobie bardzo ważył to księżatko, nie rad był nawet robić z niem znajomości, bo słyszał, że Semko się o koronę dobijał, lecz dowiedziawszy się, że nie miał już na nią żadnych widoków, zgodził się w końcu na to, aby i Semko znajdował się, jakby przypadkiem przy pierwszym u Franciszkanów spotkaniu.

Świadek ten nie był mu miłym, ale mógł być potrzebnym dla królowej.

Bobrkowi powierzył Gniewosz staranie o to, aby księcia skłonić do przybycia na chwilę do klasztoru. Klecha wywiązał się z polecenia bardzo zręcznie, nie mówił nic o Wilhelmie, napomknął tylko, iż wie o królowej, a był pewien, iż Semko, który starał się ją widywać jak najczęściej, i o łaski jej się dobijał, skwapliwie pospieszy na spotkanie.

Parę dni pozostawało do przygotowania wieczornego przyjęcia, książę Wilhelm zajął się niem z wielką niecierpliwością, żądając aby bądź co bądź, wystąpić jak najwspanialej.

VIII.

Na dwadzieścia cztery godziny przed naznaczonym dniem, kucharz księcia Wilhelma z pomocnikami swemi już gospodarzył w kuchni zakonnej, która nigdy jeszcze tyle i takich przyborów do przyrządzania potraw nie widziała.

Brat Protazy, który się miał za jednego z największych mistrzów sztuki, stał z rękami w tył założonemi, milczący, badając tajemnice tych potraw wymyślnych, o jakich nigdy nie słyszał.

Siekano najrozmaitsze mięsa, pieczono najdziwaczniejsze ciastka, zwane naówczas tortami, lecz nadewszystko w podziw wprawiała niesłychana ilość przypraw i ingrediencyi, których wiedeński kucharz, do wszystkiego potrzebował. Pieprz indyjski, cynamon, gwoździki, muszkatołowa gałka, kubeba, cukier, pomarańcze genueńskie, tartofoli sycylijskie, rajske ziarnka, w takiej ilości i z taką rozrzutnością były użyte, iż

pobożny brat Protazy powątpiewał, czy wymyśliły te nie były grzesznem szatana poddmuchem.

Greckie wina, których parę baryłek przywieziono, obudzały także zdumienie przedziwnym smakiem i ogniem swoim.

Nie mniej wytwornemi były naczynia stołowe, srebra, szyte obrusy, misy, solniczki przedziwnej roboty, na których stały napisy łacińskie, kubki i weneckie szkła różnobarwne.

Braciszkwowie i starsi nawet zakonnicy niektórzy przysuwali się przypatrywać tym osobliwościom, wzdychając i myśląc może, ile to pieniędzy wyrzucono marnie na te światowe próżności...

Książę od południa był tem tylko zajęty jak wystąpi, a że mu szło wielce aby włosy utrefione z rana nie utraciły połysku i świeżości, kazał je powtórnie czesać i smarować...

Fioletowo z czarnem, dla oznaczenia serdecznej żałoby, po naraźcie ze Suchenwirthem, ubrał się książę, i jeden tylko łańcuch złoty włożył na szyję, ale złożony z kilkudziesięciu tak cieniuchnych jak nici... Luksemburski Zygmunt zwykle na piersiach nosił smoka złotego, Wilhelm miał misternie wyrobioną różę liśćmi otoczoną, które ze smaragdów się składały. Obuwie ze spiczastemi nosami było złotem knte, lecz kosztowniejszy jeszcze szmiele rubinowy okrywał blaszki... Wilhelm do malowania był pięknym w tym stroju,

co mu czyniło wielką przyjemność, bo Suchenwirth i Guiewosz mówili to głośno, a wejrzenia całego dworu potwierdzały.

Zawczasu chciał być w klasztorze pierwszym, aby tam przyjąć królową i rzucić okiem na urządzenie refektarza. Bez ogródki przyznał się poecie, iż lęka się, aby woń po starych mnichach do ścian przylgła i zapach prostych ich potraw nie zatruchiwała tam powietrza.

Dla odwrócenia tej klęski, i aby atmosfera odpowiadała poezyi tej chwili, z podróżnych skrzyń dobyto dwie pokojowe kadzielnice, które we dwu przeciwnych końcach wielkiego refektarza ustawić miano.

Z wiernemi swemi kilku, gdyż służba go wyprzedziła, książę udał się wreszcie do klasztoru, na którego progu powitał go O. Franciszek prowadząc do odświętnie przystrojonego refektarza. Ażeby w nim więcej było dla gości miejsca wolnego, gdyż królowa ze dworem swym żeńskim przybyć obiecywała, stoły przysunięto do ścian, a ławy okryte podano naprzód.

Książę dosyć ze wszystkiego był rad, chociaż mało mu tego było i tylko ta okoliczność, że się w podróży znajdował, pocieszała.

Ponieważ wieczór wkrótce nadchodzący mógł ich tu zastać na zabawie, przysposobiono świec woskowych i kaganków łożowych obfitość wielką

Suchenwirth niósł przygotowany wiersz nowy do odczytania, królowa z sobą miała przywieść Handslika, flecistów, lutnistów i serby. Zabawa obiecywała się świetnie, a nstawione na stołach przekąski, owoce, słodycze, wina korzeniami zaprawne, w pięknych naczyniach, najwykwintniejszym podniebieniem dogodzić mogły.

Książę przechadzał się już dość długo po refektarzu, układając zawczasu powitanie i rozmowę swą z królową, gdy w korytarzu dały się słyszeć głosy, chód, i Wilhelm, sądząc że Jadwiga przybywa, rzucił się ku drzwiom na jej przyjęcie.

Doznał jednak nieprzyjemnego zawodu. W progu ukazał się książę Semko, a że Gniewosza nie było, nawet zapoznać ich z sobą musiał ojciec Gwardyan, co niebardzo poszło gładko. Semko ostro się stawił i zasępniony. Wilhelm dumnie i zimno. Na pierwszy rzut oka wiedzieli już, iż z sobą się nie poprzyjaźnią.

Książę Mazowiecki niełacno przed kim kark ugiął, a Wilhelm miał się za pierwszego między chrześcijańskimi książętą.

Oprócz tego wzajemnego ku sobie wstrętu i odrazy, książę Wilhelm nie rad był, że zawczasu przybyły Semko powitania z królową będzie świadkiem i słodką tę chwilę zatrjuje...

Szczęściem dla ich obu, O. Franciszek czuł się w obowiązku pośredniczenia między nimi

i zataił swą wesołością nieprzyjemne wrażenie tego zetknięcia się dwu osobistości nie stworzonych dla siebie.

Semko miał w sobie coś nieco dzikiego; mniej okrzesanego, wzrostem i postawą górował nad zręcznym i pieszczonym książątkiem, które z całą swą dumą i elegancją zmalowało przy nim.

Suchenwirth z wielką ciekawością przypatrywał się temu Piastowi, którego herbu i godła ciekawym był bardzo. Dla niego rycerz każdy cały się wcielał w swe godło...

Wilhelm i Semko ledwie parę słów zimnych zamienili, ale się pilnie nawzajem przypatrywali sobie. W tem dano znać, bo w ulicy rozstawione były czaty, że królowa jedzie... Natychmiast rzucając Semka, który nie wiedział jeszcze co ma czynić, Wilhelm wybiegł ku furcie i stanął tu właśnie, gdy Jadwiga wchodzić miała. Towarzyszyła jej Hilda, kilka panien, wojewodzina Emrykowa, dworzanie i Gniewosz.

Cały ten poczet liczniejszy, niżby była Jadwiga życzyła sobie, okazał się potrzebnym dla przyzwoitości.

Na widok Wilhelma rumieńcem okryła się śliczna twarz królowej, podała mu rękę drżącą, a wzruszenie nie dozwoliło jej usłyszeć wyuczonych słów kilku, któremi ją powitał. Trzymając się za ręce i cicho rozmawiając przeszli koryta-

rze ciemne nieco, i Wilhelm wprowadził do refektarza.

Kto widział królowę na zamku, a zobaczyłby ją tutaj, ledwie w tej wesołej z jasnymi oczyma, z usty uśmiechniętymi dziewczecze, poznałby tę smutną, zadumaną panią, której zamek wydawał się więzieniem.

Ledwie spojrziała na Semka, który ją witał u drzwi, pozdrowiła go i natychmiast zwróciła się do ukochanego. Oczy co na nią patrzyły, nie onieśmiewały jej, czuła się swobodną, bo niebyło nikogo z tych groźnych, nachmurzonych starców, których ona katami i oprawcami zwała.

Naprzeciw niej stał ten, któremu była posłubioną od dzieciństwa, mąż jej serca i wyboru, który jej przypominał słodkie chwile dzieciennych zabaw w Budzie i Wiedniu.

Była szczęśliwą. Zdawała się zapominać o jutrze, o niebezpieczeństwach, o wyroku, o niewoli.

W tym posępnym refektarzu było jej dziwnie wesoło, jakby znówu wróciła do lat bez troski.

Twarcz jej rozjaśniona, wszystkim swą wesołość narzuciła, uśmiechali się wszyscy, oprócz Semka może, którego zazdrość ukąsiła żądłem sweni w serce...

Książę Mazowiecki widząc się opuszczonym, zwrócił ku pannom królowej i wymuszona poczał

rozmowę z piękną Elżą, niespokojną trochę, kwaśno mu odpowiadającą.

Ona i jej matka, posłuszne królowej przybyły z nią, lecz to spotkanie z Wilhelmem, nappełniało je jakimś strachem. Obawiały się następstw nieprzyjemnych, — królowa była przyrzeczoną Jagielle i zdawała się zapominać o tem...

Gniewosz tymczasem gospodarzył.

Przybyłych z królową lutnistów jej z Handslikiem sadził w dobrym miejscu na ławie, a do tych się i Suchenwirth przyłączył. Panie zachęcał do łakoci.

Wilhelm z Jadwigą mogli swobodnie mówić z sobą, szmer w refektarzu cichą tłumił rozmowę.

Korzystali też z tego...

Mężnej Jadwidze, zobaczenie narzeczonego dało jeszcze odwagi.

— Królowo moja — mówił Wilhelm usiłując zdobyć się na jak najwykwintniejsze wyrażenie swych myśli. — Królowo moja, usychałem jak kwiat bez ciebie. Słońce moje...

— Mnie gniew palił i dręczył—odpowiedziała królowa—ale w tej chwili zapominam o wszystkim. Znowu razem jesteście i mam nadzieję, że się nie damy rozerwać.

— Ci okrutni tyrańcy!—odezwał się książę.— Do żadnego z nich przystąpić, przemówić, zmiekczyć ich niemożna.

— O! próżnoby było starać się o to, —

przerwała Jadwiga. — Znam ich już dosyć! Poganin kupił ich złotem swoim... Wilhelmie...

I pochwyciła go za rękę.

— Wilhelmie, jam na wszystko gotowa! Przyśleliśmy sobie, mężem i żoną jesteśmy... Trwaj mężnie, ja skruszę te więzy...

— Życie gotówem dać dla ciebie! — zawołał książę ręce składając... Jeżeli potrafisz z zamku wysliznąć się pokryjomu... uciekniemy do Wiednia.

— Nie!! — odparła energicznie Jadwiga — tu zostaniemy. Jam ich królową, tyś mężem moim, nie mi uczynić nie mogą. Mnie nie oderwą od ciebie, ty nie daj się odemnie oddzielić.

— Nigdy! — zawołał chwytając jej rękę Wilhelm.

Mówili długo jeszcze, mówili żywo, lecz Wilhelm sam nie nie mogąc obmyśleć, ani się na nie ważąc, przyjmował co mu Jadwiga wskazywała. Ona kierowała wszystkiemi, zawczasu oznaczywszy, jakim sposobem, w chwili najdogodniejszej połączyć się mieli z sobą. Królowa obiecywała, iż z zamku sama z Hildą i Gniewoszem się wygnie. Furta już była na to opatrzoną. Pod zamkiem czekać miał na nią książę.

Lecz trzeba było uspić dozorców podejrzliwych — wybrać godzinę... Tymczasem mogli się zejść jeszcze, rozmówić i naradzić w tym samym refektarzu gościnnym.

Wilhelm się godził na wszystko...

Wśród tej rozmowy, Hilda, która się obawiała, aby zbyt długo przeciągnięta, nie obudziła niepotrzebnych podejrzeń o zмовy, dała znak Gniewoszowi. Handslik stroił już lutnię... Jaddwiga siadła słuchać, a Wilhelm umieścił się tuż przy niej, tak wdzięczną przybrawszy postawę, że panny dworu królowej napatrzyć się nie mogły ślicznemu młodzieniaszkowi.

Z drugiej strony stojący Semko, choć urodziwy i młody, nie pociągał już tak serce i oczu ku sobie...

Handslik w struny uderzył, stary a dowcipny pieśniarz, wiedział co wybrać z mnogiego śpiewów liku, które miał w pamięci począł smętną na poły, na pół wesołą pieśń, której niegdyś oni oboje słuchali, pamiętali oboje...

Królowej serce uderzyło i nie obawiając się oczu ludzkich, pochwyciła rękę Wilhelma patrząc na niego... On całował jej białe paluszki...

Handslik śpiewał całą duszą, głos mu drżał, a łzy miał na powiekach — tak mu żal było cych dwojga dzieci, tak pragnął swoją królowę widzieć szczęśliwą...

Pieśń brzmiała dziwnie w tych murach klasztornych, o które niedawno psalmy żałościwe się odbijały — brzmiała i przebrzmiała...

Aby nie dać się jej tęsknicą rozmarzyć, na-

tychmiast drugi na skinienie, wesołą śpiewkę zanucił...

Furknęła jak ptaszek i zrobiło się wesoło...

Działo się wszystko wedle jakiegoś rozkazu danego wprzód, czy tak rosło jakoś z siebie, ale nikt nie kicował, śpiewacy, fletniści spoglądali po sobie i poczynali. A gdy skończyli, ledwie trochę odpocząwszy Handslik ręką po strunach przebiegał — szło tak dalej...

Stary to lutnista, który kochał swą panią i tak pragnął dać jej chwilkę wesela po tylu dniach łez i bóleści, rzucił niewidomie wszystkim...

Po ostatniej śpiewce mrugnął na swoich... grali posłuszni do tańca!! Pannom królowej liczka się zarumieniły, nóżki zadrgały. Jadwiga nie wierzyła uszom. Mogłaż ona pójść pisać z tą troską w duszy?

Sama nie wiedziała jak się to stało...

Był to ten pias stary, który dziećmi tańczyli, a królowa Elżbieta pięknej parce przyklaskiwała... Podała rękę Wilhelmowi, poszli przez salę jak dawniej, ręka w rękę śmiejąc się sobie.

Wesoła Elża, którą pierwszy strach opuścił, widząc przy sobie Semka, spojrzała nań wyzywająco... Ruszyli się drugą parą, Gniewosz wziął Dochnę, inny dworzanin Golde pannę królowej...

O. Franciszek ujrawszy to, pierzchnął z refektarza...

Pląsy te jednak nie trwały długo, sama rozbudzona do najwyższego stopnia wesołość, spowodowała smutek i niepokój.

Królowa nsiadła z główką spnszczoną... Gniewosz tym czasem kazał roznosić słodycze, łakocie i wino... Czas ulatywał piorunem, wieczór nadszedł, zapalano świece i lampki, lecz królowę ogarnął niepokój, poruszyła się.

— Powracać muszę, — odezwała się do Wilhelma. — Pojntrze zjedźmy się tu znowu. Tymczasem przygotowywać będę ucieczkę i przyniosę o niej wiadomość.

— Rozstać się znowu — jęknął namiętnie książę — królowo moja!

— Potrzeba się rozstać, aby na zawsze połączyć. Jechać muszę! Noc nadeszła.

Skinęła na Hildę, panny rnszyły się od słodyczy, dwór cały gromadził się żywo. Kilką słowami ujmującemi Jadwiga chmurnego Semka starała się rozweselić.

— Dziećmi, — rzekła do niego, — wychowywaliśmy się razem... Nawykliśmy byli zwąc się mężem i żoną, nie dziwnjcie się, że nam tak miło — tak miło znowu się zbliżyć do siebie...

Spojrzała nań słodkimi oczyma i rozbroiła.

Wszyscy szli już do wyjścia razem, Wilhelm pochylony do ucha królowej prowadził ją, kar-

miąc przysięgami miłosnemi. Był sam tak rozmarzony, że się stał nieco swobodniejszym, i o dostojęństwie swem zapomniał...

U furty klasztornej stali ludzie królowej z pochodniami.

— Po jutrze! — szepnęła Jadwiga. Oczy więcej powiedziały...

Wilhelm został u furty długo spoglądając na nią. Nie chciało mu się już powracać do pustego refektarza, ani pomyślał o pożegnaniu z Semkiem, który po odjeździe królowej, dłużej tu bawić nie chciał...

Książę wydawszy rozkazy sam natychmiast na dworzec Gniewosza powrócił, ciągnąc tylko Suchenwirtha za sobą. Poeta jechał zawiedziony i smutny, z urazą w sercu do Handslika, który mu przygotowanego wiersza nie dał wypowiedzieć.

Wilhelm całą namiętnością swych lat piętnastu był rozgorzały...

Niecierpliwił się i zżymał na zamek patrząc... odgrażał... Siadł powtarzając sobie jej słowa i uspokajając tem, że wkrótce połączą się na zawsze.

Suchenwirth przygotowywał epithalamium.

Szczęśliwie powróciła na zamek królowa, a że wszyscy więcej potrzebowali dla niej i dla siebie tać się niż chwalić z tą wycieczką do kla-

sztoru, nie rozeszła się o niej wieść nazajutrz szeroko.

Stary Dobiesław z Kurozwęk usypiał, wiedząc że zamek jest pilno strzeżony. Temu milczeniu przypisać potrzeba, iż królowa w parę dni potem mogła znowu przed wieczorem odwiedzić refektarz Franciszkanów.

Lecz jak nie się nie powtarza w świecie, tak i ta pierwsza chwila wesela nie była do drugiej podobną.

Handslik nie śpiewał z takim uczuciem i swobodą, przeczuwał on z rozmów, które go doszły, że nie tak łatwo będzie wyzwolić panią kochaną.

Wojewodzina Emrykowa nie odstępowała królowej, przypominając potrzebę prędkiego powrotu, nawet Gniewosz miał jakieś obawy.

Wszystko się spiknęło, aby zatruc im chwilę tak upragnioną. Jadwiga znajdowała przeszkody mnogie, mówiła mu wzdychając, że jeszcze raz może znajdą się tu, ale chyba za tydzień, aby nie zwracać uwagi, a potem spodziewała się... módz ujść z zamku... Gniewosz przygotowywał wszystko i strażę miał odciągnąć.

Tak się rozstali a Wilhelm wrócił więcej strwożony niż napelniony nadzieją. Suchenwirth pomnażał bojaźń jego, gdyż sam lękał się niezmiernie polskiego okrucieństwa.

Cały tydzień teraz czekać było potrzeba, na nowe widzenie się z królową! Szczęściem posły

biegały, a Hilda przynosiła własne słowa Jadwigi... Wszystko dotąd szło po myśli. Pano wie rady nie dawali znaku życia.

Tydzień żółwim przechodził krokiem. Na dzień naznaczony Wilhelm wspanialszą jeszcze niż pierwszą ucztę zgotować kazał; spodziewał się wiele po tym dniu z taką oczekiwaną tęsknicą.

Nie dano już znać Semkowi, bo go tu mieć nie chciał Wilhelm, niecierpliwy na parę godzin wyprzedził królowę, przyprowadził swoich lutnistów i śpiewaka; nawet trefnisie mieli rozkaz być na zawołanie...

Stoły zastawiono najprzedziwniejszemi łakociami... ale, królowa przybywająca do furty powitała go niewesołą twarzą, była jakby wyleknioną i niespokojną.

— O ci stróże! o ci oprawcy! — zaczęła wchodzić mówić do niego — jak oni śledzą moje kroki.

Wilhelm się strwożył.

— Mielizby przeniknąć co? zdradzono nas? — zapytał spiesźnie.

— Nie — odpowiedziała królowa — ale w ciągu tego tygodnia, codzień mi przysyłano jednego z biskupów dla nawracania, codzień któryś z tych starych przychodził. Słuchałam milcząca! Chcą odemnie krzywoprzysięstwa! o mój Boże!...

I białe rączki łamała...

Chciał Handslik, widząc ją tak smutną, począc zaraz pieśń, ale skinęła, by milczał.

Nierychło stary śpiewak mógł rozpocząć, a po nim zaraz książę swojemu kazał nucić piosnkę, którą umyślnie o dwojgu roztączonych kochankach Suchenwirth napisał.

Jadwiga podrażniona cierpieniem, rozplakała się słuchając jej.

Zagrano do tańca znowu, lecz królowa wołała pozostać z nim na rozmowie, a pauny tylko i dwór płasaly. I tym nie szło tak jak pierwszym razem...

— Tych schadzek już dosyć, Wilhelmie mój — w końcu odezwała się królowa — zejdźmy się, ale żeby się już nie rozchodzić na wieki...

W głosie jej czuć było łkanie.

— Gotowe wszystko. Gniewosz ci oznajmi dzień i godzinę, czekaj na mnie pod zamkiem. Oddaję ci się! czyń co chcesz! ucickajmy! skryjmy się, zostańmy! Tyś mąż i mężczyzna, mnie już opuszczają siły...

Młodziak choć mąż i mężczyzna, z niepokojem posłyszał, iż nadal on sam miał podejmować wszystko...

Lecz cofać się nie mógł, a namietność w nim zastępowała męztwo... Jadwiga, prędc, niż się spodziewał, kazała się do furty prowadzić... Wieczór był ciemny, wiatr dał silny, pochodnie rzucaly iskrami i gaśły, a Wilhelm stał i patrzył

jeszcze za odjeżdżającą, gdy ciemny mrok nocy go otoczył...

Z jakimś przecuciem smutnem zawrócił do refektarza, otulił się płaszczem, skinął na Suchenwirtha i dworzan i opuścił klasztor...

Przecucie nie było daremne: wistocie zbierała się burza nad tą parą rozmówianą. Dobiesław z Kurozwęk był ślepy, ale inni patrzyli za niego.

Za drugim powrotem przy pochodniach do zamku, Dymitr z Goraja podskarbi, mąż wielkiej przenikliwości i energii, chociaż do niego dozór nad tym skarbem nie należał, powziął jakieś podejrzenia.

Dość mu było wziąć na spytki Zbramira, dworzanina królowej, aby się o wszystkim dowiedzieć. Wylękle pacholę opowiedziało o schadzках u Franciszkanów z największemi szcęgółami.

Nakazawszy mu milczenie, podskarbi jednej nie tracąc chwili, pobiegł do Jaśka z Tęczyna. Tu szczegółnym trafem zastał i pana krakowskiego i Spytkę.

Ujrzawszy go wpadającego ze zmienioną twarzą, zdyszanego, porwali się wszyscy domyślając nieszczęścia jakiegoś... Dymitr zaledwie mógł mówić. Oburzało go to, iż dotąd nikt nawet o zabiegach Wilhelma i Gniewosza podstępnych knowaniach nie wiedział.

Począł więc z gwałtownością wielką. Równie jak on porywczy stary Dobiesław, usłyszawszy pierwsze słowa, zerwał się biedz natychmiast i na trwogę w zamku uderzyć, a dworzan brać na męki. Ledwie go powstrzymać zdołano, bo królowej sławę oszczędzać było potrzeba i nie zrażać jej postępowaniem gwałtownem i okrutnem.

Niezmierną trwogą wszyscy byli przejęci. Domyślał się Dymitr, przeczuwali panowie, iż królowa miała zamiar małżeństwu z Jagiełłą zapobiedz połączeniem jawnem z Wilhelmem. Nowego ślubu nie wahałby się być dać kapelan księcia.

Lecz niemożna było wystąpić przeciw królowej nie mając dowodów.

Najzimniejszej krwi a największej energii, Dymitr wszystko brał na siebie, byleby mu to zlecono i nie przeszkadzano.

Dobiesławowi powierzono tylko, gdyby się okazało, że Wilhelm czyhał na porwanie królowej, aby go zmusił do wyjazdu, choćby groźbą. Czekać miał wszakże, ażby wszystko na jaw wyszło...

Z wielkim trudem udało się podskarbiemu wymodlić cierpliwość i oględność w postępowaniu.

Najtrudniejszym do pohamowania był Dobiesław, który sobie wyrzucał, że zbytkiem zaufania i nieoględności zgrzeszył.

Podskarbi, którego koń stał u wrót, natychmiast na zamek powrócił. Środek jakiego miał użyć, aby zapobiedz ucieczce królowej i połączeniu się jej z Wilhelmem, oparty był na znajomości charakteru Gniewosza i niekczemności do której on był zdolnym.

Przez bratanka swego kazał go zaprosić do siebie.

Dymitr z Goraja w potrzebie miałby krew zimną, a panowanie nad sobą, które są najlepszą rękojmą zwycięstwa, gdy się ma z ludźmi namiętnymi do czynienia.

Wezwany do podskarbiego, Gniewosz chwilę się namyślał, czy miał iść, lub się wymawiać, ale poróżniony ze wszystkimi, nie chciał ostatecznie zrywać z ludźmi, którzy stali u steru. Z miną zuchwałą, jaką mu łaska królowej nadawała, stawil się przed Dymitrem z Goraja.

Podskarbi był zupełnie ostygłym i z twarzy jego najmniejszego wzruszenia poznać nie było można.

— Chciałem mówić z wami—odezwał się podskarbi z powagą, jaką mu urząd i związki krwi z Leliwami i Toporami nadawały.—Chciałem pomówić z wami. Znałem rodzica waszego, ubogi był szlachcic, lecz człek zacny i poczciwy.

Ostro począł patrzeć Gniewosz.

— Trzymał on zawsze z nami — mówił dalej Dymitr — od gromady się nie oddzielał. Wyście

sobie inną obrali drogę; szczęście Boże! Sądzę, że się chyba wyniesiecie precz od nas, bo tu wam żyć będzie niezdarno.

— Dlaczego? — odparł Gniewosz.

— Dlatego, że jak wy przeciw wszystkim i dziecie, tak was nikt nie zechce znać — ciągnął spokojnie podskarbi. — Kto ze swojemi w złem i dobrem nie trzyma, ten nam nie swój.

Dokąd się myślicie wynosić?

— Ja się wcale wyojczyzniać nie chcę — rzekł Gniewosz. — Cóżem to ja zbrodnię popełnił, aby mnie wyświecano?

— Uderzcie się w piersi — odparł Dymitr. Kraj cały pracuje na to, aby swą potęgę pomnożył, a wy knowaniem waszem na zgubę naszą się usadzacie...

Jeżeli sądzicie, iżemy ślepi, mylicie się. Królowej nie dopuścimy się połączyć, mimo zmów u Franciszkanów. Wilhelm może spiski głową przypłacić, a i za waszą ja nie rękę.

Wyrzekł to podskarbi z taką siłą i pewnością iż Gniewosz strwożył się i zaniemiał.

Dymitr widząc skutek słów swoich, mówił dalej.

— Znałem rodzica waszego, chcę was ratować od zguby.

Zamilkł i dał czas do namysłu podkomorzemu, który się w podłogę zapatrzył.

Milczeli oba długo; Gniewosz się zdawał za-

chwianym. W tem podskarbi, ton zmieniawszy, rozpoczął żartobliwe.

— Rakuzkie książątko wybrało się tu pono z niemałemi bogactwy w sprzętach, koniach, wozach, srebrze, klejnotach... Gdyby mu nagle uchościć przyszło, co może być, wszystko to przyjdzie porzucić...

Gniewosz podniósł głowę i spojrzał tylko, chciwość w nim się odezwała. Dymitr z Goraja mówił dalej.

— Pięknabyś wziął po nim puściznę. Ale ażeby was nie bogacić, bo niema za co, damy mu się wynieść ze wszystkiem co ma...

Podkomorzy mowę odzyskał.

— Macie do mnie żal wielki, a niesłuszny, jestem królowej sługą.

— A działacie tak jakbyście byli jej nieprzyjacielem— rzekł podskarbi, — należy ją ochronić, nie dopuścić, aby się poświęcała dla człowieka, z którym żyć nie może, choćby nawet z pomocą waszą uciekła do niego. Naówczas my, z należnem poszanowaniem skarb mu nasz odbierzemy.

Zważcie co dla was lepsze — dokończył Dymitr—czy zapobiedz ucieczce królowej, a wziąć po Wilhelmie jego skarby, czy dopomagać do niej, nie dostać nic, a popaść pod sądy?

Podkomorzy już był sam śnać rozwarzył co wybrać należało i zbliżył się do podskarbiego.

— Mówcież, co mam czynić?

— Powinniście tylko oznajmić mi, kiedy królowa z zamku wyjść myśli i którą furta, więcemnie nie potrzeba... Wilhelma potem przepłoszyć będzie łatwo, a co po nim weźmiecie, nikt was o to nie spyta.

Gniewoszowi oczy się zaiskrzyły...

— Królowejbym zdradzić nie chciał — wybąknął zafrasowany nieco.

— Nie zdradzisz jej, ale prawą drogę jej ułatwisz. Ona sama później wdzięczną będzie zato.

Łatwo się dał przekonać podkomorzy i poddał. Po krótkim namyśle oświadczył podskarbiemu, iż Jadwiga następnego dnia furta, którą mu nazwał, nad wieczór z Hildą się 'wybierała wyniść niepostrzeżona.

— Miałem ja być z nią — dodał — ale wolę towarzyszyć księciu, który pod murami na nią czekać przyrzekł.

Podskarbi z powagą wysłuchał powieści Gniewosza.

— Pomnijcie tylko — dodał — że mnie zwieść jeśli zechcecie, bezkarnie to nie ujdzie. Pobłążaliśmy wam dotąd przez wzgląd na panią, lecz nadal nie oszczędzim.

Zaklął się zdrajca i wyszedł. Z rozkazu podskarbiego każdy krok jego śledzono.

Dymitr z Goraja wiedział to, o czym potrzebował być uwiadomionym, a miał dosyć czasu

aby postępowanie przyszło rozważyć. Królowej żał mu było. Na radzie u Jaśka z Tęczyna głosowano zatem, aby u furty zastąpili Jadwidze drogę wszyscy starsi panowie rady i pokłakszy prosili ją uroczyście, by zamiaru swojego zaniechała.

Dymitr się temu oparł.—Srom będzie dla niej zbyt i rozgłos wielki — rzekł do Jaśka. — Dozwólcie mnie samemu znajdować się tam. Głową moją ręczę, że królowej nie dopuszczę dokonać tego... Pogniewa się, to na jednego mnie, a do wszystkich i do kraju żalu mieć nie będzie.

Zgodzili się wszyscy wreszcie na zdanie podskarbiego. Dzień upłynął do wieczora bez żadnej widocznej zmiany w życiu zamkowym. O swej godzinie była królowa w kościele, przyjęła potem Radlicę i kilku z panów, zabawiała się żeńskim dworem swoim. Może tylko zbliżka się przypatrujący samej pani dostrzedz mogli niepokoju na tej twarzy, zadumania, zotarguienia i obawy, jaką w niej każdy ruch żywszy obudzał.

Chodziła do okien spozierając na słońce, jakby co rychłej doczekać chciała zajścia jęgo.

Guiewosz powoływany parę razy, przychodził wcale nie dając znać po sobie, iż zmienił myśli i do zdrady się gotował.

Dwór żeński królowej jeszcze przy śpiewach około krosien i szycia się zabawiał, gdy Ja-

dwiga z Hildą wysliznęła się z komnat swoich, okryła ciemnym płaszczem, przysłoniła głowę i przejściem, które stało puste, skierowała się ku drzwiom wychodzącym nieopodal od murów i bramy, tak, że kroków tylko kilkanaście potrzebowała przesunąć się, aby znaleźć w sklepionej furcie, która prowadziła na ścieżkę za wały...

Nikogo nie napotkały po drodze.

Część ta podworca stała pustą; cień od dworców okrywał ją mrokiem. Furta, którą Jadwigą wyjść zamierzała, służyła dawniej dla czeladzi, do wnoszenia i wynoszenia różnych zapasów, a teraz stała zaparta i zapewniono królowę, że nawet straży przy niej nie było... W małym wygłębieniu stały wrota dębowe, kute, zaparte drągiem, który w mur się zakładał.

Ten zawczasu także miał być odjęty, a Hilda klucz trzymała w ręku, którym, jak mówiono, zamek łatwo otworzyć było.

Podchodząc ku furcie, staruszka wyjrzała ostrożnie i nie zobaczyła nikogo... Spiesznym krokiem obie dostały się pod sklepienie, do którego parę schodków kamiennych prowadziło. Jakież było zdumienie królowej, gdy po obu bokach wrót dostrzegła dwóch z hallabardami stojących ludzi.

Zbladła, pochwyciła za rękę Hildę, zatrzymując się na krótko, lecz natychmiast przezwycię-

żyła obawę i wahanie, posunęła się żywiej i krzyknęła na stojącą straż, aby otwierała.

W mroku nie można było rozpoznać ludzi, i oni też, jakby nie poznali królowej, nie poruszyli się z miejsca i nie zdawali gotowi usłuchać.

Jadwiga z coraz większem poruszeniem podbiegła bliżej, jednemu ze stojących własną ręką wyrwała berdysz, którego on wcale nie bronił, i zamierzyła się nim uderzyć we drzwi.

Nie rozrachowała ani sił swych, ani niepodobieństw dokonania tego, do czego ją rozpacz skłoniła...

Postradała pamięć, rozwagę: gniew i boleść w szal ją wprawiły.

Lecz było coś tak bohaterskiego w tem porwaniu się słabej istoty przeciw dzielącej ją od kochanka zaporze, że straż zdawała się gotową rozkazowi jej uleść...

Oburącz porwawszy berdysz, już miała uderzyć w drzewo, gdy zjawił się Dymitr z Goraja, z obnażoną głową stając wprost przed nią.

Zobaczywszy go, królowej opadły ręce...

— Pani miłościwa! pani nasza! co czynić zamýślasz... na Boga...

Jadwiga milczała niema chwilę.

— Widzisz — odparła gwałtownie — niewolnica wasza wybija się na swobodę, gwałtem oddzieliliście mnie od męża, idę się z nim połączyć.

Otwierać wrota! jam pani! królowa! Kto śmie mi zapierać drogę?

Dymitr z Goraja ukląkł przed nią ze złożonymi rękami.

— Ja śmiem mojem ciałem, a choćby trupem moim drogę tę zapierać. Ja! Miłość twoja może być wielką dla tego człowieka, ale węzeł ten stargany został wolą matki, wyrokiem kościoła—królowa—masz przed sobą inne i wielkie przeznaczenie. Miłość dla wiary i dla kraju twego musi w twym sercu zastąpić przywiązanie do człowieka...

Świat cały patrzy na ciebie, tysiące dusz z twych rąk zbawienia wyglądają... Pani nasza ulituj się...

Cóż pomoże to porwanie się przeciw wszystkim... Rozstawione są stráže, nie dopuszczą cię wyniść, a książę Wilhelm to zuchwałe pokuszenie się życiem może przypłacić.

W połowie już tego przemówienia, cała siła na jaką się zdobyć mogła Jadwiga, po kilkodniowej wyczerpującej ją walce, opuściła biedną.

Łzy rzuciły się jej z oczów, zadrżały pod nią nogi, Hilda podbiegła, aby chwiejącą się podprzeć i podtrzymać. Dymitr z Goraja klęczący całował kraj jej szaty. Głos jego łagodniejszym co raz stawał się, błagalnym...

Nie było środka wydobyć się zamku. Zakryw-

szy oczy biedna pani, zwróciła się, sparta na ramieniu staruszki, i poczęła iść nie wiedząc dokąd idzie... Podskarbi ujął jej rękę z drugiej strony, nie opierała się już, dając z sobą czynić co chcieli. Być może, iż obawa o zagrożone życie Wilhelma przyczyniła się do złamania tego oporu...

W przedsięwzięciu zamkowej głós Hildy wywołał żeńską służbę, która na widok osłabłej pani, przypadła ku niej i prawie na rękach ją niosąc, wprowadziła do komnat...

Drżenie gorączkowe i zawrót głowy, zmusił natychmiast Hildę, po rozdarciu sukien, położyć ją i okryć na łożu... Posłano po biskupa Radlicę wzywając go do chorej.

Z zamkniętymi oczyma, błąda, leżała królowa trzęsąc się jeszcze, a niekiedy spazmatycznym wybuchając płaczem. Na pytania Elży i Hildy nie odpowiadała tylko łkaniem. W takim stanie znalazł ją nadchodzący pospiesznie biskup, któremu Hilda musiała objawić przyczynę nagłej choroby...

Gdy na zamku zabiegano tak około królowej, Wilhelmu stojącemu z kilku ludźmi i Gniewoszem pod murami, przybiegło dać znać pacholek podkomorzego, iż wszystko odkryte zostało, królowę u wrót zatrzymano, a rozwścieczeni panowie na życie Wilhelma się sprzysięgłszy, szukają go wszędzie po mieście.

Powracać do otoczonego już domu Gniewoszewego nie było sposobu. Sam podkomorzy nie radził, należało co prędzej gdzieindziej szukać tymczasowo schronienia, dopóki by burza nie przeszła. Gniewosz zaręczał za Morszteina i korzystając z mroku, sam księcia do niego poprowadził.

Wilhelm, któremu Suchenwirth i marszałek dworu towarzyszyli, przełękły był niezmiernie, nie mógł mówić, stracił przytomność. Zdał się na swych opiekunów. Gniewosz ofiarował się go nie opuszczać.

Morsztein, którego wywołano, zgodził się ukryć księcia, ale żądał, aby nic bytności jego tu nie zdradzało... Obawiał się nawet dwóch towarzyszków... Tu się potwierdziła smutna wiadomość o tem, że we dworcu Gniewosza splądrowano wszystkie kąty szukając Wilhelma, i że cały jego dwór, spłoszony, rozbiegł się, kto konno, kto pieszo, tak że ledwie kilku ludzi podkomorzego zostało na straży. Szukano zbiega po mieście, odgrążając się na życie jego.

Gniewosz, który mężnego udawał, ofiarował się biedz, aby języka dostać i obmyśleć co czynić...

Morsztein dostojnego gościa zamknął tymczasem w swej sypialni i sam mu posługiwał.

Podkomorzy znalazł swój dworzec w takim stanie, jak mu go opisano. Zrana miał on już tę

ostrożność potrzebną, iż swoich ludzi najzaufańszych w dworcu umieścił. Ci przy poszukiwaniu księcia na straży pozostali, aby szkody nie było; ludzie zaś Rakuszanina, wszyscy uszli. Niektórzy z nich, czasu pobytu pozawiazywali stosunki w mieście i pozbiegali do mieszczan, inni koni się dorwawszy, nie oglądając się, uciekali do Wiednia...

Przepowiednia Dymitra z Goraja sprawdziła się, spadek po Wilhelmie cały, nienaruszony był w rękach Gniewosza, który cieszył się dobrze opłaconą podłością swoją.

— Co to rozum mieć? — mówił zamykając komnaty i stawiając strażę. — Teraz byle się ztąd książątka pozbyć, panem będą! Wsi nakupię ile zechcę.

Zacierał ręce... — Strzegomi nie zieść w kaszy! — mruczał. — Górą Gniewosz...

Wielką tę radość jednak pohamował wracając do Wilhelma. Miał zamiar nie zwlekając namówić go do ucieczki nocą, a nawet mu ją ułatwić, ale pocziwy, a nie wtajemniczony Morsztein, oparł się temu, bo nad biednym młodzienaszkiem miał miłosierdzie.

W obec Wilhelma, który dotąd ze strachu przyjść do siebie nie mógł, Franczek zawołał, że teraz gdy wszędzie za księciem tropią i ściągają go, byłoby nierozumem puszczać się w drogę.

Należało pozostać ukrytemu w Krakowie,

a dopiero, gdy wszystko ucichnie przebranemu wykraść się za bramy.

Choć podkomorzemu pilno było się pozbyć Wilhelma, nie śmiał rozumnej rady odtrącać. Książę też gotów był i chciał pozostać w nadziei, że królowa go obroni że się może zmieni położenie na szczęśliwsze.

Zostawując księcia znękanego na opiece Morszteina, Gniewosz na zamek wrócił, po drodze tylko zajrzawszy do dworu swego, będąc o skarby w nim zamknięte niespokojnym.

Na Wawelu panowało przerażenie i niepokój wielki. Królowa leżała chora, Dobiesław z Kurozwęk zarządzał środki ostrożności nadzwyczajne, ludzie wszyscy byli na nogach, załoga na wałach; a panowie rady wbiegali dowiadywać się o zdrowie Jadwigi.

Radlica wywoływany nienastannie, starał się ich uspokajać.

Tak zeszła cała noc, a siedząca u łoża Hilda, ile się razy zdrzemnęła, zrywała się obudzona jękiem i płaczem swej wychowanki.

Biskup w drngiej izdebce obok noc spędził na modlitwie, nie kładnąc się także... Nad ranem usnęła snem wielkiego znużenia królowa, ale dzwonek kościoła ją obudził. Powstała szybko i zażądała gwałtownie, aby jej szaty podano. Do Boga chciała iść na skargę przeciw ludziom.

Biskup Radlica łagodnie jej to odradził i ofiarował się mszę świętą odprawić w komnacie.

Mały jej opiekun miał głos tak przenikający, prosił tak łagodnie a niewzruszenie, iż mu uleść było potrzeba... W rannych szatach czarnych, bo innej barwy wdziać nie chciała, klękała się modlić, ale ledwie poczęta modlitwa we łzy się rozplynęła.

Po mszy, klął Radlica głośno jeszcze poczynając różne modły, które do stanu duszy królowej umiał zastosować.

Wstała potem, jeśli nie pokrzepiona, to z większem poddaniem się ciężkiemu losowi, jaki ją spotykał.

Gniewosz, który się ukazał na chwilę, dopytującej go Hildzie oznajmił, że on księciu życie ocalił, ale Wilhelm musiał uchodzić, bo inaczej utrzymania go nie mógł być pewnym.

Dzień przeszedł w samotnej komnacie, na głuchem milczeniu. Królowa siedziała przeciwko zwyczajowi swemu nic nie mogąc wziąć w ręce. Elża odpowiadała wzrokiem, była jakby skamieniałą.

Zbliżający się wieczór, ten spokój pozorny wspomnieniem jakimś zamącił i powrócił płacz i dreszcze, ale Jadwiga nie dała się zaprowadzić do łóżka, uklękała na modlitwę...

Gdy powstała chwiejąc się i ślaniając, znalazła przed sobą w komnacie oczekującego bi-

skupa Dobrogosta z Nowego Dworu. Królowa potrzebowała pociechy religijnej, a Radlica nie ufał sobie, aby skuteczną mógł jej przynieść. Mówił od serca, słowy bardzo prostemi, chciał wymowniejszych ust, coby go zastąpiły.

Wybór poznańskiego biskupa był bardzo szczęśliwym. Królowa go cenila wielce, był łagodnym i miał dar ten słowa, który jest darem ducha...

Dobrogost nie spieszył z rozpoczęciem rozmowy, dopiero gdy ujrzał ją nieco uspokojoną, odezwał się z prostotą i ojcowską troskliwością.

— Jeśli łzy ci ulgę przynoszą, płacz, we łzach jak w krwi ofiarnej jest tajemnica. Bóg je dał ludziom, aby go mieli czem przebłagać.

Życie nasze od boleści się poczyną, w kołębciach kończy, na ziemi w niem szczęścia szukać ślepi mogą tylko.

Królowo moja! ciebie Bóg do wielkiej powołał ofiary, aby ci dać zasługę wielką, a niema jej bez cierpienia. Chrystus cierpiał; on wzorem naszym.

Ty także bólem swym wykupisz dusz tysiące i dasz je Bogu...

— A! ojciec mój! na taką ofiarę sił mi braknie...

— Bóg je zesze! Módl się i proś Go o nie...

Rozplakała się królowa... Biskup Dobrogost

począł psalm odmawiać, a ona powtarzać go za nim.

Skończył się szeptem cichym. Dobrogost księgę zamknął i mówił znowu.

— Męczennicą będziesz dla wiary świętej, nie ubłogosławiłże cię Bóg? Poświęcisz swą miłość dziecięcą dla miłości Zbawiciela...

Ludy cię czcić będą i wieki głosić imię twoje...

Zadumała się podnosząc oczy Jadwiga, a biskup szanując jej smutek, zamilkł...

IX.

Mroźny był dzień Lutowy r. 1386; na kominię w znanym nam domu Bieniasza, palił się ogień trzaskący, wesoły, jasny. Przed nim na niskiej ławeczce przenośnej, z rękami na kolanach opartymi, z twarzą w dłonie ukrytą, zgarbiony, skulony, zgięty we dwoje, nieruchomy siedział, niekiedy niecierpliwie tupcząc nogami, Bobrek.

Dalej na ławie, średnich lat, z długimi do pół izby wyciągniętymi nogami, o ścianę oparty, odpoczywał człowiek niemiłego oblicza, pomarszczonego, z gębą zapadłą, dla przedwcześnie straconych zębów. Włos twardy jeżył mu się i nieporządnie rozrzucony, sterczał na głowie podłysiałej. Ręczyska ogromne trzymał na kolanach, a oczy miał machinalnie ku ogniewi zwrócone.

Strój nie dozwalał poznać kim był... lecz

z kroju jego można było wnioskować, że pod zbroję go używał. Pozostawiła ona ślady kędy szczególnie opięta przystawała.

Za tym nieznanym, w postawie skromnej, w sukni długiej mieszczańskiej przysiadł się gospodarz Bieniasz. Z długiego ich milczenia ponurego i westchnień, któremi je przerywali, widać było, że na nich wszystkich trzech ciężkie jakieś padło brzemie.

Prawdą to jest, że małe ciosy wywołują skargi i jęki, a srogi raz, milczeniem się zamyka... Westchnieniem jeszcze cięższem niż poprzedzające, i gniewnem splunięciem na podłogę, przerwał wreszcie tę ciszę, siedzący na ławeczce Bobrek i zerwał się z niej, stając przed mężczyzną, który na ławie na pół leżał, pół siedział...

— Postawili na swem—zawarczał—postavili, będą Jagiełłę mieli, a z nim wojnę nieustanną, bo zakon się nie da słodkimi słówkami na lep wziąć. Jagiełło mu się zobowiązał, umowa była, miał chrzest przyjąć z ich rąk i zakonowi holdować.

Złamał umowę... będzie wojna!

— Będzie?!—odparł szeptliwie siedzący na ławie. — Nie będzie ale jest, Mistrz już teraz wtargnął na Litwę!! Zrobimy mu krwawy chrzest i wesele! ha! ha!

— Jagiełło tam posłał, — odezwał się Bie-

uiaz — mówią Dymitra z Goraja, prosząc na chrzciny...

— Drwić z siebie Czolner nie da — rzekł siedzący — zdradził nas Witold, Andruszkę mamy na jego miejsce... Piekło im pomagało do tej sprawy. Szatan wszystko poplątał. W garści mieliśmy go... i Litwę całą. Hawnula tego nikezmnika zawczasu powiesić było potrzeba. On wszystkiego sprawcą i te mnichy czarne...

Mówił to z jakąś obojętnością, która się z ostremi wyrazy sprzeczała; lecz z pod tego chłodu tryskała żółć nagromadzona...

— Prędko się im zmieni to wesele, na lzy i narzekania — ciągnął dalej. — Zakon wie, że teraz w początku on najslabszy, a z Polską mieć będzie do roboty wiele, i nierychło go ztąd wypuszczą. Teraz całą siłą na niego, a jak Litwę zawojujemy, niechaj Polacy go sobie żywią. Na zdrowie!

Śmiał się szydersko. Bobrek słuchał niespokojny.

— Już to prawda, że wy wszyscy, których zakon używał, żywił, płacił i posługiwał się wami, niewarciście starego wiechcia. Coś ty zrobił nieustannie się włóczę i szpiegując?

— Co? — wykrzyknął Bobrek. — Więcej niż wy wszyscy coście w Malborgu siedzieli próżnując, gdy ja szyi nastawiał. A wiedzielibyście wy co bezemnie?

— A zrobiłeś ty choć jedno z tego coś obiecywał?

— Głową muru nie przebić — przerwał Bobrek — bezemnieby gorzej szło. Czem tu było co zrobić? Takiemi ludźmi bez głów jak ci, co Semka popierali? Kiedy w Krakowie wszystek rozum polski siedział, a w Wielkopolsce wszystka polska buta...

Siedzący na ławie ramionami trząśł, i szeroką dłonią plasnął się po nodze.

— Mówić już niema o czym... A co się z Wilhelmem dzieje?

— Kto go wie? — rzekł Bieniasz — mówią, że jeszcze tu jest, a głupią nadzieję ma, że królowa coś potrafi, choć w ostatniej godzinie... Co? jak? Pilnują jej jak oka w głowie... A on się tuła ścigany, z kąta w kąt. Krył się u Morszteina, po tem na Czarnej Wsi, w Łobzowie... Prawią że gdy go raz szukali, nieboraczątko na bancie w dymniku siedział, że się sadzami umazał cały...

— Gniewosz go zdradził — zawołał Bobrek. — Gdyby nie on!! Tegoby powiesić bez sądu.

— I wszystko zabrał — a były skarby wielkie — dodał Bieniasz wzdychając...

— Gniewosz jak Gniewosz — mruknął siedzący — królowa go zdradziła. Gdyby nie chciała Jagiełły, coby panowie poczęli!

— A jak mogła się oprzeć — rzekł Bobrek —

wszyscy biskupi i duchowni umawiali, prosili, błagali, a modlili póty, że musiała się zgodzić.

Nie dawali biednej spoczynku...

Po krótkiem milczeniu, z ławy odezwał się bezębny, bardzo cicho.

— Jeszcze my na Opoleczyka trochę rachujemy, człek skryty i zawzięty. Spodziewa się, że teraz gdy wszyscy sądzą się bezpiecznemi, zamek może opanować; a ma garstkę jakąś za sobą, kto wie?

— Śni się jemu i wam — krzyknął Bobrek... Nigdy tego nie dokaże... Mają oni oko na niego...

— Nie ręczyć za nic — szepnął bezębny... A z Semkiem co się dzieje??

Bobrek pogardliwie usta skrzywił.

— Ten już syt — będzie miał, mówią, siostrę Jagiellową, dziewczkę młodą i piękną, dadzą mu wiano za nią Kujawy, albo inną ziemię. Czego ma więcej pragnąć??

Zaśmiał się klecha.

— Jam tam koło niego i jego kanclerza się kręcił, wiem wszystko, a człowieka po dziś dzień nie rozumiem. Korony mu się chciało gorąco i odechciało rychło... Do Krakowa przybywszy, w królowej się daremnie miłował. Zrobili z nim co chcieli. Teraz na Jagiellę czeka, a potem z żonką do Płocka i wszystko skończone.

— Przecie rycerskiego ducha miał? — zapytał bezębny.

— I ma go pewnie, ale ojcowskie rady a Janusza przykład, rozumu nauczyły... W Krakowie tu, patrzeć nań było potrzeba... Męczarnie cierpiał ten człowiek rwiąc się i hamując. Zawiało z Wielkopolski nadzieją, latał jak opętany, żeby się jej nie dał uwieźć; zaleciało co z Litwy, korzystał się i milezał; panowie go czem złudzili, roili, że mu jeszcze co dadzą. Królowa nań czasem łaskawą bywała, myślał może, iż Wilhelma zastąpi.

Teraz z tego wszystkiego tyło tylko... że białą żonkę weźmie i królowi będzie powinno-waty; ale panowie nie dopuszczają do tego, czego chce, żeby im się mieszał do rządów...

— Gdyby umiał!! — rzekł Bieniasz.

— Nie, ja mówię wam z tym człowiekiem skończono wszystko; dzieci będzie na kolanach kołysał, po lasach wilki bił i żonę całował... — zamknął Bobrek.

— A na zamku co się dzieje? — zapytał siedzący na ławie.

— Jam tam dziś był, bo wstęp mam zawsze — rozpoczął ochotco Bobrek. Z klerykami królowej Michalonem i Jaśkiem drużbę mam wielką, a i paui Hildy łaski... Jagiełło już na ślub jedzie, a królowa się jeszcze ze swoim losem pogodzić nie mogła.

Posyłała, słyszę, Zawiszę z Oleśnicy, przysięgę od niego wzięwszy, że podarku żadnego od Ja-

gielly nie przyjmiej, aby go na oczy widział i prawdę jej przywiózł o nim, bo go opowiadali jako dzikie zwierzę strasznym.

Ale Jagiello poznał z czem przybył i ująć go sobie umiał, a panowie też nagrozili mu; przybył z tem, że poganin niczego.

Wilhelmowi przecie, co jak laleczka wyglądał, podobnym nie będzie...

Chodzi królowa po komnatach i ręce zalamuje, a godziny liczy chcąc je przedłużyć, taka ją ogarnia trwoga.

— Nie darmo! — przerwał bezzębny. — My lepiej od wszystkich Jagiellę znamy... natura dzika, ponury, mrnk... w lesieby siedział tylko, niedzwiedź prawy.

— A to pani, jak gołąbka biała! — dodał Bobrek ręce składając — ani się ja dziwuję tym co się w niej rozmiłowują, ale dziwię, że nad nią litości nie mają.

— Biskupi ją za to obiecali uczynić świętą — rzekł Bieniasz.

Bobrek nie mówiąc nic, skrzywił się dziwacznie.

— Kiedyż niedzwiedź przybędzie? — zapytał siedzący.

— Prawią, że jutro — szepnął Bobrek...

Poruszył się krzyżacki posłaniec z ławy i zeicha z kłechą naradzać zaczął. Bieniasz wstał i przeszedł się po izbie.

Wieczór był późny — i gość zażądał postania; szli wszyscy kwaśni na spoczynek.

Nazajutrz wstał dzień jasny, zimowy, mroźny, i wszystko w mieście się sposobiło na przyjęcie litewskiego księcia.

Znaczniejsza część tych co go na tron prowadzili, wyjechała naprzeciw niemu, w mieście więc tylko kupiectwo i lud pospolity, a na zamku królowa z dworem swym i częścią duchowieństwa, które jej nie odstępowało, oczekiwali na przybycie Jagielly.

Lecz jakże różnie dziś było miasto od tego, które niegdyś na wjazd młodej królowej wysypało się całe z taką radością, z uniesieniem, z szaleństwem.

Na Jagiellę oczekiwno z trwogą, a choć wodzowie wiele sobie po nim obiecywali, pospolity lud widział w nim zawsze poganina, którego natury chrzest nawet obmyć i odnowić nie mógł.

Lękali się, aby dla tego pana, który nie znał obyczaju ani nawyknień polskich, wszystko się cofać nie było zmuszone i uczyć litewskiej dzikości!

Zechceż on poszanować prawa? nie spróbuje rządzić samowolą, jak u siebie w domu?

Milcząc, z obawą i niepokojem spoglądano w stronę, z której miał przybyć? — z takim uczuciem jak na nadciągającą chmurę z burzą — minie li ona, czy zniszczy??

Jedni opowiadali siłą dobrego o nim, złoto rozrzucał garściami, ziemię rozdawał milami; drudzy grozili, że w gniewie końmi każe rozrywać i bić kołem...

Semko, przyszły szwagier króla, z resztą panów w Krakowie pozostała, wyruszył na spotkanie Jagielly do Sandomierza, z mniejszą niż inni trwogą, lecz niespokojny i upokorzony.

Panowie krakowscy wzięli go pomiędzy siebie chętnie, a uprzejmy Spytek, jako księżęciu pierwsze miejsce mu dawał. Zastali litewskiego księcia na zamku jeszcze, w izbie, której jedyną ozdobą był ogień na kominie. Odziany prostem kożuchem baranim, siedział z dobrą myślą, w którą go wesołe rozmowy Krakowian wprawiły, za stołem, na którym jeszcze misy stały opróżnione i kubek z wodą przed nim, przysłuchując się, uśmiechając, zrzadka sam wtrącając słowo. Twarz jego zwykle dosyć posepna, rozjaśnioną była... Otaczający też panowie rady, czynili co mogli, aby go rozechmurzyć...

Przyszły król odzywał się do nich krótkimi słowy, pospieszną, niewyraźną mową, po rusku... Oglądał się potem trwożliwie czy go zrozumiano, a rad był, gdy się o tem przekonał.

W rozmowie więcej uszami niż usty brał udział... Książęta bracia towarzyszący mu siedzieli na ławach, do koła stali panowie, dalej odpoczywali niektórzy w kącie zabrawszy miejsca.

Trudno było poznać na pierwszy rzut oka w tym człowieka ubranym tak skromnie, niewybitnych rysów twarzy, tego co miał przyszlemu z dwóch wielkich narodów złączonemu państwu królować...

Wchodzącego z innemi Semka, który się przystroił okazale, i szedł w niemniej świetnym orszaku, Jagiello poznał na pierwsze wejrzenie — i uśmiechnął się. Rad mu był.

Od czasu jak się w Wilnie widzieli potajemnie, on mu Drohiczyn wziął i część Mazowsza splądrował i zniszczył, lecz obiecywał sobie, że to nadgrodzi.

Szeroką, silną dłoń wyciągnął naprzód ku niemu, potem witał innych uprzejmie, z wielu się zapoznając dopiero, bo po raz pierwszy słyszał ich imiona. Królowi w kozuchu i prostych skórzniach, wydali się aż do zbytku strojnemi przybywający, lecz nie mógł się na swój orszak poskarżyć... Żaden król piękniejszego pożądać nie mógł.

Jaśko z Tęczyna i Mikołaj z Brzezia, szepotali tylko na stronie, iż na wjazd do Krakowa prosić trzeba, aby przywdział szaty stanowi odpowiedniejsze.

Hawnul im to przyrzekał.

— Na tendzień i sobole włoży!—mówił, i buty z nosami, ale nie żądajcie jednej rzeczy tylko,

aby dla was i z wami wino lub miód pił, bo tego nie uczyni, i jablek mu na stole nie stawicie...

Po chwili Jagiello powstał z ławy i zwrócił się ku księciu Mazowieckiemu, patrząc na niego z życzliwością wielką, ujął za ręką Semka i poprowadził do otwartej obok komory.

— Będziesz mi bratem — rzekł żywo a krótko, jak był zwykł — ale stójże wiernie przy mnie... Olga na ciebie czeka — dziewczka młoda i krasawica!

Rozśmiał się i w twarz go pocałował.

— Dam wam wiano dobre... ziemi szmat — mówił ciągle się śmiejąc — a gdy mi się znuży na dworze w Krakowie, przyjadę na łowy... Olga mi zwarzyć każe litewską strawę, i u was będę mógł chodzić w kozuchu...

Semko trochę zmieszany z początku, uczuł się wreszcie dobrocią tą ujętym.

— Możecie mi zaufać — rzekł — będę wam bratem i sługą wiernym...

Jagiello obejrzał się za siebie trochę trwożnie i westchnął.

— Kto wie, komu tu z tych pięknych panów wierzyć można? Mówią tak gładko, klaniają się tak nisko... ja się ich lękam trochę.

Semku mój, my musimy iść dłoń w dłoń, pamiętać...

Po małym przestanku, Jagiełło się obejrzał i znowu zaszeptał żywo.

— Dali ci oni biedy skosztować, a tyś im wierzył... Wodzili cię, wodzili, i tyle tylko, żeś dużo postradał, ale ja ci wszystko nagrodzę. Z Olgą życie będzie szczęśliwe.

A na przyszłość, Semku, pamiętaj co ja mówię zawsze i trzymam. Naprzód się nie wyrywaj, w tyle nie zostawaj. Środka się dzierz *).

Semko milcząc przyjmował rady i obietnicę... Zagadał jeszcze Jagiełło o łowach, spytał o lasy na Mazurach, potem o drogę do Krakowa, i zwłóczył z wyjściem do panów, bo z Mazowieckim księciem czuł się jakoś bliższym i poufalszym.

Oba potem wrócili nazad do pierwszej komnaty, zajął miejsce swe na ławie litewski książę. Semka przy sobie posadził, okazując widocznie jak mu sprzyjał, i począł się znowu opowiadaniem przysłuchiwać i rozmowie...

W tym orszaku panów, którzy go w istocie sami, przeciw wszystkim na tron wzniesli; — z nadzwyczajnym przepychem i okazałością, przy huku trąb i bębów, wjechał do przyszłej stolicy swej Jagiełło...

Mała ilość Litwinów, która mu towarzyszyła,

*) Jest to znane przysłowie rusińskie. Wperod nie wyrywajsia, z zadu nie ostawajsia, sere diny derżys — Długosz świadczy, że król to często powtarzał.

w większej części przybrana tak, aby się nie odznaczała powierzchownością, prawie niewidoczną była, utonawszy w liczebnie daleko znaczniejszej polskich panów i ich dworów...

Miasto wysypało się na spotkanie, lecz stało nieme, nie wiedząc czy się ma radować, czy trwożyć.

Oblicze przyszłego pana nie wydawało się groźnem, więcej na niem malowała się nieśmiałość jakaś i niepewność. Oczyma rzucił żywo, ciekawie i prędko je odwracał...

Cały ten orszak przeciągnął w śród grodu i wężem, powoli wjechał długo się wlokąc na Wawel, gdzie nań czekała królowa.

Dlaczego Semko przy pierwszym tem spotkaniu znajdować się nie chciał, i wymknął się do swojej gospody?

Oddanym był Jagielle; przecież ta piękna królowa z anielskim wyrazem twarzy zbolącej, budziła w nim uczucie jakieś politowania i zazdrości, że świadkiem jej trwogi i bóleści być nie śmiał, nie mógł.

Lecz wieczorem dworzanin z zamku przybiegł do Jagielly wzywając. Semko zawahał się nieco, ale odmówić nie było można. Jechał więc na Wawel do niego.

Wstępując na próg, znalazł Jagiellę otoczonego duchowieństwem. Biskup Dobrogost, Bodzanta i Radlica przyspasabiali go do obrzędu chrztu

świętego, który miał ślub i koronację poprzedzić. Jagiello stał z twarzą zmęczoną nieco i jakby wylekła, potwierdzając skinieniem głowy i szepkami co mu mówili biskupi.

Bodzanta zabierał się go żegnać, odchodzili; z nim towarzysze jego — Semko sam na sam pozostał z Litwinem.

Ten stał jeszcze przy stole zadumany i w sobie zatopiony. Zwrócił się powoli ku księciu i pozdrowił go głowy skinieniem.

Pierwszem słowem, które mu się z ust wyrwało, było żywe i niewyraźne.

— Pięknaż ta królowa moja!! takiej piękności ani ja snił ani widział kiedy... na królowę stworzona była...

Spuścił oczy.

— A no... drżała i bladła niebożatko, patrząc na mnie. Semku! czym ja tak straszny?

Książę, któremu wyrazów tych przykro słuchać było, potrząsał głową.

— Jej, jej, nie jedno królestwo, ale wszystkie tego świata państwa nie żał położyć pod nogi...

Z za frasunku jakiegoś, uśmiech się wysunął na usta i szepnął cicho...

— A będzież mnie ona kochała?...

Głową potrząsał i dumał...

Książę nie zebrał się jeszcze na żadną odpo-

wieść, gdy Jagiello o różne drobne zaczął go rozpytywać szczegóły...

— Przywiozłem dary — rzekł — wyście ich nie widzieli? No, wydawały mi się piękne, gdy je Hawnul w Wilnie dobierał, ale gdy je oddawano, znalazłem je nikczemnymi!

Patrzała na nie takimi oczyma?

Dałbym jej cały skarb mój.

Dopiero Semko przebaknął, że w takiej chwili trwogi, królowa nie mogła wagi przywiązywać do marnych rzeczy. Więcej patrzeć musiała na przyszłego męża.

Uśmiechnął się ale smutnie Jagiello, nie powiedział nic.

Siedli potem rozmawiać poufnie jeszcze... O każdego ze starszych panów, choć mu Hawnul mówił już o nich, rozpytywać począł troskliwie, i znowu słuchał już więcej niż mówił, wyzywając tylko Semka, a coraz mu podszeptując.

— Bądź ty mi bratem wiernym. Ja nie wiem komu wierzyć! ufać komu!

Książę ledwie późno w noc zdołał się uwolnić i pożegnać Jagiellę...

Z trwogą jakąś i westchnieniem mówił o jutrzejszym chrzcie swoim i braci, jak gdyby się lękał jeszcze tych bogów, których się wyrzec musiał.

Duchowieństwo tłumaczyło mu jego dawną wiarę jako cześć szatana, a Jagiello tej złej mocy, nawet chrześcianinem zostawszy, obawiał się zaw-

sze i mrucał, że panu Bogu świece palić trzeba, ale i djabłu nie zawadzi ją postawić.

Od tego dnia Semko nieodstępnie prawie musiał być na dworze, przy królu, który nim już posługiwał się jak bratem. Służył jemu i panom nieraz za pośrednika, gdyż król nowy wielu rzeczy nie był świadom i zrozumieć ich nie mógł.

W dni kilka po koronacyi i ślubie, gdy wszystkie uroczyste obrzędy szczęśliwie się odbyły, a z nowego pana niesłychanej szczodroty, wszyscy byli szczęśliwi, bo obdarzał tak, iż zdawało się że i skarb swój, i ziemie, jakimi rozporządzał wszystkie rozda do razu, we dworcu Jaśka z Tęczyna, znowu się zebrali ci co tu dotąd rej wjeżdli. Dymitr z Goraja, najprzenikliwszy z nich wszystkich, przynosił im wiadomość niemiłą i trwożącą.

— Wilhelm uparty dotąd się znajduje w Krakowie — mówił — kto wie co zamierza! Jego się nie obawiam, lecz są poszlaki, że mu tajemnie sprzyja Władysław Opolski, choć Jagielle się poddał i kłania. Knują coś i niedaremnie go tu chowają.

Jagiello jest podejrzliwy, zazdrośny, podszeptują mu już coś zli ludzie.

— Lecz gdzieżby Wilhelm się miał ukrywać — przerwał Jaśko z Tęczyna.

— Gdzie? Jeżeli mógł raz siedzieć w czeluściach komina, gdy go na Czarnej wsi szukano,

może teraz kryć się w lochu albo pod przebra-
niem jakim...—dodał Dymitr z Goraja... Gniewosz zdrajca, który z kolei wszystkich zdradzać
gotów, może jego trzymać a Jagielle donosić
o nim.

— Na rany pańskie! ztąd go wygnać po-
trzeba — krzyknął Mikołaj z Brzezia.

— Tak jest, naprzód go znaleźć musimy! —
odparł ciężko jęknąwszy Dymitr z Goraja.—Czy-
nię co w mojej mocy. Straże stawię, ludzi roz-
syłam, szpieguję. Donoszą mi, że w Łobzowie
siedzi, pędzę do Łobzowa, łóżko jeszcze ciepłe,
było ptaszę ale już furknęło.

Lecę do Morszteina domu, na stole kapelusz
z piórem porzucił, poznaję go z opisu... choć
Franczek się wypiera, trzęsę od piwnic do
strychn... zniknął...

— Ale któż mu pomaga? Kto ostrzega?—za-
zawołał Jaśko z Tęczyna. Koniec temu być musi.
Zagrozić trzeba...

— I wrzawy przyczynić?—spytał Dymitr—aby
król się dowiedział, królowę podejrzewał, i w po-
czątkach zaraz to małżeństwo ledwie skojarzone
się rozchwiało niezgodą!!

Musimy po cichu działać i ostrożnie, lecz...

— A na dworze królowej — odezwał się mil-
czący dotąd pan krakowski, może tam ma kogo...
Gniewosz...

— Za Gniewoszem chodzą moi ludzie — westchnął Dymitr.

— Lecz jestże on tu naprawdę? czy to strachy tylko i baśnie, bo niczego pewni nie jesteśmy — mruknął Dobiesław.

— Jam pewny, że jest... chybaby dopiero dziś się wymknął — odpowiedział podskarbi...

Naradzali się długo, a w końcu to tylko postanowili, iż cicho, a nie uwiadamiając króla, należało Wilhelma wytropić i strachem zmusić do ucieczki...

Okrutniejszy od innych Dobiesław z Kurozwęk po cichu mruczał. — Choćby go i ubito... płakać nie będziemy...

Z tem odszedł pan Dymitr z Goraja.

W drodze na zamek jadąc, skrzyżował się z Gniewoszem, zdążającym do miasta i zatrzymał. Zwrócił się do niego.

— Wilhelm wasz siedzi tu po kątach się kryjąc i spiskuje — rzekł — jeżeli wy mu posiłkujecie!

Podniósł rękę i pogroził.

— Ja! — zawołał podkomorzy — ja! a coby mi potem było?? Wiem, że Wilhelm jest, nie wiem czego dosiada... ale ja w to palców nie maczam. Byłem sługą wiernym królowej, jestem wiernym sługą pana...

Ruszył ramionami i jechał dalej.

Podskarbi wrócił na zamek. Ledwie komnatę

otworzył, gdy nadbiegł mały Zbramir, pachole królowej, ten który pierwszy o schadzках u Franciszkanów wszystko wyśpiewał. Chłopak był jak rozgorączkowany.

Grali przed godziną w warcaby z Bobrkiem i poważnili się. Klecha zwykle cierpliwy, przy grze stawał się złośliwym i gniewnym. Łajać się poczęli i wymyślać sobie, a że Bobrek język miał lepszy Zbramir odszedł ze zmytą głową.

Złe chłopię biegło się mścić i szeptało podskarbiemu, że Bobrek to był co z księciem Wilhelmem królowej dawniej stosunki ułatwiał, a pewnie i teraz nie jest obcym temu, co się dzieje...

Dymitr z Goraja dotąd wcale o klesze nie wiedział, lecz nie zasypiał, gdy potrzeba było działać. Miał swych ludzi, dwu wypuścił w tropy. Szczęściem było dla krzyżackiego szpiega, iż w Polsce, jak zawsze, tak naówczas, nie posądzano nikogo, zbliżka nie przypatrywano się ludziom. Ośmielony tem obracał się, suknią, która go obraniała od posądzeń, okryty, z bezprzykładną zuchwałością.

Łatwo więc było dwom obeznanym z miastem a mileczkiem chodzącym ludziom podskarbiemu, połapać różne poszlaki... Wiedzieli w mieście niektórzy, iż do Bieniasza różni ludzie z Niemiec i od Krzyżaków zajeżdżali... a Bobrek tam był jak w domu... Zkąd się Klecha wziął.

każdy powiadał inaczej, bo on też przed każdym kłamał w inny sposób...

Z wiadomości podskarbiemu przyniesionych złożyło się coś tak poplątanego, a podejrzanego, że nie mieszkając szepnął, aby go po cichu ujęto, i na wieżę Dorotkę na zamek przyprowadzono...

Klecha wcale nie przeczuwał, cò mu groziło.

Powracał wieczorem z miasta, gdy przed samą prawie kamienicą Bieniasza, i w oczach jego, bo gospodarz nań czekał i stał nieopodał, dwaj pacholcowie chwycili Bobrka, głowę mu zatkali i w mroku, niepostrzeżeni z nim zniknęli.

Gospodarz przerażony, nie usiłując nawet ratować go, pobiegł pędem na górę...

Tu siedział jeszcze ów wysłaniec Krzyżacki, który przybył, aby chrztu i koronacyi być tajemnym świadkiem.

— Bobrka pacholcowie zamkowi pochwycili! — krzyknął wpadając do izby — biada mnie!

Bezzębny, który niedbale się na ławie wyciągał, zerwał się jednym skokiem i stanął wśród izby.

— Gdzie? jak?

Powtórzył Bieniasz wiadomość głosem drżącym.

— Wiesz, że pacholcowie miejscy byli? — zapytał Krzyżak.

— Znam ich dobrze, imiona wiem... wątpliwości niema.

Stary potargał włosy.

— Na twój dom już czyhają — rzekł — i ja tu nie mam co robić dłużej, pójdę do Greka.

To mówiąc począł żywo z ławy zbierać odzież i uzbrojenie...

— Na tem nie koniec — zamruczał. — Jeżeli na zamek go wzięli, to o coś podejrzewają, a ja Bobrka tego od szczenięcia znam. Gdy go na męki wezmą, wszystko co wie i czego nie wie wyśpiewa...

Bieniasz ręce załamał.

— Nie już ty na zamku nie masz nikogo?—dodał Krzyżak i ręką pokazał jakby głowę urywał.

Gospodarz drżący, rękami wywijał.

— Chcesz ty być cały i żebyś po staremu chleb od nas miał...

Tu znowu stary rękami obiema pokazał sobie na szyję.

— Nikt się za tego psa nie upomni—rzekł.— Służył on nam, ale kto wie komu jeszcze i komu szczerze? Nie pożałuje go nikt, nawet matka rodzona...

Krzyżak dobył worka rękami drżącemi, rozwiązał go na stole, garsć srebrnych pieniędzy wyjął z niego i wcisnął je milczącemu Bieniaszowi.

— Idź zaraz, jutra nie czekaj, póki go na spytki i na męki nie wezmą, póki nie wyda nas i was... Idź...

Namyslał się jeszcze Bieniasz, lecz Krzyżak, który się sam odziewać zaczął, popchnął go i zmusił niemal, aby natychmiast spełnił rozkaz jego...

W krótkce potem w gospodzie Niemca nie było nikogo, a Bieniasz nie powrócił aż późną nocą i wróciwszy nie położył się na spoczynek, dopóki całego dzbanka wina nie wypił wzdychając i jęcząc. Padł potem jak kłoda na posłanie.

Nazajutrz rano z sędzią krakowskim i pisarzem kroczył pan Dymitr z Goraja do Dorotki, w której Bobrek był zamknięty. Stróż więzienny, na dany rozkaz, wzięwszy pęk kluczy, powlókł się przed nimi przodem z kagankiem, bo więzienie było ciemne...

Odparł drzwi powoli, mruczając i sam naprzód ze światłem wszedł, ale kroków ledwie parę postąpiwszy, krzyknął. Kaganek o mało mu nie wypadł z ręki...

W ścianie lochu hak był wbity dość wysoko. Na nim, kawałkiem grubego sznura za szyję ujęty, wisiał już żółty i ostygły klecha...

Barłóg słomą świeżą wysłany pod nogami jego, cały był zmięty i rozrzucony, jak gdyby śmierć poprzedziła jakąś walka, czy rozpaczliwe miotanie się...

Dymitr z Goraja stanął zżymając się i rzucając gniewnemi oczyma, stróż głosem drżącym, przestraszony, tłumaczył się, że gdy wczoraj więźnia przyprowadzono, już mu z oczów bardzo źle

patrzało, rozpaczał straszliwie, rzucał się i bił o mur głową, oczywiście było, że w tym szale sam się musiał obwiesić.

Kazano odciąć trupa i opatrzyć odzież jego, czy nie miał przy sobie pisma jakiego. W istocie znalazły się w kieszeni jednej zwitki pargaminowe, ale po rozpatrzeniu ich przez pisarza, okazały się modlitewkami i egzorcyzmami. Zresztą nie miał więcej nic...

Zawiedziony w nadziejach swych, nakazawszy milczenie o tym wypadku, podskarbi powrócił, zmuszony innemi środkami starać się powziąć wiadomość o księciu Wilhelmie.

Pomimo najusilniejszych zabiegów, nie powiodło mu się nic, nad próżne chwytać pogłoski... Zdawało się, iż Wilhelm to tu, to ówdzie się przenosząc, siedzi w Krakowie. Morsztein, któremu na ratuszu zagrożono, pod przysięgą zeznawał, że od dłuższego już czasu nic o nim nie wie.

Nie zaprzeczał temu, iż mógł się znajdować w Krakowie, lecz gdzie i kto go ukrywał, powiedzieć nie umiał.

Gniewosz, nie bez złośliwego szyderstwa, zapewniał podskarbiego przy każdym spotkaniu, iż Wilhelm pewnie się znajduje w Krakowie, lecz takich ma przyjaciół, którzy umieją przed oczyma wszystkich go ukryć.

Powszechna ztąd urosła baśń, powtarzana

wszędzie, że Wilhelm nie chciał Krakowa opuścić, ani się wyrzec nadziei.

W Wiedniu tylko wiadzano, dobrze iż postradawszy skarby znaczne, zawiedziony, zrozpaczony, chory, biedny Wilhelm z gniewem i upokorzeniem, samotnie i tajemnie powrócił i wyprawy swej nie mógł przebaczyć losowi, co go naraził na nią.

Suchenwirth podać obiecywał do nieśmiertelności dzieje tego złamanego serca, zaniedbanych puklów pięknych włosów, doznanych niewygód, i niewdzięczności ludzkiej.

Gniewosz z Dalewic, jak przyrzekł sobie, w krótcie potem wioski nabywać zaczął, i urósł ze spuścizny po Wilhelmie na wielkiego pana... którym mali i wiele pogardzali.

X.

Na zamku w Płocku znowu było cicho i pusto, lecz zdawał się on na nowe oczekiwać życia. Znać było wszędzie staranie, aby ślady zaniedbania i czasu, nieopatrzonej ludzkiej i wojennych dni zatrzeć. Mury były poobielane, ponaprawiane dachy, piaskiem powysypywane podwórza, sieni wysłane liśćmi zielonemi!...

Krzętałi się jeszcze gdzieniegdzie z miotłami ludzie, a nie liczny dwór pozostały okazywał się kiedy niekiedy na przedsieniach w odzieży nowej...

Zmienila się bardzo postać zamczyska od tych chwil, gdy tu częstym gościem bywał Bartosz z Odolanowa, szlachta wielkopolska i rycerstwo, zbierane zewsząd dla obrony i na wojnę...

Nie widać już było wojennych przyrządów, ani tej czujności około bram miasta i grodu jak

dawniej. Miasto miało to oblicze czasów spokoju, podobne wiosce, jakie wszystkie polskie miasta rolnicze przybierały, gdy od groźby najazdu były wolne. Pługi i radła wlokły się ulicami, wozy z sianem i zbożem zalegały rynek... W miejskich wrotach prędzej róg pastuszy i kołatki krów usłyszeć było można, niż trąbę straży. Stały też one niestrzeżone, otworem, a zajrzawszy do baszt, prędzej w nich kozę było można znaleźć niż człowieka.

Jedne tylko wrota dworu kotlarza Pelcza były dzień i noc zamknięte i strzeżone od czasu, gdy książę Henryk pozwolił tu sobie wtargnąć, i pochwycił piękną Anchen córkę Niemca, którą mu wprędce odebrano. Duchowieństwo, którego suknię nosił, nie dopuściło jawnego zgorszenia i młode książątko, od brata Janusza surowo zostało zagrożone, jeśliby się dopuściło nowego jakiego wybryku.

Krótko to skutkowało, bo najmłodszy z mazowieckich książąt, coraz głośniej zapowiadał, że ciążącą mu sutannę zrzuci i żony sobie szukać będzie. Tymczasem po całych dniach na probostwie go i na zamku nie było, a szukać musiano po lasach, po chatach i oddalonych osadach.

I tego dnia też nie znajdował się książę Henryk w domu, chociaż wiedział, że Semko, po weselu w Wilnie z Olgą Aleksandrą, siostrą Ja-

giełły, wyposażony bogato, miał właśnie młodą żonę przywieść do Płocka.

Oczekiwało tu na wiadomość o zbliżaniu się księcia, mające przyjmować duchowieństwo, urzędnicy i dwór, który na miejscu pozostał.

Czekała na to dziecię swe stara Błachowa, ale nie z taką w sercu radością i pociechą, jaką by mieć mogła, gdyby drugie jej dziecię, ukochna Ulinka, jak niegdyś, śpiewając wesoło, z nią razem wyglądała umiłowanego brata.

Ulinka, piękna niegdyś Ulinka, wychudła i blada, leżała w łóżku od kilku miesięcy, a żadne leki, zamawiania, okadzania, żadne nabożeństwa i modlitwy pomódz jej nie mogły. Choroba była osobliwa, której nikt nie znał, nie rozumiał i poradzić nie umiał na nią.

Schła tak powoli, w oczach marniała, życie z niej wychodziło i ochota do niego... Jadła jak ptaszę, nie sypiała po całych nocach, a gdy zasnęła znużona, przez sen mówiła coś niezrozumiałego, albo nawet spiewała piosenki tak smutne, że się matce serce krajało...

Ona wiedziała i powiadała, że żyć nie będzie, a nie narzekała na to... Patrząc na jedyne dziecię, które tak schło i ginęło, Błachowa też umierała powoli... Siadała przy niej z kądzielą, ale wrzeciono z rąk jej wypadało, oczy nici nie widziały; pochylała się, aby zimne jak lód, lub

gorące jak żar całować czoło, a łzy na nie padały...

Czasem, zjawiał się Semko, na krótko, Ulinka się zrywała z łóżka, chwielejając osłabła, ubierała się do niego w dawne suknie, które matka ścigać musiała, tak teraz na wychudłej leżały niezgrabnie. Wychodziła do jego komnaty na rozmowę, ale musiała stać oparta o ścianę, bo się jej w głowie zawracało i męciło... Semko bolał i użałalał się nad nią, gniewał na tych, co ją tak nieskutecznie leczyli, obiecywał zdrowie, potem, wnet zapominając się, prawił jej o sobie, pięknej jak anioł królowej, o obiecanej mu siostrze Jagielły, hożej także i ślicznej i śmiał się. A tak był nawykły wszystko co myślał powiadać przed nią, że nie taił nic, nie dostrzegając, jak blada bledła mocniej jeszcze i oczy jej zwiększone zachodziły to płomieniem, to łzami.

Potem, żegnając, gdy przyszedł pogłaskać ją po czole, dzicwczę chwytalo jego rękę, cisnąc ją do ust i zduszone łkaniem uciekało.

Teraz oddawna już Ulinka nie wstawiała, ale mówiła o tem, że chce koniecznie, choćby raz wstać jeszcze, aby przybywającego powitać i zobaczyć kraśną żonę jego—a potem—mówiła—położyć się i — zasnąć...

Oczekiwany książę nie przybywał, choć wszystko było w pogotowiu. Po kilkakroć pieczono kołacze białe, które zczerstwiały...

Wieczór, jak burza wpadł na zamek Henryk, trąbiąc, aby ludzi postraszył i ściągnął zwodniczo naprzeciw siebie do bramy. Śmiał się widząc nadbiegających tych, co ani obowiązku ani wielkiej ochoty witać go nie mieli.

Zeskoczył z konia w podwórcu; psy, które go otoczyły, biczem rozpędzając... Kancelarz wyglądał oknem — obrócił się ku niemu.

— Kiedyż się Semka doczekacie? — zawołał do niego.

Ksiądz poruszeniem mu odpowiedział tylko iż niewiedzą; a Henryk miał z jakimś żartem niezdarnym wystąpić, gdy we wrotach ukazał się zwolna nadciągający Janusz.

Jechał powoli na koniu ciężkim, sam podstarzały i otylszy niż był, z twarzą zadumaną. Zobaczywszy go, Henryka wesołość odstała, cofnął się z pośrodku dziedzińca. Starszy książę wjeżdżał rozglądając się dokoła i konia do samych przedsieni poprowadził, gdzie, na widok jego, co było dworzan się zbiegło.

Nie mówił słowa, witał starszyzną głowy skinieciem, Henryk zbliżył się z boku podchodząc z ukłonem, w którym czuć było upokorzenie jakiegoś. Z Januszem się obejść tak nie śmiał jak z innemi. Książę spojrzał nań bacznie, na strój jego myśliwski, i ramionami poruszył.

Marszałek stary, posiwiał w usługach ojca, o kiju, wprowadzał Janusza do dworca. Ten

szedł zwolna, jakby chciał się rozpatrzeć, czy wszystko było w porządku należytych. Dwór wyglądał odświeżenie, czysto i świeżo... woń kosacców rozsypanych po podłogach czuć w nim było, i zapach jałowcu, którym kadzono, ze smółką.

Do wielkiej komnaty bocznymi drzwiami naprzeciw Janusza, wyszła z oczyma czerwonymi, pokłonić się stara Błachowa. Schyliła mu się do kolan. Uderzył ją zlekka po ramionach.

— Semka tylko co nie widać!—rzekł—przybyłem i ja, aby było komu przyjąć go u progu błogosławieństwem...

Popatrzał na podnoszącą się staruchę.

— A córka? — zapytał.

Błachowa się rozplakała i fartuchem zakryła oczy. Janusz nie badał już więcej.

Wieczór nadchodził, i jakby na ten dzień zmówili się goście, usłyszano konie w podwórzu, a po krótkiej chwili wszedł Bartosz z Odolanowa.

Lata przebyte w boju i tę męzką a rycerską postać uczyniły pokorniejszą, mniej butną, a zdawały się okrywać żalobą. Nie szedł już tak śmiało jak dawniej, z głośnem słowem i kipiącym do walki męstwem.

Znać było zwyciężonego, choć i teraz czoło niósł górą pomarszczone i oczu się nie wstydził pokazać. Walczył aż do ostatka, aż mu towarzyszyów do boju i przeciwników nie stało...

Obrany ze wszystkiego, postradawszy grody, mienie, zapasy, przetrwał wszystko nie skarżąc się, wierny Semkowi, który się w końcu odwrócił od natrętnego wichrzyciela i jemu wszystkie swe przypisywał klęski.

Bartosz przybywał teraz — szczęścia mu winszować, którego nie miał, do starego gniazda ocalałego, gdy on swoje utracił.

Książę Janusz zmarszczył się ujrzawszy go — pomyślał chwilę i pozdrowił stojącego u drzwi.

— Znowuśmy tu razem — rzekł do niego — ale stanęło na mojem, nie na waszem. Przeciwdoli, rozum nie i męztwo nie, co napisano spełnić się musi.

Westchnął stary.

— Tak, Bartoszu — dodał — czasy panowania naszego przeszły, więc nie opierając się woli Bożej, w kąć musimy dogorywać w ciszy. Kto inny nas zastąpi... kto inny...

Bartosz zbliżył się nieco.

— Miłość wasza, nie odbierzesz mi tej czci, żem ja wam krwi i potu nie żałował. Prawda — mówił — ciągnąłem was, woli Bożej nie znając, alem też i sam szedł a walczyłem do zdechu. I straciłem Odolanów i Kozmin i com miał, a nie wypominam wam tego, bom nie dla was, ale dla Piastów i dla Wielkopolski naszej bił się... A no z Piasty i Wielkopolska padła... Poznań królów nie będzie mieć, ani Gniezno korony...

Westchnął.

— Ale przyjdzie czas—dodał proroczo—że jak Kraków wydarł nam berło, tak jemu wydrą panowanie i koronę inni i będzie pustką a trumną tylko...

Z bólem dokończył Bartosz i stanął naprzeciw Janusza, który słuchał go zimno, z tą rezygnacją dawno już w spuściźnie po ojcu wziętą, która go nigdy nie opuszczała...

Stary książę wysłuchawszy, rzekł jakby chciał myśli jego w inną skierować stronę.

— Semkowi się poszczęciło jeszcze!! Król-brat da mu część Kujaw, może więcej, a co lepiej, dał mu siostrę, którą kocha, za nią wianem dostanie braterską miłość Jagielly!!

— I dziewczka, słyszę piękna — dodał Bartosz...

— Królowna każda piękna — odparł nieco szydersko Janusz...

Nie czekano już dnia tego Semka, i starszy rozporządzając się jak w domu, wieczerzę podawać kazał.

Henryk stał dotąd nadąsany na uboczu. Janusz przystąpił do niego, popatrzył długo.

— Nie spiesz ci się widzę, suknię wziąć — zamruczał.

— Wolałbym żonkę — zuchwale odparł Henryk...

— Nie co wola, ale co mus, człowiek robi—

surowo rzekł Janusz.—Książęciu dla żony trzeba działu i ziemi, a tych nie masz.

— Boście wy mi je wzięli — odparł Henryk dumnie.

— Nie myśmy zabrali, ale ojciec ci ich nie dał, a ojcowska wola święta — odezwał się Janusz, i odwrócił się od niego, umyślnie przerywając rozmowę.

Na twarz Henryka wystąpiły płomienie i szepnął półgłosem.

— Wszystkiemu temu nie koniec jeszcze — zobaczymy!

Lecz starszy brat słuchać go już nie chciał...

Podawano wieczerzę i Janusz, nie zapraszając nawet młodszego, zasiadł do niej, swojej starszyźnie wskazawszy miejsce w końcu stoła.

Henryk sam zajął siedzenie przy bracie, rozparł się i z jednej misy z nim czerpać zaczął, nie mówiąc nic.

Z drugiej strony opodal nieco siadł Bartosz z Odolanowa, z braćmi dwoma, których przywiódł z sobą.

Oni teraz los jego dzielili, wygnani z Wielkopolski i skarani razem z Pietraszem z Małochowa na wygnanie i wydziedziczenie. Łacno było zgadnąć, że przychodzili przypomnieć się Semkowi, dla którego wszystko utracili.

Wieczera przeszła milcząco, i ledwie słowem jakim przez starszego księcia przerywana.

Miała się już ku końcowi, a na niebie noc była gwiaździsta i zamek stał oddawna zaparty, z bramą spuszczoną, gdy zdala posłyszano trąbkę, a Henryk i domownicy poznali głos rogu Semka, który się w ten sposób zawsze oznajmywał.

Wszyscy podnieśli głowy zdziwieni, gdyż książę z żoną młodą przybywający, powinien się być zapowiedzieć zawczasu... Henryk i Bartosz zerwali się od stołu, biegnąc ku drzwiom...

W podwórcach też wrotny ludzi powoływał, gdyż bronę podnieść, a most spuścić było potrzeba...

Gdy Bartosz podbiegł ku bramie, ujrzał za nią trzech konnych, na otwarcie oczekujących, a w chwilę potem na zziąjanym koniu, głośno wołając na ludzi, wpadł na podwórzec Semko.

Zmęczony był i jakby rozogniony pospieszną podróżą. Skoczył z konia, spojrzawszy na Bartosza.

— Chciałem sam wyprzedzić moją Olgę i jej dwór, aby zobaczyć, czy na zamku wszystko jak należy przygotowano...

Nim Bartosz czas miał mu o bracie oznajmić, Semko już był w izbie wielkiej; spostrzegł Janusza, i radośnie rzucił się go witać.

Przybywał z taką wesołością i ochoczą myślą, iż odmłodniałym się wydawał.

— Widzicie—wołał—żonkęd chciał wyprzedzić, abym ją we wrotach sam z konia zdjął

i wprowadził do jej domu. Umyślniem konia i siebie zmógł, by jej tu na niczem nie zbyło, gdy raz pierwszy nogą próg przestąpi.

Janusz patrzył na tę żywość młodzieńczą i głową mn dawał znaki, że dobrze uczynił.

Henryk z wyrazem zazdrości, ani go powitawszy, cofnął się i szydersko usta wykrzywił, stojąc zdala... Tymczasem Semko kołpak rzucawszy, brata głową pozdrowił, a sam wbiegł do sypialni...

Drogę mu zachodziła też Błachowa biedna, trzymając na rękach na poły omdlałą, z rozpuszczonemi na ramionach włosami, z blademi usty Ulinę. Na widok Semka ta na półumarła podniosła się, dwie ręce wychudłe zarzuciła mu na szyję, zbliżyła usta do jego twarzy, lekki okrzyk się dał słyszeć, i całym ciężarem martwego ciała, spadła na ręce matki...

Zaledwie czas miał podtrzymać już krzepnącą Semko...

Ulinka nie żyła...

Dochowała tylko dech ostatni, aby go w pocałunku umiłowanego oddać brata.

Na chwilę stanął książę zdრtwiały, patrząc na dziewczę i sądząc, że osłabiona omdlała; ale Błachowa czuła macierzyńskiem sercem, że dla biednego jej dziecięcia wszystko było skończone... Ona sama niosła je ostatkiem siły na te łoża,

z którego się tylko co porwała na spotkanie Semka...

Książę szedł za nią niemy...

Przybywał z piersią szczęścia pełną, a śmierć spotykała go w progu...

W wielkiej izbie Janusz siedzący za stołem, słyszał pewnie okrzyk, a Henryk uśmiechnął się, gdy go głos ten doszedł, nikt jednak nie ruszył się z ław, i dopiero po chwili wezwany kanclerz wysunął się do księcia...

Oczekiwano przy wieczornym stole na przybyłego gospodarza długo napróżno, a gdy potem wyszedł jakby zmuszony do brata, błady, pomieszany, nieprzytomny i jedzenia tknąć nie chciał, a na pytania odpowiadać nie umiał, o przyczynę zmiany tej, nikt badać go nie śmiał.

Henryk wymknął się z jadalni.

Po jednym wyśliznęli się goście wszyscy, wyszedł z braćmi Bartosz. Janusz i Semko zostali sami.

Starszy zdawał się zgadywać co się stało, nie pytał; młodszemu brakło odwagi, aby się poskarżył. Milczący, trwali tak u pustego stołu, przy dogorywających kagankach...

Słysząc już było kury piejące zdala, gdy Semko rzekł głosem złamanym.

— Idź, spocznij, jam w nieszczęśliwą z mojem szczęściem przybył godzinę. Śmierć mam w domu!

— Patrz, by o niej żona nie wiedziała — odparł Janusz... Litwinki zabobonne są, a choć trmna źle nie wróży, mówią Indzie, smutek jej zatrąje pierwszy dzień... zostanie wspomnieniem na życie...

Janusz wstał i wyszedł...

Zawahawszy się nieco Semko, nazad powrócił do sypialni, drzwi od niej ku izbom Błachowej stały otworem. Cichy śpiew z płaczem, żałobny, pieśń jakąś starą mogilną słychać było w głębi. Nie zatrzymując się szedł książę dalej, aż do izdebki, w której na łóžeczku swem zmarła leżała...

Kilka starych bab, otaczało je, ale Błachowa żadnej z nich dotknąć nie dawała dziecięcia. Sama ona w białe rąbki i najpiękniejsze ustroiła ją odzieżę, sama splotła jej dziewiczy wianek mogilny...

Stała teraz przy niej z rękami załamanemi płacząc i podśpiewując nieprzytomna. Baby łyż ocierały... W głowach dwa płonęły kaganki i migocącym światłem rzucały na twarz marmurową, błogim jakimś snem ujętą. Usta jej jeszcze pocałunkiem śmiały się ostatnim...

Gdy Semko wszedł, drngiem drzwiami ludzie prostą, sosnową, z kilku desek zbitą wnosili „domowinkę“. Za nią szedł w komży i stnle książdz kanclerz, z krzyżykiem w rękę, i dwu chłopaków ze światłem, którego płomienie wiatr chylił.

Na widok trumny, Błachowa oczy zakryła. Postawiono ją wśród izby, baby wyścielać zaczęły z pospiechem... Gdy przyszło nieść ciało i układać w tem łożeczkę śmierci, Błachowa silną ręką odepchnęła wszystkich, chwyciła ciało córki i główkę przytłuszczywszy do piersi, powlokła je do trumny...

Złożyła w niej Ulinę, przycisnęła nsta do jej twarzy i jęczała. Czekali wszyscy szannjąc boleść, lecz Błachowa była jakby przykutą do zwłok dziecka. Kancelarz schylił się do jej ucha i zlekka ujął za rękę... Podniosła się posłuszna, lecz ujrawszy ludzi niosących wieko, które przybijając mieli, rzuciła się znowu do ciała.

Stare towarzyszeki jej, resztki wonnego ziela kwiatów sypały na zwłoki... W okienku otwartem brzask pierwszy dnia widać było... Niezakrytą trumienkę musieli wziąć zwolna na barki ludzie i ponieśli. Błachowa szła nie za nią, ale z nią razem, ręką spierając się na krawędzi, jakby się lękała, aby jej zwłok nie odebrano...

W milezeniu orszak żałobny przeciągnął podwórze, minął kościół i wprost na cmentarz posuwał się... wśród ciszy nocnej, którą pierwsze szezebiotanie ptaactwa przerywało tylko...

Semko pozostał sam, wśród izby pustej, powiódł po niej wzrokiem... Przewrócona kądziel leżała przy łóżku Ulinki, wrzeczono potoczyło się pod nie... chusteczka biała rzucona na ławę

zwieszona była na niej... Na poduszce głowa zmarłej wycisnęła jakby pieczęć śmierci...

Z zaciętymi usty, powrócił książę do sypialni.

O spoczynku nie miał myśleć czasu... Z dnia pierwszym promykiem, musiał spieszyć naprzeciw żony. Konia dlań siodłano... Czerwieniało na wschodzie, gdy siadł i okiem rzuciwszy po podwórce, popędził ku bramie. Na drodze do niej leżały kwiaty pogniecione, które z trumny Ulinki wypadły...

Nie było jeszcze południa, słońce letnie żarem paliło, gdy dzwony kościołów odzywać się zaczęły... W ulicach stało pełno ludu, na podwórce czekało duchowieństwo u drzwi kościelnych, w progu dworu stary Janusz, urzędnicy, czeladzie, dwór, z bokn, na złość braciom, książę Henryk we zbroi i przy mieczu, w hełmie na skroni, w boki się trzymając...

Wiedział on dobrze iż przykrości im większej wyrządzić nie potrafi, jak na ten dzień strojąc się rycersko i wypierając sukni duchownej. Śmiał się złośliwie, z ukosa patrząc na Janusza, który widzieć go nie chciał...

Orszak państwa młodych otaczający zwolna się posnwał przy odgłosie trąb, piszczałek i dosyć dziko brzmiącej muzyki.

Semko jechał we zbroi i hełmie z piórami, błądy i poważny, a obok niego Olga jak łania, dzielnie na koniu siedząca, dumnie w około wo-

działa wesołemi niebieskimi oczyma. Wszystko się w niej śmiało i radowało, wejrzenie, usta, postać cała, fałdy sukni szkarłatnej ze złotem, i czapka z piórkiem na główce rzucona od niechcenia, z pod której włosy w puklach dobywały się jasne.

Czuła się tu panią i królową, a ile razy wzrok jej padł na młodego męża, otwierały się wargi różowe, i ząbki perłowe białały... Zdała się mówić.—Raduj się, ciesz się!... wiozę szczęście w moje dłoni!!

Z taką dziewczęcą śmiałością, z butą księżącą, pierwsza wjechała w podwórcę... Stanęli u kościoła...

Semko skoczywszy z konia, zсадził ją i podawwszy rękę wiódł do błogosławieństwa.

Z chlebem i solą, ruskim obyczajem, stał Janusz w progu... Olga szła ku niemu niestrwożona, śmiejąc się, i gdy się jej pokłonił, rzuciła się staremu na szyję z pocałunkiem serdecznym. Młoda pani przestąpiła próg bez trwogi, a zwróciwszy do męża, objęła go zarumieniona...

Henryk patrzył zdala, ale się nie zbliżył do niej, i ona zdawała się o nim zapominać.

Na młodych państwa zastawione już czekały stoły, a przy nich dwa miejsca osobne na podwyższeniu, i obok dwa dla braci. Kanclerz je modlitwą błogosławił...

Piękna Olga tymczasem rzucała oczyma, przy-

patrując się miejscu i ludziom, tak śmiało, tak siebie pewna, jakby już panowanie nad dworem i mężem objęła.

Bartoszewi z Odolanowa dość było popatrzeć na nią, aby sobie powiedzieć w duchu, toż co Janusz pomyślał.

— Księciem ona tu będzie, nie księżną...

Zaledwie kapłan dokończył modlitwę, gdy wesół jej głos zabrzmiał w sali.

— Mnie tu dziś nie gospodarzyć jeszcze — odezwała się — ale jutro!! ja wam stół zastawię i przyjmować będę!

Mówiła z ruska łamiąc się, aby mowę swą do polskiej uczynić podobną i śmiała się sama ze swych omyłek...

Semko wskazał jej w tej chwili przybliżającego się do stołu Henryka... Spójrzała nań zdziwiona.

— Czyż tak u was księża się noszą? — zapytała ciekawa.

— Ja też księdzem być nie chcę, choć mnie do tego zmuszają — rzekł siadając Henryk...

Janusz spojrzał nań ostro, Semko coś szepnął jej na ucho; zaśmiała się i popatrzyła na Henryka.

— Ładne chłopię! — rzekła cicho — szkoda go w księżą odziać sutannę; taki młody...

Henryk śmiałymi oczyma piękną mierzył bratową.

— Znajdźcie mi taką drugą jak wy — rzekł do niej — a wnet się żenię!

Olga odparła mu skinieniem głowy; obaj bracia groźnie i namarszczeni patrzyli. Henryk uradował się, zdawało mu się, że znalazł sprzymierzeńca...

Tymczasem wnoszono misy, a piękna księżna ochoczo się do nich brała, niekiedy tylko wyrażając podziwienie, gdy potrawa dla niej była nową.

Naówczas ostrożnie do ust ją niosła... próbowała patrząc na męża, i złą czy dobra się jej wydała, wybuchała śmiechem dziecinnym...

Cały dwór tę chichotkę pożerał oczyma. Śmiałość jej, obejście się nieco dziecinne a pełne wdzięku, wszystkich za serca chwytaly. Czuć mniej było dziecię pieszczone, otwarte, ku życiu wesoło wyciągające ramiona; ale razem i przyszłą panią, która temu co ją spotkać mogło w życiu, śmiało czoło stawieć była gotowa. Semko siedział milczący, Janusz słuchał, Olga coraz to wybuchała śmiechem i słowem, a Henryk ośmieszony jej wtórował.

Nie w smak to było pewno bratu, o czem nie mogła wiedzieć żona, a Henryk właśnie, iż o tem był przekonany, wyciągał ją na słowa i drażnił zapytaniem.

Ona też o wiele rzeczy i obyczajów zapyty-

wała odważnie, mówiąc jak to inaczej było na Litwie...

A wspominając Litwę swą wzdychała. Tam, jużby się biesiada taka bez pieśni nie obeszła, bo pieśnią zaczynało i kończyło się wszystko... Tu jeden lutnista nie osobiwy, podstarzały, miał zawodzić, a i temu coraz głośniejsze rozmowy i okrzyki dać się słyszeć nie dozwalały. W miarę jak kubki spełniano, zapał dla młodej księżny rósł coraz... Semko też pił, aby gorycz z serca i czarne przepędzić myśli, ale napój gniew tylko jakiś w nim obudzał.

Przeciągnęło się biesiadowanie długo... i dopiero gdy wieczor zapadał, Semko się z żoną wysunął od stołu, dając znak biesiadnikom, aby pozostali w miejscu.

Księżnie młodej pilno było dworce swoje opatrzyć, poznać to państwo, nad którem królować miała i objąć nad nim rządy.

Chciała wszędzie być, oglądać wszystko aż do stajen i psiarni.

Nad mężem już w podróży zapanowała wszechwładnie, a kierowała nim jak chciała, razuo mu było jej słuchać, wiódł ją więc posłuszny teraz po zamku, komnatach, podworcach i wałach, myśląc tylko jak widoku tej izdebki jej oszczędzić, w której stara Błachowa płakała.

Gdy w mrokach zapadającego wieczora, piękny widok z murów odsłonił się na lśniącej sre-

brem Wisłę, klasnęła w ręce uradowana, wołając.

— Wilija!

I Semkowi ręce zarzuciła na szyję, pierwszy raz posmutniawszy nagle. Rzeka jej domową przypomniała, i prześpiewane u boku matki lata...

Lecz wnet łzy otarła i nucić coś zaczęła.

Mąż ciągle szedł przy niej smutny, on inne widmo widział snujące się po wałach...

Zbliżali się ku zamkowi, gdy jak ocucona poczęła szczebiotać.

— Nie sęp już czoła! Widzisz i ja po moich nie płaczę, bo tu teraz wszystko moje. Mnie wróżka dawno wróżyła złote gniazdko wesołe i ciepłe, a gdym ciebie, pana mego pierwszy raz przez okno zobaczyła, wiedziałam, żeśmy sobie przeznaczeni...

Ty tu przebyłeś może wiele, ale teraz wszystko skończone, Jagiełło nas osłoni od burzy, a ja smutek zażegnam!!

Z temi słowami nie on ją, ale ona jego wprowadziła nazad do komnat, które sobie pokazać kazała, gdzie na nią jej litewskie dziewczęta czekały.

Przemówiła do nich wesoło, i odpowiedziały jej radosnemi głosami; dała znak, zaśpiewały pieśń rzewną, niezrozumiałą, dziwną, której Olga z rozkoszą słuchała zwolna rozpuszczając złote

włosy i odpinając sprzążki, które książęce jej stroje trzymały.

Nazajutrz Semko spał jeszcze, gdy Olga biegła już po zamku, ze wszystkimi robiąc znajomości, psy za sobą prowadząc do komnat, rozkazując, śmiejąc się, trzpiotając jak dziecko...

Stoły były przy niej nakryte, gdy Semkowi znać dano.

Żonę znalazł na rozmowie poważnej z Bartoszem z Odolanowa. Zwróciła się ku wchodzącemu z twarzą pogodną.

— Słuchaj — rzekła wskazując na Bartosza i braci — oni ci wiernie służyli rycersko, a są wygnañcy. W Mazowszu nie braknie ziemi, niech ja pocznę od tego, bym dla nich uprosiła nadanie, aby o straconem zapomnieli. Niech koło nas będzie wesoło? Semko skinął z przyzwoleniem na to, czego sam pragnął. Jemu i księżnie kłaniali się wszysecy.

— A teraz niech ksiądz misy pobłogosławi — ze szczęścia głodna jestem! I śmiejąc się rzuciła na siedzenie.

Janusz stał na uboczu i myślał.

— Sam pan Bóg mu ją chyba wybierał, takiej właśnie potrzeba było!

Drezno, 1881.

KONIEC.